



**9 lat  
w bunkrze**

wspomnienia  
żołnierza UPA

**OMELAN PŁECZEN**

**Omelan Płeczeń**

**9 LAT  
W BUNKRZE**

**wspomnienia  
żołnierza UPA**

przełożyła z ukraińskiego  
**Mirośława Kawecka**

**Omelan Płeczeń**  
**DZIEWIĘĆ LAT W BUNKRZE**  
**Wspomnienia żołnierza UPA**

**TAKT**  
**Lublin 1991**

**Przekład:**

Mirosława Kawecka

**Przygotowanie do druku:**

Wojciech Guz

**Projekt okładki:**

Kazimierz Stasz

**Korekta:**

Joanna Dyszczyk, Grzegorz Jusiak

© Sucasnist 1987

**Tytuł oryginału:**

*Diewjat' rokiw u bunkri. Spomini wojaka UPA.*

Na podstawie zapisu I. Dmytryka opracowała i zredagowała Nina Ilycka.

**Wydawca:**

TAKT sp. z o.o., Lublin

**Skład i druk:**

petit s.c., Lublin

## Od tłumacza

Na temat działalności Ukraińskiej Powstańczej Armii napisano w Polsce wiele książek. W większości jest to literatura „czarnej nienawiści”, instrumentalnie traktująca fakty historyczne. Wystarczy wspomnieć choćby Artura Baty *Bieszczady w ogniu*, sławne i wielokrotnie wydawane *Łuny w Bieszczadach* Jana Gerharda, ziejące wściekłą nienawiścią książki Edwarda Prusa. Na tej pseudoliteraturze wychowały się całe pokolenia PRL-u, to ona właśnie kształtowała poglądy na temat stosunków polsko-ukraińskich.

Tymczasem nikt w Polsce (nie licząc opartej na dokumentach, a mimo to kontrowersyjnej, pracy A. Szczęśniaka i W. Szoty *Droga do nikąd*) w ciągu tych lat nie pokusił się o przedstawienie racji drugiej strony konfliktu, z góry uznając ją w całości za zbrodniczą i zdegenerowaną.

Dzisiaj proponujemy polskiemu czytelnikowi rzecz być może nie mniej kontrowersyjną, lecz bardzo interesującą – *Dziewięć lat w bunkrze* Omelana Pęczenia. Prezentowana pozycja zasługuje na uwagę przynajmniej z kilku powodów. Po pierwsze, nie jest to fikcja literacka, a autentyczne wspomnienia autora (bez wątpienia bardzo subiektywne). Po drugie, polski czytelnik po raz pierwszy ma okazję spojrzeć na problem walki polsko-ukraińskiej w latach 1945–47 oczyma drugiej strony (jeżeli nie liczyć, ostatnio publikowanych w prasie artykułów na ten temat). Po trzecie zaś, i to myślę jest powód szczególny, prezentowana książka to nie przesyczone emocjami relacje z pola walki, lecz przede wszystkim opowieść o pogmatwanych losach dwóch ukraińskich powstańców, w sytuacji gdy pozostali sami wśród ludności polskiej.

Dlatego też mając do wyboru kilka książek o UPA, napisanych przez stronę ukraińską, wybraliśmy właśnie tę – wspomnienia Omelana Pęczenia, więźnia lasów i bunkrów. Ta prosta żołnierska opowieść nie pozbawiona jest patosu i idealizacji swojej strony, lecz sądzę, że należy to wybaczyć autorowi, bo wspomnienia, by były autentyczne, zawsze muszą być subiektywne. Autor to człowiek prostolinijny, szczerzy i wierny sprawie,

o którą walczył. Jego mentalność doskonale wyraża się w sposobie prowadzenia narracji, gdzie patos przeplata się z próbą nie ulegania emocjom, naiwność i prostolinijność z głęboką pobożnością i gorącym patriotyzmem.

Oddajemy więc *Dziewięć lat w bunkrze* w ręce czytelnika polskiego z nadzieją, że książka ta nie przyczyni się do rozniecania emocji i odwiecznych dyskusji – „kto winien”, lecz pomoże spojrzeć na ukraińską stronę konfliktu, jak na normalnych ludzi, którzy kochali, nienawidzili i ginęli za swoją ojczyznę, a także, że przyczyni się do zapelnienia tej olbrzymiej przepaści obcości i niechęci, powstałej między naszymi narodami w ciągu powojennych lat. Niech myślą przewodnią podczas lektury książki będą słowa wypowiedziane przez jednego z jej bohaterów – „Na świecie nie ma dobrych czy złych nacji, są tylko dobrzy lub źli ludzie”.

*Mirosława Kawecka*

## Od wydawcy ukraińskiego \*

Prezentujemy naszym czytelnikom wspomnienia żołnierza Ukraińskiej Powstańczej Armii, których tematyka jest dużo obszerniejsza, niż wynikałoby to z tytułu. Wątek główny – to opowieść o życiu autora w ciągu dziewięciu lat spędzonych w bunkrach tzw. Zakierzonia (1947-1956), a potem, po ogłoszeniu amnestii w 1956, o jego życiu w Polsce do momentu wyjazdu w 1963 r. do Stanów Zjednoczonych. Opowieść przeplata się z wydarzeniami przeszłości. Przed czytelnikiem odsłaniają się obrazy z życia i walk UPA na Zakierzoni, to znaczy na tych zachodnioukraińskich kresach (Łemkowszczyzna, Chełmszczyzna, Podlasie, Nadsanie), na których do II wojny światowej mieszkało około półtora miliona Ukraińców i Polaków, i które, według umowy między Polską a ZSRR, w sierpniu 1945 r. znalazły się w granicach Polski.

Wskutek tej umowy zaczęła się wymiana ludności między Polską a Radziecką Ukrainą. Formalnie była ona dobrowolna, w rzeczywistości jednak, jeśli chodzi o ludność ukraińską naszych kresów zachodnich, zamieniła się w wysiedlanie przymusowe. Otoczeni przez wojsko polskie i milicję wieśniacy ukraińscy byli zmuszeni opuszczać ziemie ojczyste, które natychmiast zagarniali miejscowi lub przyjezdni Polacy, rabowali dobra, osiedlali się w pozostawionych gospodarstwach albo niszczyli je. Nawet polska literatura powojenna nie ukrywa przypadków stosowania brutalnej przemocy, a czasem nawet je potępia.

Akcja wysiedlania odbywała się nie bez samoobrony Ukraińców. Stawiali oni opór, z pomocą przychodziło także zbrojne podziemie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i UPA, które powstało na tych terenach i na Chełmszczyźnie już w 1943 r., głównie w związku z niszczeniem wiosek ukraińskich. Takie tło miała kilkuletnia (1944-1947) walka ludności ukraińskiej o prawo do przebywania na ziemiach ojczystych. Od początku, kiedy na te ziemie weszło wojsko radzieckie i przede wszystkim NKWD, a w ślad za nimi oddziały milicji polskiej i wojska, była to walka przeciwko obu okupantom.

Po wojnie opór ukraiński łamali już sami Polacy i dlatego potrzebowali na to aż trzech lat. O rozmiarach tego konfliktu świadczy jego stadium końcowe, znane w literaturze polskiej pod nazwą „Operacja Wisła”. Jej celem było przymusowe wysiedlenie reszty ludności ukraińskiej i w taki sposób ostateczne zlikwidowanie UPA na tych terenach.

Na podstawie uchwały Rady Ministrów z kwietnia 1947 r. Państwowy Komitet Bezpieczeństwa przystąpił do „Operacji Wisła” pod dowództwem zastępcy szefa

\*) Jest to tłumaczenie wstępu do ukraińskiego wydania wspomnień Omelana Pęczenia (Wyd. *Suczczasnist*, 1987). Tekst, opublikowany przed czterema laty, we fragmentach dotyczących sytuacji w Ukrainie Sowieckiej i współczesnych stosunków polsko-ukraińskich mocno się zaktualizował. Jednak fakty w nim zawarte, jak i punkt widzenia wydawcy ukraińskiego, wydają się godne poznania. (przyp. wyd. polskiego)

Sztabu Generalnego W.P. generała Stefana Mossora. Akcja odbywała się w trzech etapach. W pierwszym, atak był skierowany na tereny południowo-wschodnie: powiaty Sanok, Lesko i Przemyśl. Jego celem było zniszczenie kureni Rena (na Łemkowszczyźnie) i Bajdy (na Przemyszczyźnie). W drugim etapie, który trwał od końca maja do końca czerwca, główne uderzenie było skierowane na powiaty Lubaczów i Jarosław, ale jednocześnie kontynuowano działania na Przemyszczyźnie i Łemkowszczyźnie. W trzecim etapie, wróg skierował swój atak na Lubelszczyznę i Hrubieszowszczyznę.

W akcji „Wisła” wzięło udział 5 dywizji Wojska Polskiego, oddziały organów bezpieczeństwa i milicji, których liczebność – według oficjalnych polskich źródeł – wynosiła 17 350 żołnierzy. Oprócz jednostek piechoty w akcji udział brały również eskadra lotnictwa i pociągi pancerne.

Natarcie przeciwko oddziałom UPA na Zakierzoniu odbywało się w ścisłej współpracy z ZSRR i Czecho-Słowacją. Oddziały bolszewickich wojsk ochrony pogranicza zajęły granicę między Polską a ZSRR. Czecho-Słowacja rzuciła do walki z UPA blisko 14 000 wojska i oddziałów policyjnych pod nazwą ugrupowania operacyjnego „Teplice”.

Zorganizowane siły ukraińskie, które stawiały opór natarciu, liczyły na tych terenach nieco ponad 2 000 żołnierzy UPA i blisko 4 000 uczestników podziemia OUN, oddziałów samoobrony ludności i ich zwolenników.

Operacja „Wisła” trwała na terenie Polski ponad trzy miesiące i skończyła się 31 lipca 1947 r. Dalszą walkę z mniejszymi oddziałami UPA prowadziło krakowskie i lubelskie zgrupowanie Wojska Polskiego razem z oddziałami miejscowej milicji.

Teren, na którym przebywał autor wspomnień, należał do powiatów przemyskiego, sanockiego i leskiego w województwie rzeszowskim.

Według podziemnego systemu OUN, ukraińskie ziemie etnograficzne znajdujące się w granicach Polski, tzw. kraj Zakierzoniński, terytorialnie pokrywały się z VI-tym wojskowym okręgiem UPA. Był on podzielony na okręgi organizacyjne, nadrejon, rejon i kuszczę.

VI-temu okręgowi wojskowemu UPA podporządkowane były trzy odcinki taktyczne. Wydarzenia, które opisuje autor, miały miejsce na odcinku taktycznym „Łemko”, który obejmował Przemyszczyznę i Łemkowszczyznę. Dowódcą tego odcinka był Wasyl Mizernyj – Ren.

Prowidnykiem okręgu organizacyjnego OUN, który terytorialnie pokrywał się z odcinkiem taktycznym „Łemko”, był Myrosław Huk – Hryhor. Nadrejon Przemyszczyzny miał nazwę „Chłodny Jar”. Rejon, najczęściej wspominany przez autora, obejmował wieś na południe od Przemyśla, na wschód od Bykowa i na północ od Sanoka i Leska.

Na Przemyszczyźnie do czasu wysiedlania walczyły sotnie Wołodymyra Szczygelskiego – Burtaki, Mychajła Dudy – Hromenki, Hryhorija Janińskiego – Łastiwki i Jarosława Kociołka – Kryłacza. Na Łemkowszczyźnie działały sotnie Stepana Stebielskiego – Chrina, Wasyla Szyszkanyca – Bira, Stacha i Romana Hrobelskiego – Brodycza. Oprócz tego działały nadrejonowe i rejonowe bojówki.

Przed akcją „Wisła” dowództwo UPA planowało na lato 1947 r. rajd trzech sotni z Przemyszczyzny-Łemkowszczyzny przez Czecho-Słowację, do Niemiec Zachodnich. W sytuacji całkowitego okrążenia przez wojska wroga, dowództwo UPA i Prowyd OUN wydały rozkaz przebiccia się części oddziałów do Niemiec Zachodnich, innym oddziałom rozkazano przedostać się na teren USRR. Na terenach wysiedlonych zostały tylko małe, zbrojne oddziały z rozkazem utrzymywania łączności.

W czerwcu 1947 r. sotnia Burtaki, z resztkami sotni Łastiwki, Kryłacza i Hromenki ruszyła na Zachód. Łemkowskie sotnie Chrina, Rena, Bira, Stacha, część bojówek i członków zbrojnego podziemia przedostały się na Ukrainę.

Ci, którzy pozostali do utrzymywania łączności na Zakierzoniu, byli ochotnikami pochodzącymi z okolicznych wiosek. Do takich należał Omelan Pęczeń – Czaban, syn chłopca małego ze wsi Iskań na Przemyszczyźnie. Niemcy uwięzili dwóch jego braci w obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu i Dachau, a on w 1943 r. wstąpił do OUN. Rok później został żołnierzem UPA.

Warunki po wysiedleniu ludności były bardzo ciężkie. Wróg nadal blokował wieś, wykrywał kryjówki, napadał na obozy powstańców.

Zimą 1947-1948 autorowi udało się spędzić wspólnie z grupą bojowników podziemia, ale już w 1948 r. wróg zlikwidował resztki oddziałów ukraińskich na Przemyszczyźnie. Kontakty w ustalonych wcześniej punktach zostały zerwane.

Dla autora zaczął się nowy etap: wieloletnie ukrywanie się w leśnych bunkrach wraz ze Stepanem Soroczakiem – Krukiem. Mogli oni przetrwać ten okres tylko dzięki dobrej znajomości terenu i ludności miejscowej, wrodzonemu sprytowi, odwadze i przede wszystkim doświadczeniu, które nabyli w podziemiu i w walce powstańczej.

Wspomnienia Pęczenia w opracowaniu Niny Ilnyckiej napisane są ciekawym, żywym językiem, z widoczną chęcią odtworzenia rzeczywistych faktów, warunków życia i postaw ludzi, z ich mocnymi i słabymi stronami charakteru, sukcesami i klęskami, bez patosu i bez wyolbrzymiania tego, co było okropne, okrutne i tragiczne. Wrażenie robi zwłaszcza wielkie przywiązanie naszych braci z kresów zachodnich do ziemi ojczystej, ich twardy charakter, wytrwałość i zawziętość w obronie praw swego narodu. Nie jest dziełem przypadku, że z tych kresów wywodzą się utalentowani żołnierze UPA i działacze podziemia OUN, że dzisiaj, kiedy byli mieszkańcy tych kresów zachodnich są rozproszeni po całym świecie, kiedy większość z nich wysiedlono na zachodnie ziemie Polski, daleko od ładu ukraińskiego, oni i ich następne generacje są wierni tradycjom religijnym i narodowym swoich przodków. Jest to cenne świadectwo żywotności naszego narodu, zwłaszcza mieszkańców kresów zachodnich.

Wspomnienia Pęczenia wywołują pewne refleksje. Opisuje on wydarzenia na tle najnowszego okresu walk polsko-ukraińskich, to znaczy okresu lat 40-ych, walk krwawych i bezwzględnych. W długiej historii wojen między narodami ukraińskim a polskim był to konflikt w części Ukrainy położonej najdalej na zachód. Może jest w tym pewna symbolika. Bowiem w przeszłości wojny między tymi dwoma narodami odbywały się na dużych przestrzeniach, dokąd sięgały podboje polskie – aż po Dniepr i Zbrucz. (...)

Trzeba mieć nadzieję, iż wszystko to, razem z wydarzeniami lat 40-tych, należy do przeszłości, która już więcej nie wróci. Wynika to z żywotnych interesów obu narodów, nawet więcej, stawiają one wymóg współpracy i solidarności w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Nie jest to oczywiście idea nowa. Można ją teraz usłyszeć w wielu kręgach obu narodów po dwóch stronach żelaznej kurtyny. Czy mimo budzącej emocje historii ma ona szansę uzyskania poparcia w obu społeczeństwach?

Wydaje się, iż pewną nutkę optymizmu nasuwają pod tym względem wspomnienia Płeczenia. Oto on – syn ukraińskich kresów zachodnich, jak i tysiące innych, występuje w obronie praw swego narodu do życia na odwiecznych terenach, na których od wieków żyli jego przodkowie. Jednak nie tylko nowe polskie władze komunistyczne, ale i miejscowi Polacy, którzy od wieków mieszkali razem z Ukraińcami, przyczyniają się do wyrzucenia ich z rodzinnych chat. Można tylko wyobrazić sobie ogrom poczucia krzywdy, który zalał serca mieszkańców tych terenów.

Wśród tego wrogiego otoczenia zamieszkują w bunkrach Płeczeń z Soroczakiem, zgodnie z rozkazem swoich zwierzchników. Jak udaje im się przeżyć bez przynajmniej częściowej pomocy z zewnątrz? Nawet, jeśli zdobyte doświadczenia pozwalają im liczyć głównie na przyrodę. A otaczają ich przeważnie Polacy i nieliczni przestraszeni Ukraińcy, w większości z mieszanych rodzin. I właśnie ci ludzie im pomagają. Wygląda na to, że z czasem wśród ludzi zło i przemoc stopniowo odchodzą w przeszłość, zwyciężają elementy człowieczeństwa, może nawet poczucie wspólnego losu w nowych warunkach. Widać to we wspomnieniach Płeczenia.

Czy ten fenomen można przenieść na szersze kręgi społeczeństwa polskiego i ukraińskiego? Współczesna sytuacja mniejszości ukraińskiej w Polsce wykazuje pewne symptomy poprawy, ale o gruntownych zmianach mówić za wcześnie. Właśnie stosunek Polaków do Ukraińców w Polsce jest ważnym probierzem perspektyw poprawy stosunków między obydwojma narodami. Tylko w takim wypadku można oczekiwać lepszej przyszłości i nad tym wspólnie pracować.

1987

*tłum. Andriej Kaustow*

## I

Dla nas, powstańców, lato było najbardziej sprzyjającą porą roku. W tym czasie najgościnniejszym i najbezpieczniejszym naszym domem był gęsty las. Obrobione zagony i ogrody chłopów stanowiły gwarancję, że podzielą się oni z nami płodami swej ziemi. Ale lato 1947 roku było inne. Pola i ogrody leżały odlogiem, a wyludnione wsie straszyły wrogą pustką. Polskie oddziały dniem i nocą przeczesywały każdą wieś, każdy skrawek ziemi.

12 lipca 1947 roku w miejscu kwaterowania naszej bojówki<sup>1</sup> Czornocho, w lasach Suchego Obiczu<sup>2</sup>, nad wsiami Sopotnik i Leszczyny, odbywała się narada rejonowych prowidyńców<sup>3</sup>. Przybyli na nią: referent propagandy<sup>4</sup> przy prowidyńcu<sup>5</sup> „Zakierzońskiego Kraju”<sup>6</sup> Orlan, okręgowy prowidyńca Hryhor i jego brat – pisarz Szczypawka, referent okręgu Staryj–Pasternak, nadrejonowy referent Potap, zastępca Potapa Puhacz z pisarzem Horobcem, nadrejonowy prowidyńca Przemyskiego Sotka, referent I-go rejonu Oracz i IV-go Arkadij. Wraz z nimi przybyła obstawa. W naszym obozie znów zrobiło się gwaro.

1. Bojówka – paramilitarna komórka działająca w ramach Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. (Ten i wszystkie następujące przypisy pochodzą od wydawcy polskiego.)
2. Nazwy geograficzne podano zgodnie z mapą „Okolice Przemysła”, W-wa 1989, której podkład topograficzny stanowi przedwojenna mapa WIG.
3. Rejonowy prowidyńca – dowódca najmniejszej jednostki struktury organizacyjnej OUN – rejonu. Większe struktury terytorialne dowodzone były również przez prowidyńców, i tak: nadrejonem kierował nadrejonowy prowidyńca, a okręgiem – okręgowy.
4. Referent propagandy – kierownik referatu ds. propagandy. Poszczególne struktury terytorialne OUN – rejon, nadrejon, okręg, kraj, posiadały referaty ds.: zdrowia, SB, gospodarki, wojska, którymi kierowali referenci. Należeli oni do ścisłego kierownictwa jednostek terytorialnych, czyli prowidyńców.
5. Prowyd – kierownictwo OUN na poszczególnych szczeblach struktury terytorialnej, np.: prowyd okręgu, prowyd rejonu itd.
6. „Zakierzoński Kraj” – od tzw. linii Curzona, region obejmujący pas ziem Polski południowo-wschodniej ciągnący się od Chełmzczyzny po Beskidy, który zamieszkiwała ludność ukraińska.

Po dłuższej naradzie zwołano bojówkarzy i zastępcę krajowego prowidnyka Orłan przedstawił nam sytuację. Powiedział, że Dowództwo Główne UPA wydało rozkaz, by pojedyncze sotnie wyruszyły na Zachód, na okupowane przez amerykańskie wojska tereny Niemiec i Austrii, inne mają pójść na Ukrainę. Kilka sotni już przedziera się na Zachód, a wraz z nimi niektóre bojówki i prowidnicy.

Aby utrzymać stałą łączność pomiędzy przebijającymi się grupami, na naszym terenie pozostanie prowidnyk Arkadij. Powinna również zostać część naszej bojówki. Pozostali ruszą albo na Zachód, albo na Ukrainę. Prowidnyk Orłan był wzburzony, ciężko było mu mówić, więc wyręczył go Potap. Przedstawił warunki, w jakich teraz przyjdzie nam funkcjonować: sotni nie będzie, wróg bez przeszkód będzie mógł chodzić po lasach. Ludności ukraińskiej nie ma, trudno będzie zdobyć żywność. W takiej sytuacji on woli nie wydawać rozkazu kto z nas ma zostać. Chciałby, aby uświadomiwszy sobie wszystkie niebezpieczeństwa, każdy sam zdecydował czy starczy mu moralnej siły i odwagi, by pozostać na posterunku.

Zapadło milczenie. Wszyscy, jak urzeczeni, wpatrywali się w Potapa.

— Czekam na ochotników — powiedział unikając naszych spojrzeń.

Nagle w szeregach uniosła się ręka. Strzelec Jawir. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Cisza. Wówczas unióś rękę strzelec Kołos i nasze spojrzenia powędrowały w jego stronę. I znów cisza.

Poczułem dziwne drżenie serca, a w głowie bolesny ucisk. Zgłosili się przecież moi najbliżsi przyjaciele, z którymi przeżyłem niejedną biedę. Spojrzałem na Jawira i Kołosa. Uśmiechali się do mnie zachęcająco. Podniosłem rękę i poczułem na sobie wzrok wszystkich strzelców. Jedna chwila, druga — i spojrzenia przesunęły się na Kruka, który również unióś rękę. Tak, to jeszcze jeden przyjaciel.

Więcej chętnych nie było.

Potap rozkazał nam wystąpić z szeregu. Stanęliśmy na baczność. Podeszli prowidnicy, uścisnęli nam ręce i wyrazili swe uznanie dla naszej dobrowolnej decyzji. Nasi towarzysze spuścili wzrok, jakby wstydzili się spojrzeć nam w oczy. Wówczas wystąpił strzelec Moroz i powiedział, że skoro tak przedstawia się sytuacja, to zostawać tu teraz nie ma sensu, czas na własną rękę poszukać szczęścia. Prowidnicy milczeli. Za Morozem wystąpili: Łys, Kosar, Montyk, Zozula i Sływka. Wkrótce zameldowali swe odejście i ruszyli w nieznaną. Zaskoczyło mnie to, że akurat pierwszy odszedł Moroz. Był jednym z najlepszych bojówkarzy, odważnym i doświadczonym dywizjonistą<sup>7</sup>, który przeżył piekło pod Brodami<sup>8</sup>.

Prowidnicy Orłan i Potap długo tłumaczyli nam zasady konspiracji i wyjaśniali nasze zadania. Mieliśmy zbierać wśród Polaków informacje, przygotowywać sprawozdania, odbierać i dostarczać do wyznaczonego punktu pocztę, utrzymywać kontakt z innymi podobnymi punktami. W wyborze miejsca zamieszkania dano nam wolną rękę. Po naradzie zdecydowaliśmy, że będziemy przebywać w okolicach Jawornika Ruskiego. Zналиśmy tam kilka polskich rodzin i za ich pośrednictwem mieliśmy nadzieję utrzymywać kontakt ze światem. Orłan i Potap pochwalili nasz pomysł.

Pożegnanie było bolesne. Czy jeszcze kiedyś się spotkamy?

Nasza czwórka w towarzystwie prowidnyka Arkadija i kilku bojówkarzy z I-go rejonu pomaszerowała do Kormanieckiego Lasu, koło wsi Kormanice. Tutaj mieścił się bunkier rejonowego referenta gospodarczego, Wistuna. Arkadij przedstawił nas i oznajmił, że referent będzie naszym łącznikiem. Wistun pokazał nam kryjówek, w których mieliśmy składać i odbierać meldunki.

7. Mowa o dywizji SS-Hałyczyna.

8. Bitwa pod Brodami toczyła się pomiędzy Armią Czerwoną a dywizją SS-Hałyczyna. Dywizja ukraińska poniosła w niej dotkliwą klęskę.

W bunkrze było około piętnastu osób. Najbardziej utkwił mi w pamięci referent gospodarczy II-go rejonu Ter i starszy siwy pan, który zachwyił mnie swym połtawskim akcentem. Zdaje się, że był profesorem Uniwersytetu Kijowskiego i miał pseudonim Profesor. Długo tu nie zabawiliśmy. Po uzgodnieniu terminu następnego spotkania w sierpniu, ruszyliśmy w kierunku Cisowej. Po drodze postanowiliśmy zajrzeć do Makowej, gdzie żyły polskie rodziny, z którymi ja i Jawir utrzymywaliśmy przyjacielskie stosunki.

Była już noc, gdy nasza czwórka podeszła do wsi. Dokoła panowała niczym niezmacona cisza. Ostrożnie podkradliśmy się pod dom Bolczaków. W środku nie świeciło się, ale okna zasłonięte firankami świadczyły, że ktoś tu mieszka. Spróbowałem otworzyć – zamknięte. Ktoś z nas cicho zastukał w szybę. Po chwili w oknie zamajaczyła jakaś postać.

– Kto tam? – rozległ się kobiecy głos.

Wymieniłem nazwisko swoje i Jawira. Okno powoli uchyliło się i poznaliśmy Bolczakową. Szybko wybiegła na dwór i rzuciła się nam na szyję, ucieszona, że żyjemy.

Polskiego wojska we wsi nie było, choć wcześniej kwaterowało w pustych chatach. Zostały tu tylko trzy polskie rodziny. Kobieta naprędce opowiadała nam o wysiedleniach, o tym jak ludzie nie chcieli opuszczać swych gospodarstw, jak znęcano się nad nimi, i strzelano do tych, którzy stawiali opór.

Potem Bolczakowa wyniosła nam z domu dzbanek mleka i chleb. Jedzenie zniknęło w mig, bo chleba od dawna nie mieliśmy w ustach. Gdy zobaczyła jacy jesteśmy głodni, przyniosła jeszcze dwa bochenki i koszyk sucharów.

– Weźcie. Przygotowałam to na wyjazd, ale nas nie wzięli. Sama nie wiem, dlaczego. Przyjdźcie, jak będziecie czegoś potrzebować, ale zachowajcie ostrożność.

Następnej nocy nasza czwórka obeszła opustoszałe wsie: Jamną Dolną, Limną, Leszczawę Górną, Brzezawę i Ulucz. Nie spotkalismy nawet psów.

Na schronienie wybraliśmy lasy Hroszówki. Teren był nam znany, bo nasz oddział często kwaterował tu w 1945 roku. W wąwozie, koło niewielkiego potoku, wykopaliśmy ziemiankę. Stare brzozy dobrze maskowały wejście do niej. Z okolicznych wsi przynieśliśmy blachę na „dach” oraz drzwi, którymi wyłożone zostały ściany i podłoga. Nie było to wyszukane schronienie, ale deszcz nie lał się już nam na głowy. Poza tym nikt nie zamierzał długo tu pozostać. Każdy dzień był wykorzystywany na sprawdzenie terenu; stale też penetrowaliśmy okoliczne wsie.

Niedługo potem, niedaleko przysiółka Wypchaj, w lesie, natknęliśmy się na kilku naszych żołnierzy. Byli to: rojowy Oleń, strzelcy Wołk i Hriznyj z sotni Hromenki oraz Swiżyj i Sirko z bojówki Karla. Szli obładowani żołnierskim rynsztunkiem. Dowódca sotni wysłał ich po żywność, lecz gdy wrócili na miejsce postoju oddziału, nikogo tam nie zastali. Od kilku dni blakali się po lesie, szukając łączności z sotnią. Akurat wracali z Siedlisk nad Sanem. Zostało tam wiele polskich rodzin. We wsi kwaterował oddział KBW, który codziennie patrołował opustoszałą okolicę. Z wielu osad wywieziono nawet Polaków.

Zaproponowaliśmy przyjaciółom, by przyłączyli się do nas, a później wspólnie mieliśmy się zastanowić co robić dalej. Uznaliśmy, że nie ma potrzeby by informować ich o naszym zadaniu. Tymczasowe schronienie stało się dla nas wszystkich zbyt małe, więc podjęliśmy budowę nowego bunkra, w głębokim wąwozie, nie opodal dużego potoku. Miejsce to wybraliśmy dlatego, że potrzebna nam była woda, a poza tym szum potoku zagłuszał hałas. Materiału budowlanego, pniaków i grubych konarów w lesie nie brakuje, a wszystko inne, łącznie z naczyniami, można było znaleźć w pustych chłopskich chatach. Podkopaliśmy brzeg wąwozu, trzy metry w głąb i trzy metry



wzdłuż. Ściany, sufit i podłogę wyłożyliśmy pieńkami, wierzch pokryliśmy blachą, na którą nasypaliśmy dużo ziemi. Całość została zamaskowana tarniną i liśćmi. Posadziliśmy też krzaki, a korzenie wielkiej jodły podkopaliśmy tak, by drzewo, padając, zamaskowało wejście do naszego „domu”. Z wiejskich chat przynieśliśmy drzwi, z których powstały prycze. Chłopcy przytargali nawet piec i wmurowali pośrodku bunkra. Po pięciu dniach praca była skończona.

Teraz mieliśmy czas na pogawędki. Podczas jednej z nich Kruk przypadkiem wspomniał Sławka Baka z Jawornika Ruskiego. Oteń oznajmił, że Sławek jest ranny i przebywa w punkcie sanitarnym, koło przysiółka Wszeńki, niedaleko wsi Wołodź. A ponieważ wiedział gdzie znajduje się bunkier, postanowiliśmy go odwiedzić, tym bardziej, że to tylko kilometr od naszej kryjówki.

To co zastaliśmy na miejscu było przerażające. Bunkier wysadzony, na ziemi, drzewach i krzakach rozkładające się już ludzkie szczątki. Rozpoznać je było niemożliwością. Jedyne po resztkach czerwonego swetra Kruk domyślił się, że zginął tu również jego przyjaciel. Zebraliśmy szczątki ciał powstańców i pochowaliśmy je w sąsiedniej Wołodzkiej Woli, gdzie znajdowała się braterska, upowska mogiła. Wracając obok zniszczonego bunkra, pod jodłą dostrześliśmy trzech żołnierzy. Byli to: sanitariusz Swyst z sotni Hromenki, strzelec Toczyło z cywilnej siatki i Tamnjar z sekcji technicznej Hryhora. Strzelcy byli tylko lekko ranni, ale ze Swystem było bardzo źle. Jego rana na tułowiu jątrzyła się i nie mógł nawet podnieść się o własnych siłach. Siedzieli tu już dobry tydzień.

Najprawdopodobniej kryjówkę zdradzili Polakom jacyś nasi dezertyrzy. Oprócz trzech napotkanych przez nas powstańców w punkcie opatrunkowym leżał też ciężko ranny Sławek i jeszcze jeden strzelec z sotni Hromenki. Toczyło, Tamnjar i Swyst poczuli się źle i wyszli pogrzać się trochę na słońcu. Polacy tak cicho podkradli się do bun-

kra, że chłopcy dopiero gdy usłyszeli wybuch, zorientowali się w sytuacji.

Nakarmiliśmy chorych sucharami rozmoczonymi w wodzie, ktoś z nas byle jak przewiązał ranę Swysta, dwóch strzelców wzięło go na ręce i ruszyliśmy do naszej kryjówki. Tym sposobem uzbierało się nas dwunastu. Aby zachować dyscyplinę wybrano komendanta obozu. Został nim Toczyło, ponieważ był najstarszy, miał 50 lat.

Kolejne tygodnie mijały szybko, wypełnione gospodarskimi kłopotami. W tym czasie przede wszystkim robiliśmy zapasy na zimę. Zazwyczaj, w dzień w obozie zostawał Toczyło, dwóch strzelców na warcie i jeden lub dwóch przy chorym Swyście. Reszta ruszała w las, by szukać magazynów i kryjówek. Koło wsi Ulucz znaleźliśmy magazyn żyta. Wilgotne już zboże zaczynało fermentować i przerastać, ale na spodzie było jeszcze dobre i dawało się wysuszyć, a przy tej robocie można było upić się samym zapachem. Z pustych chłopskich chat chłopcy przynieśli beczki. Pakowaliśmy do nich żywność i suche ziarno. Zostały umieszczone w naszej poprzedniej kryjówce. Udało się nam też przytaszczyć ze wsi żarna, dzięki którym mieliśmy mąkę. Sprawiały nam trochę kłopotu, bo skrzypiały i trzeba było polewać je wodą. W okolicznych wsiach obrodziły sady. Drzewa ugięły się pod ciężarem owoców a nie było nikogo, kto mógłby je zebrać. Workami znosiliśmy je do obozu, gdzie chłopcy gotowali je, suszyli i zakopywali w ziemi. Gdy nastał czas żniw zaczęliśmy zbierać z pól kłosa zbóż. Obrodziły również grzyby. Toczyło twierdził, że takiego urodzaju na grzyby już dawno nie było. Zbieraliśmy je w worki i suszyli na drzewach i piecu. Nasza kryjówka była nimi „udekorowana” jak choinka na Boże Narodzenie. Z mąki piekliśmy pałanyce<sup>9</sup>, chleb i robiliśmy makaron. Codziennie na obiad były pierogi. W ogrodach zostało

9. Pałanycia – rodzaj chleba.

dużo kartofli, ale trzeba było ich pilnować, bo konkurowały do nich również dziki.

Kłopot był tylko ze Swystem. Toczyło i Tamnjar szybko wylizali się ze swoich ran, a rana Swysta w ogóle nie chciała się goić, ropiała i wciąż dużo w niej było odłamków. Będąc sanitariuszem, wiedział jakie leki są potrzebne, ale nikt z nas nie miał pojęcia gdzie je zdobyć. Swyst pochodził z Siedlisk nad Sanem. Zostało tam dużo polskich rodzin, a wśród nich jakaś jego ciotka, Polka. Zapadła decyzja, że zwrócimy się do niej o pomoc.

Poszliśmy w pięć osób. Choć Swyst był bardzo słaby, musieliśmy wziąć go ze sobą, bo nikt z nas nie znał tej ciotki. Całą drogę trzeba było go podtrzymywać, a czasem nawet nieść. Zabraliśmy torbę grzybów, a Tamnjar miał trochę polskich pieniędzy. Droga na szczęście nie była daleka i bez przeszkód dotarliśmy w nocy na miejsce. Ciotka bez namysłu zgodziła się pójść do Dynowa po leki. Swystowi kazała schować się w szopie, a my ukryliśmy się w lesie. W napięciu przesiadzieliśmy tam cały dzień – a jeżeli zdradzi? Ale ta wspaniała kobieta nie zdradziła, wróciła z miasta z lekarstwami i w dodatku kupiła nam soli, zapalek i nafty.

Maść bardzo pomogła Swystowi. Rana zaczęła się goić, a odłamki wypływały na wierzch. Co prawda nie obeszło się bez operacji. Swyst, choć był dobrym sanitariuszem, sam przecież nie mógł się operować. Prosił nas o pomoc. Baliśmy się strasznie, ale nie było innego wyjścia. Wytłumaczył nam co i jak mamy robić, a my poprzecinaliśmy skórę i powymowiali odłamki.

Przy tych codziennych kłopotach nawet nie zauważyliśmy, jak nadszedł koniec sierpnia. Nasza czwórka musiała odwiedzić Wistuna w Kormanickim Lesie. Ponieważ wcześniej nic nie mówiliśmy towarzyszom o przydzielonym nam zadaniu, więc teraz wymyśliliśmy jakiś powód i pomaszerowaliśmy.

Drogę znałem dobrze, bo to przecież moje rodzinne strony. Odległość była jednak spora. Szliśmy całą noc. Najbardziej niebezpieczny był odcinek drogi między Bachowem a Berezką, gdzie musieliśmy przeskoczyć szosę. Panował tam spory ruch, a w Berezce kwaterował oddział KBW. Wszystko jednak odbyło się szczęśliwie. W obozie Wistuna już na nas czekali. Gdy złożyliśmy meldunki powiedziano nam, że z zagranicy ma wrócić Arkadij. Czekaliśmy na niego dwa dni, ale nie przyszedł. Za to zjawili się łącznicy z Ukrainy. Mówili, że trwają tam wielkie oblawy.

Następne spotkanie z Wistunem odbyło się 20 października. Tym razem poszli z nami Swiżyj i Sirko. Powiedzieliśmy im o naszym zadaniu na wypadek, gdyby nam przytrafiło się coś złego. U Wistuna rozmawialiśmy z bojówkarzami z I-go rejonu Oracza. Bywali często na Ukrainie, gdzie spotykali przesiedleńców z ziem zachodnich<sup>10</sup>. We wrześniu był w obozie Arkadij, który wrócił z zagranicy. Widział się z naszymi towarzyszami broni. Żyli w obozach dla uchodźców.

Kolejne spotkanie zaplanowano na maj 1948 roku.

10. Autor wspomnień ma zapewne na myśli obecne tereny Polski południowo-wschodniej.

## II

Zima 1947/48 roku była łagodna. Co prawda pierwszy śnieg spadł już w listopadzie, ale szybko stopniał. A potem najczęściej padał deszcz ze śniegiem. W pogodne dni wygrzewaliśmy się na słońcu w pobliżu bunkra, lecz gdy spadł śnieg trzeba było siedzieć w „domu”, by nie zostawić w lesie śladów. Po pracowitym lecie brak aktywności nie najlepiej wpływał na nasze samopoczucie. Nikt z nas nie wiedział jak przerwać tę beczynność. Ktoś zaproponował by odwiedzić Wistuna, ale ta myśl została odrzucona. Gdyby w drodze zastał nas śnieg narazilibyśmy siebie i jego na duże niebezpieczeństwo. Tak więc siedzieliśmy w bunkrze i każdy łatał swoje zupełnie już rozlatujące się ubranie i obuwie. Trzeba było gdzieś zdobyć nowe i na tym skoncentrowaliśmy całą naszą uwagę. Jedyń dla nas bazą mogły być polskie wsie. Zdecydowaliśmy więc, że udając Polaków, napadniemy na Izdebki, po drugiej stronie Sanu.

Pierwszego grudnia, korzystając z ładnej, bezśnieżnej pogody, dziewięciu naszych wybrało się w drogę. W obozie zostali Toczyło, Swyst i Wołk. Na obserwację wybraliśmy maleńki przysiółek, kilka chat, oddalonych od reszty wsi. Gospodarstwa były bogate, w stajniach stało po kilkanaście sztuk bydła.

Wpadliśmy do pierwszej chaty, udając polskich żołnierzy, którzy przyszli sprawdzić, jak funkcjonuje we wsi ORMO i dlaczego na drodze nie ma warty. Udawanie Polaków przychodziło nam bez trudu, bo mieliśmy polskie mundury. Gospodarz zaczął usprawiedliwiać się, że jeszcze zbyt wczesna pora na wystawianie czujek. Trzech naszych zostało w chacie, a reszta ruszyła do następnych domów. W każdym żądaliśmy obuwia, ubrań i bielizny. Polacy bez wahania wyciągali

dobytek ze skrzyń. Upchnęliśmy wszystko w plecaki, zabraliśmy jeszcze kilka strzelb i oświadczając, że AK za wszystko zapłaci, zniknęliśmy w lesie. Akcja odbyła się błyskawicznie i właściwie bez przymusu. Byliśmy już daleko, gdy z przysiółka dobiegły nas odgłosy strzelaniny, a niebo rozjaśniły rakiety. Zaplątałem się w zaroślach i skręciłem sobie nogę, tak że chłopcy musieli mnie podtrzymywać. Zanim dobiegliśmy do Sanu, woda w rzece podniosła się i nie sposób było przejść na drugi brzeg. Próbowaliśmy w kilku miejscach – nic z tego. Nie pozostało nam nic innego, jak zaszyć się w zaroślach i przeczekać pościg. Przesiedzieliśmy tak cały dzień. Jacyś mężczyźni, pod eskortą milicji, zwozili z lasu drzewo, na szczęście nie zauważyli nas. Wieczorem ponownie przyszliśmy nad rzekę, ale poziom wody był jeszcze wyższy. Pewnie gdzieś w górach padał deszcz. Tamnjar, który dobrze znał okolicę, przypomniał sobie, że na skraju wsi Niewistka mieszka rybak, który na pewno ma łódź. Rzeczywiście. Łódź leżała pod domem, ale zaledwie zrobiliśmy z nią parę kroków, zaczęły ujadać psy. Obudziły całą wieś. Rzuciliśmy łódź i biegiem ruszyliśmy przed siebie. Krzyki, strzały i szczekanie psów, które rozlegało się za naszymi plecami, bardzo korzystnie wpływało na szybkość naszego biegu. W leśnych krzakach schowaliśmy worki i plecaki, a sami wskoczyliśmy do wody i przepłynęliśmy na drugi brzeg. Do obozu wszyscy wrócili mokrzy, a niektórzy na wpół nadzy, bo rzeka porwała część ich odzienia. Toczyło w ogóle nie chciał wierzyć, że udało się nam zdobyć ubranie i jako komendant obozu nieźle nas zwymyślał. Dopiero gdy za kilka dni przynieśliśmy pakunki, poprawił mu się humor.

Zima ciągnęła się beznadziejnie. O tej porze roku w lesie panuje niesamowita cisza, z daleka słyszalny jest nawet najmniejszy szmer. Każdy szelest natęczał naszą uwagę. My też musieliśmy uważać na każdy swój ruch. Od czasu do czasu w lesie zjawiali się drwale pod eskortą KBW.

Podczas przeprawy przez San, Swiżyj odmroził sobie nogi. Prawdopodobnie miał zapalenie stawów, bo bardzo mu spuchły i zrobiły się czerwone. Próbowaliśmy je leczyć na różne znachorskie sposoby. Najlepszy efekt dawały gorące okłady. Swiżyj był nam za nie bardzo wdzięczny, choć twierdził, że dla niego najlepszym lekarstwem była- by kula w łeb.

Żywności mieliśmy pod dostatkiem, lecz nasze zapasy były wegetariańskie. Mięso śniło się nam po nocach. Kruk, który był naszym najlepszym „zaopatrzeniowcem” zastawiał sidła na zające, ptaki i dziki. Z początku bez rezultatu, ale po jakimś czasie jego starania uwieńczył sukces i na stole zjawiała się dziczyzna. W styczniu i lutym napa- dało dużo śniegu i nawet nosa nie można było wystawić z bunkra. W marcu było już więcej deszczu niż śniegu i gdy ziemia „poczernia- ła”, znów mogliśmy wyrzeć na Boży Świat.

Nasz dzień zaczynał się bardzo wcześnie. Toczyło, który cierpiał na bezsenność, budził się pierwszy. Często wstawał już o północy, wtedy wychodził na dwór, sprawdzał czujki, a nieraz sam godzinami stał na warcie. O czwartej rano zaczynał szykować śniadanie, jęczmienną kaszę własnego wyrobu. My wstawaliśmy o piątej, myśliśmy się, a po- tem zbieraliśmy swoje rzeczy, aby być przygotowanym na każdą ewentualność, broń przy sobie, gotowe torby z suchym prowiantem. Na śniadanie mieliśmy kawę i chleb ze smalcem, bo od kiedy Kruk zdobył mięso, nie brakowało też tłuszczu. Po posiłku każdy czyścił broń, łątał ubranie i buty, potem sprawdzaliśmy teren i zacieraliśmy pozostawione przez nas ślady. Kruk przygotowywał swoją kłusowni- czą strzelbę. Obiad był o czwartej. Przeważnie dyżurni kucharze robili pierogi wielkości dłoni, smażyli placki kartoflane lub gotowali jakąś zupę, zazwyczaj z grzybami, a jeśli Kruk coś upolował, mieliśmy gulasz.

Spać kładliśmy się wcześnie, gdyż trzeba było oszczędzać naftę. Wieczorem spało się dobrze, noc nie stanowiła dla nas żadnego

zagrożenia, ale gdzieś koło drugiej, trzeciej nad ranem, większość już nie spała. Każdego trapiły własne smutki.

Gdy nadszedł kwiecień i las pozieleniał, nie mogliśmy usiedzieć w jednym miejscu. Ktoś zaproponował by pójść na cmentarz po- wstańczy, położony na stromej górze nad Wołodzką Wolą. Oleń i Wołk obliczyli, że pochowano na nim co najmniej stu upowców. Tu zginął dobry przyjaciel Swiżego i Olenia, strzelec Piórko z bojówki Karla.

Swiżyj opowiadał, że wiosną zeszłego roku, Piórko wraz z sotnią Hromenki kwaterował w Wołodzkiej Woli. Wysiedlenie szło pełną parą. Piórce pozwolono odwiedzić krewnych w Jaworniku Ruskim, by mógł pożegnać się z żoną i dzieckiem. Tymczasem oddział wojska podszedł pod Wolę Wołodzką i bez oddania jednego strzału ujął naszego wartownika. Sotnia wycofała się pośpiesznie, a Polacy sta- nęli we wsi. Żołnierze wystawili swoją czujkę w tym samym miejscu, gdzie przedtem powstańcy. Piórko, wracając do oddziału, nic o tym nie wiedział i natknął się na nią.

Na miejscu śmierci Piórki znaleźliśmy but i resztki obgryzionych kości. W milczeniu zgarnęliśmy je w brezent i ponieśliśmy na cmen- tarz. To co zastaliśmy na górze, wprawiło nas w osłupienie. Wokół panowała doszczętna ruina. Krzyże rzucone w głęboki wąwóz, mogli- by rozkopane... kości powstańców rozrzucone po całym cmentarzu... Wyczyn cywilizowanych Polaków!

Zebraliśmy co się dało, zasypaliśmy groby, z jaru wyciągnęliśmy brzożowe krzyże. Zostało jeszcze sporo do zrobienia, gdy ze wsi Poręby dobiegły nas głosy i skrzypienie kół. Trzeba było uciekać. Ale obiecaliśmy sobie, że przyjdziemy tu znów i uporządkujemy cmen- tarz. Do obozu wszyscy wróciliśmy bardzo przygnębieni. Kruk od ra- zu zaczął pisać sprawozdanie. Chłopcy obstarpiłi go kołem i każdy od siebie dodawał znane mu fakty o pochowanych żołnierzach.

Nastał maj, pora aby odwiedzić obóz Wistuna. W przeddzień wymarszu, Toczyło zerwał się z łóżka jeszcze wcześniej niż zazwyczaj, zdaje się gdzieś koło północy, i wyszedł na dwór. Do kryjówki wrócił gdy już kończyliśmy śniadanie. Był zamyślony i niespokojny. Aby go rozweselić, zaczęliśmy z niego żartować. Ale on zaprzątnięty jakąś myślą wcale się nie odgryzał. Wreszcie nie wytrzymał.

– Nie chciałem wam nic mówić, ale czuję że powinienem. Niektórzy z was gdzieś się wybierają. Chcę was ostrzec, abyście byli ostrożni. Bardzo ostrożni! Miałem zły sen, a moje sny się sprawdzają. Widziałem we śnie małe dziecko, księdza w szatach i jakichś wojskowych, którzy mnie całowali. To nie wróży nic dobrego! Dlatego się niepokoję!

Hm... Nie trzeba nam było zbyt wiele, by stracić dobry humor. Nie dlatego, że wierzyliśmy w sny. Zazwyczaj nic nam się raczej nie śniło. Ale mieliśmy zszarpane nerwy i nikt nie był pewien swego losu.

Sen Toczyła od razu przypomniał mi wróżbitę ze wsi Kopań, który w 1944 roku, z kart wywróżył mi i Lutemu przyszłość. Opowiedziałem o tym, choć wątpię, czy ta opowieść podbudowała moich towarzyszy.

Zdarzyło się to na Michała w 1944 roku. Dowódca Zatoka wysłał Orła, Lutego i mnie w teren byśmy pozatwatwiali różne sprawy, m.in. po pocztę. Gdy już wszystko załatwiliśmy, zostało nam jeszcze trochę czasu i w Kopani zaszliśmy do wróżbity. Ten rozłożył karty i rozgadał się. Powiedział Lutemu, że niedługo spotka go nieszczęście. Mnie, przeciwnie, nie wywróżył nic złego. Mimo to, gdy wieczorem wyszliśmy z jego chaty, aby zdążyć do Iskańskiego Dołu na spotkanie z Orłem, byłem bardzo markotny, a nawet przestraszony. Zaproponowałem Lutemu, by pójść okreśną drogą, ale zaczął się ze mnie śmiać i dziarsko pomaszerował naprzód połą ścieżką. Zostałem nieco z tyłu, zawstydzony, że – jak to określił mój przyjaciel – okazałem się zabobonny. Mimo wszystko nie mogłem się pozbyć jakiegoś

wewnętrznego niepokoju. Nerwowo macałem pocztę, którą po cichu zabrałem Lutemu, jeszcze w domu wróżbity. Gdy wreszcie wzięłem się w garść i przyspieszyłem kroku aby dopędzić przyjaciela, usłyszałem parskanie konia. Zatrzymałem się i nadstawiłem uszu. Cisza. Wściekły na siebie za swoje nerwy, znów zacząłem doganiać Lutego. Nagle przed nami zjawiała się grupa jeźdźców, a nad naszymi głowami zaświstały kule. Zawróciliśmy biegiem w najbliższe krzaki. Lutyj zaplątał się w jakieś badyle, upadł. Podniósł się, ale jeździec był już przy nim i kolbą uderzył go w głowę. Więcej się już nie oglądałem, biegłem na oślep, prosto przed siebie. Opamiętałem się w sadzawce zimnej wody, gdzie zanurkowałem po głowę. Drżałem z zimna, szumiało mi w uszach, ale siedziałem w wodzie, bo słyszałem jak jeźdźcy buszowali w pobliskich zaroślach. Gdy się w końcu uspokoiło, przez las dotarłem do przysiółka, w którym mieszkał nasz staniczny<sup>11</sup>. Nie zastałem go, jego żona powiedziała mi, że gdy usłyszał sirzaty ukrył się w bunkrze. Wiedziałem gdzie to jest i poszedłem do niego. Stojąc po kolana w wodzie, której pełno było w kryjówce, opowiedziałem mu całą historię. Trzęsło mną jak w febrze, czułem że rozbiera mnie gorączka. Staniczny zaprowadził mnie do brata Lutego, u którego pod stajnią była sucha kryjówka. Przeleżałem tam kilka dni. Chłopcy dali znać mamie, a ona odwiedzała mnie i przynosiła jedzenie. Któregoś dnia, po donosie sąsiada, Polaka, do chaty wpadli enkawudziści, z krzykiem: „Gdzie chowacie tego bandytę?”. Brat Lutego i ja zdążyliśmy ukryć się w bunkrze, a w izbie została tylko jego żona z małym dzieckiem i stara matka. Enkawudziści wrzeszczeli, straszili, że je zabiją, strzelali w ściany. Kobiety i dziecko płakały. Z trudem powstrzymałem brata Lutego, aby pozostał w ziemiance. Enkawudziści przewrócili dom do góry nogami, sprawdzili stajnię, z której zabrali jałówkę i wreszcie opuścili gospodarstwo. Gdy na-

11. Staniczny – dowódca najmniejszego ognia organizacyjnego OUN – staniczy.

stępnego dnia matka poszła na placówkę NKWD w Babicach, by odebrać jałówkę, otrzymała odpowiedź, że NKWD nie kradnie krów, to robią jedynie „nacjonalistyczni bandyci”.

Po kilku dniach przyjaciele zabrali mnie do Kotowa i tam leczyli kozim mlekiem oraz... psim smalcem. Miałem, zdaje się, zapalenie płuc. Na szczęście dosyć szybko wylizałem się z tego, jedynie psy przestały mnie lubić.

Nie tak szybko skończyło się „nieszczęście” Lutego, przepowiedziane przez wróżbitę. Gdy jeszcze leżałem chory, nasza staniczna, z Kupnej, przyniosła mi gryps od niego, ze wsi Bachórz koło Dynowa. Pisał: „Żyję, katują, nikogo nie wydałem, mam przydział na front”. Potem długo nie było o nim żadnych wieści i już zaczęliśmy godzić się z myślą, że nasz towarzysz zginął, gdy w ostatnich dniach grudnia, w Kopani, dokąd mnie i Orła posłał Zatoka, dowiedzieliśmy się, że Lutyj żyje. „Wrócił z frontu” i ukrywa się w przysiółku Sokoły. Chciał się ze mną spotkać. Wiadomość była tak nieprawdopodobna, że wyglądała na prowokację. Dlatego, przed udaniem się do niego, dokładnie wszystko sprawdziłem.

Lutyj, ogłuszony uderzeniem kolby, znalazł się w stancy NKWD w Babicach. Strasznie go bito, spuchł i poczerniał, tak że trudno było go poznać. Nie przyznał się kim jest, twierdził że nazywa się Kazik Skaczyło, był nawet trochę podobny do niego, i pochodzi z Biskowic. Tak go zmasakrowano, że chłopci ze wsi nie mogli go rozpoznać i to pewnie ocaliło mu życie. Gdy NKWD przekonało się, że nic się od niego nie dowie o UPA, odesłano go do obozu poborowych do Armii Czerwonej we wsi Bachórz. Potem wraz z innymi został przewieziony do Prjaszowa, gdzie przydzielono go do kompanii karnej. Wydano im mundury i po 500 sztuk naboju. Karabiny obiecywano dać następnego dnia w okopach. Na noc zostali zamknięci w cerkwi. Lutyj poprosił sierżanta, by wypuścił go za potrzebą, a dalej dał już sobie radę. W lesie spotkał jeszcze sześciu takich jak on. Któryś z

nich, przez nieostrożność, zapalił papierosa. To zwróciło uwagę patrolu i w efekcie pięciu z nich zginęło. Lutyj wraz z ocalałym strzelcem, przedarli się na Łemkowszczyznę, skąd punkt łącznościowy UPA skierował ich w nasze strony...

W rezultacie mojego i Toczyły gwałtownego przyznania się towarzyszom do powierzonego nam zadania. Odbyła się narada i wspólnie zdecydowano, że Toczyło, Swyst, Swiżyj i Hriznyj zostaną w obozie, a pozostali pójdą do Wistuna.

W drogę ruszyliśmy 4 maja. Na dworze było ciepło i ładnie. Ja prowadziłem. Szliśmy gęstwiną, do samego Kormanieckiego Lasu, omijając drogi i ścieżki. Na miejsce dotarliśmy przed świtem. Nie podchodziliśmy blisko obozu, bo cały czas mieliśmy w pamięci sen Toczyły. Kruk i Jawir poszli na zwiad, a my czekaliśmy z bronią gotową do strzału. Chłopcy bezszelestnie dotarli do samej kryjówki i dopiero wówczas usłyszeli w krzakach podejrzany szmer. Gdy zaczęli się wycofywać, w ich kierunku posypały się kule. Natychmiast otworzyliśmy ogień, co pozwoliło naszym przyjaciołom przyłączyć się do nas i razem, biegiem, ruszyliśmy z powrotem.

Bunkier w ręku wroga!

Biegliśmy na oślep. Gdzieś za nami gwizdały kule, potem wszystko ucichło. Zwaliliśmy się na ziemię bez tchu. Po tym forsownym biegu jedynym słyszalnym dźwiękiem było bicie własnego serca, łomoczącego jak kowalski miech. Nagle dał się słyszeć jakiś szelest. Ktoś skradał się poprzez zarośla. Ze strachu zamarły nam serca, ale z krzaków wychyliły się głowy Berezki z bojówki Wistuna i Czumaka z czoty Wańki.

Wieczorem, Wistun wysłał ich do punktu łącznościowego, do grupy Oracza, a w nocy Polacy napadli na bunkier. Znajomy Polak uprzedził ich o napadzie i tylko dlatego nie wpadli w pułapkę. Ponieważ wiedzieli, że mamy przyjść, czatowali w lesie aby nas ostrzec

W bunkrze wszyscy zginęli. Kryjówkę prawdopodobnie zdradził nasz strzelec, Szwec (był rzeczywiście szewcem w artelu Wistuna). Dzień czy dwa przed napadem poszedł do Kupna, odwiedzić swoją ciotkę, Polkę. Ta pewnie go wydała, bo już nie wrócił. Zresztą, kto to wie, jak było naprawdę. Proponowaliśmy Berezce i Czumakowi przyłączenie się do nas, lecz odmówili. Nikt nie pytał dokąd zamierzają pójść.

To tragiczne wydarzenie bardzo nas przynębiło, cały dzień przesiadzieliśmy w krzakach, no a w nocy trzeba było ruszyć w powrotną drogę. Los nam nie sprzyjał, jakby umyślnie, noc była bardzo jasna, a my w kilku miejscach musieliśmy przechodzić przez łąki i pola. Gdy chmury zasłaniały księżyc, szybko przebiegaliśmy przez odsłonięty teren. Szedłem z Krukiem z przodu, a reszta grupy, by nie narażać wszystkich na niebezpieczeństwo, trochę za nami. Dotarliśmy wreszcie do rzeki Stupnica, między Berezką a Bachowem. Nagle nad naszymi głowami zagwizdały kule. Wszyscy jak jeden mąż padliśmy na ziemię i otworzyli ogień, tylko Krukowi, jak na złość, zaciął się karabin. Uratowała nas olbrzymia chmura, która całkiem przesłoniła księżyc. Korzystając z ciemności, przez rzekę dotarliśmy do Kupnieckich Lasów, a dalej wzdłuż Cisowej i Posady Rybotyckiej udało się nam przedrzeć do lasów Turnicy. Tam, w gęstym zagajniku, przesiadzieliśmy cały dzień, a o świcie, omijając Jamnę, Limną, Leszczawę, Malawę i Ulucz, wróciliśmy do domu.

Tragiczna śmierć grupy Wistuna zerwała ostatnią nić łączącą nas ze zorganizowaną, podziemną siatką UPA. Przed nami stanął problem — co dalej? Byliśmy zgodni co do tego, że dłużej nie możemy tu zostać. W każdej chwili możemy podzielić los grupy Wistuna. Długo zastanawialiśmy się: co robić? Wreszcie wszyscy zgodnie stwierdzili, że trzeba spróbować przebić się na Zachód. Tylko Kruk i ja zdecydowaliśmy się zostać jeszcze jakiś czas w naszych rodzinnych stronach.

Przyjaciołom powiedzieliśmy, że pójdziemy na Zachód, lecz trudno nam dokładnie powiedzieć kiedy.

Pożegnanie z towarzyszami nastąpiło 8 V 1948 roku. Przeżyliśmy razem prawie rok i niełatwo było się rozstać, tym bardziej, że nikt z nas nie widział przed sobą żadnych perspektyw.

Siedzieliśmy w milczeniu wpatrując się w las, gdzie zniknęli nasi przyjaciele. Nie wiem, jak długo by to trwało, gdyby nie deszcz, który nie pozostawił na nas suchej nitki. W odrętwieniu nawet nie spostrzeżliśmy, że zaczęło padać. Oprzytomniałem pierwszy.

— Po jakiego diabła mamy tu kisać na deszczu? Możemy przecież siedzieć w bunkrze.

— Rzeczywiście — Kruk ciężko podniósł się z miejsca i weszliśmy do środka. Siedliśmy i znów zapadło milczenie. Aby odpędzić przynębienie, zacząłem wspominać, jak razem z Kołosem i Jawirem walczyliśmy w bojówce Zatoki. Mówiłem, aby nie milczeć, by zagłuszyć tę przytłaczającą ciszę. Po chwili przeszedłem na bardziej osobiste tematy, czułem potrzebę zwierzeń, wyrażenia wątpliwości, a nawet usprawiedliwienia się przed Krukiem, jeżeli w przeszłości nie wszystko było w porządku.

Mój monolog skończył się tym, że padliśmy sobie w ramiona. Kruk zdjął z szyi krzyżyk i zaprzysięgliśmy sobie nań dozgonną przyjaźń. Od razu jakoś lżej zrobiło się nam na duszy, gdzieś zniknęła apatia. Teraz trzeba było zastanowić się, co robić dalej. Wiedzieliśmy, że w pierwszej kolejności musimy znaleźć inne miejsce na „mieszkanie”. Pozostanie tu było wykluczone. Włożyliśmy do plecaka trochę żywności, naboje do pistoletów i ruszyliśmy w kierunku przysiółka Wypchaj. Za lasem Hroszówki postanowiliśmy odpocząć i zjeść zimne już ziemniaki. Jeszcze nie zdążyliśmy się dobrze rozsiaść, gdy obok zabrzmiał rozkaz:

— Ręce do góry! — a zaraz potem szczęknął zamek automatu.

Zaskoczenie było tak duże, że dopiero po chwili zdałem sobie sprawę skąd dochodzi głos. Na polnej drodze, obok nas, stał polski żołnierz z karabinem gotowym do strzału. Miał czerwoną, ogorzałą od słońca twarz. Jeszcze raz szczerknął automat, ale i tym razem nie wystrzelił. Zerwaliśmy się jak oparzeni i wskoczyliśmy w koryto potoku. Matko Boża! Co za szczęście, że broń nie jest doskonała.

Teraz dostrzegli nas pozostali Polacy. Ich karabiny już się nie zacięły. Kule gwizdały nam nad głowami, ale chroniło nas już koryto potoku i szczęśliwie wyrwaliśmy się z rąk wroga.

Naszym nowym „domem” stały się Dylągowskie Lasy. W okolicznych polskich wsiach znaleźliśmy kilka rodzin, na których pomoc można było liczyć. Pierwszy, na próbę, wybraliśmy przysiółek Rybne. Kruk, który pochodził z Jawornika Ruskiego, znał tu dobrze wszystkich chłopów.

Większość chat w Rybnem była zupełnie zniszczona, ale gdy w nocy podkradaliśmy się do wsi, w niektórych oknach paliło się światło. Deszcz i mokre zarośla zmoczyły nas do suchej nitki.

W obejściu jednego z gospodarstw stał wóz z dyszlem i jarzmem dla wołów, leżały też jakieś deski.

– To dom Iwana Hawryłaka, Ukrainca – powiedział Kruk. Zbliżył się do chaty, nie zwołując wzroku z okna, w którym paliło się światło. Mignęła w nim kobieca postać. Kruk poznał Milcię Hawryłakównę i cicho zastukał w szybę.

– Milciu! Otwórz! To ja, Stefan Soroczak!

Długo nikt nie odpowiadał, a potem cichutko otworzyły się drzwi i na progu stanęła dziewczyna. Przywitała się i od razu zasypała Kruka gradem pytań, co, jak, dlaczego, skąd? Kruk powiedział jej, że przyszedł z towarzyszem z Ukrainy. Załatwi tylko parę spraw i wraca. Zawołał mnie.

– Mam dla ciebie narzeczonego, Milciu. Dobry chłopak i nazywa się tak jak i ty – Milko. Sam bym do ciebie swatów posłał, ale wiesz, że mam żonę.

Dziewczyna zaśmiała się zakłopotana i spojrzała na mnie uważnie. Ja również dobrze się jej przyjrzałem. Ładna. Kiedy indziej można by pomyśleć poważniej, ale teraz, cóż, byłem tylko włóczęgą.

Milcia wyniosła nam chleb oraz dzbanek mleka i gdy my posilaliśmy się, ona opowiadała nowiny. Powiedziała, że wojska w okolicy nie ma. W Żohatynie i Siedliskach stacjonuje milicja i wszyscy mężczyźni należą tam do ORMO. Najwięcej ludności pozostało w Siedliskach, prawie sami Polacy, mieszka tam tylko jedna ukraińska rodzina. W Żohatynie osiedlono przyjezdnych Polaków, ale jest ich więcej niż w Siedliskach. Do Rybnego wróciły cztery mieszane rodziny, Jana Małachowskiego, Staszka Lekkiego, który ożenił się z jej siostrą Marią, ona z rodzicami i jej bratowa, Katarzyna Hawrylak z córką Stefcją. Okres przymusowego wysiedlenia udało się im przeczekać w pobliskich wsiach, u krewnych Polaków. Teraz odbudowują swoje zniszczone gospodarstwa, bo uzyskali zgodę na powrót.

Podziękowaliśmy milej dziewczynie za chleb i dobre słowo. Obiecując, że „jak będziemy w tych stronach”, to złożymy jej wizytę, wróciliśmy do Dylągowskich Lasów. Kilka dni przesiedzieliśmy na Tatarskiej Patrii, bo padał deszcz. Gdy się wypogodziło, można było wyruszyć w teren, by wybrać odpowiednie miejsce na nowe schronienie. Gdy schodziliśmy z góry, w stronę Huty, na polu zobaczyliśmy jakiegoś wieśniaka, Kruk z radości aż klasnął w dłoń.

– To Andrzej Feń! Dobrze go znam! Polak, ale fajny chłop, nie jest wrogo do nas nastawiony, a w dodatku ma krewnych Ukrainców. Trzeba z nim pogadać.

Uważałem, że lepiej się nie zdradzać, ale Kruk się uparł. Wyszedł na skraj lasu i zawołał Fenia. Chłop myślał pewnie, że jesteśmy z KBW, bo od razu do nas podszedł. Gdy poznał Kruka, oniemiał ze



zdumienia, patrzył na nas wybałuszając oczy. Dopiero po jakimś czasie rozwiązał mu się język. Niedawno wrócił z Zasania, gdzie przebywał przez cały okres naszej walki na tym terenie. Opowiadał, że do Brzeżawy i Woli Brzeżańskiej wróciły prawie wszystkie polskie rodziny, które przez ostatnie lata żyły w Birczy. Pomyślałem sobie, że to pewnie ci, którzy tak zawzięcie walczyli z UPA, mordowali i grabili ukraińską ludność.

Niestety, Feń nie wiedział gdzie wywieziono żonę Kruka. Na odchodnym powiedzieliśmy mu, tak jak Milce, że przyszliśmy z Ukrainy. Obiecywał, że nas nie wyda.

Przez następne dwa tygodnie obserwowaliśmy dom Fenia w Hucie i Hawrylaków w Rybnem. Każdego dnia o świcie włączaliśmy na wysokie jodły, przywiązywaliśmy się do drzew i sprawdzaliśmy, co dzieje się w gospodarstwach. Było nam niewygodnie, cierpły ręce i nogi, w każdej chwili mogły wytropić nas psy. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, a co najważniejsze, przekonaliśmy się, że ani Feń, ani Hawrylakowie nie zadają się z władzą.

Pod budowę bunkra wybraliśmy miejsce w masywach lasu Na Kamieniu, u stóp góry Tatarski Potok. Miały tu swoje źródła potoki, które z szumem spływały gdzieś w dolinę, do Sanu. Na tym terenie było dużo starych okopów, wałów i jaskiń. Wszystko zarosło mieszanym lasem. Miejscowi chłopcy mówili, że nazwy: Tatarska Patria i Tatarski Potok, powstały w czasach, gdy na górze obozowali Tatarzy. Miejsce to upodobała sobie również sotnia<sup>12</sup> Hromenki.

Najpierw musieliśmy przynieść z Lasów Hroszówki naczynia i trochę żywności, która została w naszym magazynie. Choć to niedaleko, ledwie 12 km od Dylągowskich Lasów, niełatwo było przytaszczyć ten ciężar. Ucieszyliśmy się bardzo, bo naszą kryjówkę zastaliśmy

12. Sotnia — odpowiednik kompanii, była częścią składową kurenia lub działa samodzielnie, liczyła ok. 100 ludzi.

w nie naruszonym stanie, a i magazynów nie odwiedzał nikt prócz dzików.

Budowę nowego bunkra rozpoczęliśmy obok bystrego potoku, w gęstwinie młodych jodeł. W dzień pracowaliśmy na zmianę, jeden kopał, drugi odpoczywał i trzymał wartę. W nocy można było pracować wspólnie. Ziemię wysypywaliśmy w pewnej odległości od kryjówki, od razu ją maskując. Oto jak po dwóch tygodniach ciężkiej pracy wyglądał nasz „dom”: do „pokoju”, 2,5 na 3 metry, wchodziło się przez „korytarz” o długości 2,5 metra i szerokości półtora. Bunkier miał wysokość 2,5 metra. Z potoku, drewnianymi rurami, udało się doprowadzić wodę. Rury zrobiliśmy z pni drzew. W ten sam sposób odprowadzaliśmy do potoku zlewki i pomyje. Schronienie podparliśmy jodłowymi pniami, którymi zostały też wyłożone ściany. Do środka schodziło się po drabinie, zamykając za sobą, zaczepioną zawiasami, pokrywę. Miała kształt pudełka, we wnętrzu którego nasypaliśmy ziemi i posadziliśmy krzaki. Oprócz schronienia potrzebny był nam również magazyn na żywność, w którym można by umieścić zapasy z Hroszowskiego Lasu. Zbudowaliśmy go daleko od bunkra.

Przez kilka dni cieszyliśmy się swym „domem”, ale później zaczęło nas ciągnąć do ludzi. Zateśkniałem za rodzinną Iskanią. Może wrócił ktoś z moich ziomków? Kruka nie trzeba było długo namawiać i któregoś dnia wybraliśmy się w drogę. Od nas do Iskani było około 24 km. Gdy wyszliśmy z bunkra pogoda była niepewna. Ale ostatecznie przywykliśmy do deszczu, więc zdecydowaliśmy się na wymarsz. Do wsi podeszliśmy o zmroku. Wokół panowała martwa cisza, domy były zrujnowane, a na zgliszczach rosły burzany. Jednak w jednej z chat zabłysło słabe światło. Podkradłem się bliżej i poznałem dom Krućców. Dobrze pamiętałem Anielkę Kruć, energiczną i bardzo zaradną Polkę, która sama prowadziła swoje gospodarstwo, bo jej mąż Michał, Ukrainiec, często chorował. Mieli czwórkę dzieci, Marijkę, Milka, Władka i Helkę.

Ukryliśmy się w wilgotnych chaszczach, bo i tak byliśmy już przemoknięci. Z chaty nikt nie wychodził, ale chyba nie spano, światło świeciło się nadal. Podkradłem się pod dom i zajrzałem przez okno. Jakież było moje zdziwienie, gdy na środku izby zobaczyłem kołyskę, a przy niej Anielkę. Zdobyłem się na odwagę i ostrożnie zastukałem. Anielka wyszła na dwór. Poznała mnie od razu.

— Milku, ty żyjesz? Matko Boska! — jej wzruszenie było szczere. Zawołałem Kruka i zaczęliśmy ją wypytywać, co dzieje się we wsi. Oprócz Kruciów zza Sanu wróciły jeszcze trzy rodziny, które teraz odbudowują swe gospodarstwa. A Anielka ma dodatkową robotę, bo jej najstarsza Marijka „załatwiła” sobie dziecko z żołnierzem z KBW. Chłopak obiecuje że się z nią ożeni, ale jak będzie — nie wiadomo. Gdy zauważyła nasz niepokój na wspomnienie o KBW, szybko dodała:

— Nie bójcie się, w taką pogodę nikt nie chodzi, chyba że wy. — Nie pytała nas o nic. Na pożegnanie przyniosła trochę chleba i koc, żebyśmy nie zmarzli.

Choć nie prosiliśmy o zachowanie tajemnicy, a ona sama nic nam nie obiecywała, byłem pewny, że ta kobieta, w imię przyjaźni z moimi rodzicami, nie zdradzi nas. Nie skusi jej 20 tys. złotych, które polski rząd płacił za wydanie każdego upowca, nie przestraszy jej też groźba 15 lat więzienia i konfiskaty mienia za udzielanie nam pomocy.

Po powrocie do bunkra naszyły mnie wspomnienia o Iskani, rodzicach i początkach mego partyzanckiego życia.

W domu było nas pięcioro dzieci. Jedenaście lat starszy ode mnie Antoszko w 1934 r. ożenił się i mieszkał w Dubiecku. Iwan był starszy o 10 lat, Paweł młodszy o 4 a siostra o 3 lata. Ojciec miał sześć morgów pola i kawałek lasu.

Gdy w 1939 r. na Sanie ustanowiono granicę, miałem 19 lat. Iskań, leżąca na prawym brzegu rzeki znalazła się pod „czerwoną władzą”.

Bolszewicy zaczęli wywozić ludzi z przygranicznej strefy. 25 IV 1940 roku mieszkańców dolnej części Iskani wywieziono na Wschód. Moją rodzinę przesiedlono do polskiej wsi Biskowicze, w pobliżu Sambora. Żyło tam aż 850 polskich rodzin i tylko 11 ukraińskich. Tam w 1941 r. powołano mnie do Armii Czerwonej. Aby uniknąć tego „zaszczytu”, ukryłem się w lesie. NKWD chciało zmusić Iwana do współpracy z organami bezpieki, więc musiał uciekać do starszego brata, który żył pod niemiecką okupacją. Później aresztowano ich obu i wysłano do obozów koncentracyjnych. Antoszka do Dachau, a Iwana do Auschwitz.

Po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej przestałem się ukrywać, a 28 IV 1942 r., z nakazu powiatowego starosty, wróciliśmy do Iskani. Ponieważ nie funkcjonowała kolej, przymieszczaliśmy się od wsi do wsi, zdani na transport, którego użyczali nam sołtysi. Wieźliśmy ze sobą trochę zboża oraz kartofle i całą drogę byliśmy w strachu, że nas okradną.

W Iskani zamiast domu zastaliśmy zarośniętą burzanem ruinę. Rodzice stojąc nad nią nie mogli pohamować łez. Sołtys przydzielił nam mieszkanie, za wynajem którego trzeba było płacić 11 złotych miesięcznie. Żyliśmy tak do czasu odbudowania chaty. Brakowało nam rąk do pracy, bo Niemcy zabrali brata Pawła na roboty. Rodzice, siostra i ja pracowaliśmy od świtu do nocy. Po robocie nie miałem już sił, ani ochoty, by spotykać się z rówieśnikami. Dopiero wiosną 1943 r., gdy zamieszkaliśmy w swoim domu, zacząłem pokazywać się we wsi, a niedługo potem zostałem członkiem OUN. Dano mi pseudonim Sołowij. Mój pierwszy organizacyjny prowadnik miał pseudonim Kruk.

Miałem wyrozumiałych rodziców. Nie narzekali, gdy zacząłem znikać z domu, wysyłany w różnych organizacyjnych sprawach, a i później, gdy ich dom zamieniłem na las.

Kiedy do naszych stron zaczął zbliżać się radziecki front, przebywałem w okolicy Kotowa, dokąd mnie, Lutego i Orła wysłała stacja OUN. Naszym zadaniem była budowa bunkrów w okolicznych lasach, gromadzenie zapasów broni, amunicji, odzieży, obuwia i żywności. W jednej z kryjówek przeczekaliśmy front, a potem przenieśliśmy się do sąsiedniej wsi Żohatyn, gdzie odbywał się pobór do UPA.

Zebrało się tam około 100 chłopów, w większości uzbrojonych i ubranych w mundury wojskowe różnych armii. Ja również miałem niemiecki wojskowy mundur i polski karabin. Dowództwo nad nami objęli prowadnicy Wydra i Pasternak. Z nimi przeszliśmy do Leszczawy, gdzie kwaterowały sotnie Czarnego i Chomy.

22 X 1944 roku sotnię Chomy przeorganizowano, uzupełniając ochotnikami. Dostałem przydział do czoty<sup>13</sup> Chrina, tego samego, który później wstąpił się bojami na Łemkowszczyźnie. W tym czasie sotnia liczyła 5 czot. Procedura przyjmowania i wydawania przydziałów trwała cały dzień. Siąpił deszcz. Byliśmy już doszczętnie mokrzy i ochlapani błotem, gdy wreszcie pod wieczór wydano nam białe przepaski, które mieliśmy umieścić na prawym rękawie. Wieczorem sotnie ruszyły w kierunku Kuźmin. W połowie drogi, dowództwo oddziałów otrzymało rozkaz, by skierować się do Leszczawy Górnej i tam zakwaterować w domach na skraju wsi. Na miejscu zarządzono ostre pogotowie. My jednak rozbieraliśmy się i wykręcaliśmy mokre ubrania. Wśród strzelców rozniosła się plotka, że gdzieś w lesie, z uszkodzonego samolotu, wyskoczyło dwóch spadochroniarzy. Natychmiast wysłano zwiad. Jedna ze zwiadowczych grup przyprowadziła ze sobą jeńców, kilku polskich milicjantów, którzy również szukali spadochroniarzy. Dowódcy przesłuchali ich i puścili wolno. Ci oczywiście od razu zaalarmowali stację NKWD w Birczy, która

13. Czota – odpowiednik plutonu, pododdział sotni.

ściągnęła swoje oddziały z okolicznych wsi i przypuściła na nas atak. Tymczasem spadochroniarze, z pomocą wieśniaków, szczęśliwie trafili do nas. Miło było na nich spojrzeć, przystojni, w całkiem porządnym mundurach, z pełnym uzbrojeniem.

23 X 1944 r., akurat wypadła niedziela. O świcie przednia straż enkawudzystów natknęła się na naszą czujkę. Wartownicy otworzyli ogień i wycofali się do sotni. Rozkazano nam zająć stanowiska ogniowe. Za całość akcji odpowiadał sotenny Choma. Amunicji i broni mieliśmy pod dostatkiem. Nasza sotnia miała 16 ciężkich karabinów maszynowych, a w sotni Czarnego na każdy rój przypadały po 2 ckm-y. Ogólnie oddział Czarnego miał nad nami znaczną przewagę. My nie mieliśmy żadnego bojowego doświadczenia, a u niego wszyscy żołnierze przeszli już chrzest bojowy.

Wróg następował szeroką ławą, główną uwagę skupiając na wsi. Nasze karabiny na razie milczały i dopiero gdy enkawudziści podeszli bliżej, Czarny raził ich ogniem, doszczętnie kosząc pierwszy szereg wroga. Póki NKWD nie ochłonęło, nasi chłopcy zdążyli zebrać broń zabitych. Wróg nie żałował swych ludzi i wystawiał ich prosto pod nasze celowniki.

Po drugiej nieudanej próbie ataku, ruszyły czołgi. Gdy te pancerne potwory zrównały się z naszymi stanowiskami, spadochroniarze obrzucili je butelkami z benzyną. Dwa od razu zostały zniszczone zamieniając się w słupy ognia.

Płonęły chaty, nad wsią wzniosły się kłęby dymu, ryczało przerażone bydło, słychać było krzyk przestraszonych ludzi, jazgot broni i rozkazy walczących stron.

Trzeci czołg pozostał nie uszkodzony i z niego właśnie wróg ranił w twarz któregoś spadochroniarza. Upadł zalewając się krwią. Zanim ktokolwiek z nas zdążył do niego podbiec, wyciągnął rewolwer i zastrzelił się. Później mówiono, że pochodził ze Stanisławowa. W ferworze walki ciężko raniono w rękę czotowego Chrina. Sanita-

riusz Hordyj odwiózł go do punktu medycznego w Krajnej. Czotowy Had, tak to przynajmniej wyglądało, dostał ataku nerwowego. Z krzykiem rzucił się przed siebie, akurat w tym momencie, gdy czołgi otworzyły ogień. Nikt nawet nie zdążył go zatrzymać.

Gdy czołgi zaczęły się wycofywać, Choma rozkazał nam przyłączyć się do sotni Czarnego, która prowadziła zacięty bój. Dochodziło nawet do walki wręcz. Nasze trzy czoty wzmocniły pozycje Czarnego zmuszając wroga do odstąpienia. Lecz nie na długo. Przeklęty czołg, choć już tylko jeden, nadal dokonywał dzieła zniszczenia. Bój praktycznie rozgrywał się w tym samym miejscu, szliśmy w przód lub cofaliśmy się, choć nie bardzo było gdzie. Za nami ciągnęły się pola i łąki, najbliższy las był dopiero koło Limnej. Pomogła nam gęsta mgła, która powoli zaścielała ziemię. W tej białej jak mleko zawieszinie wróg nie zawsze orientował się, gdzie jesteśmy. To dawało nam możliwość skutecznej obrony. Walka ciągnęła się prawie do czwartej po południu. Wreszcie nieprzyjacielskie ataki osłabły i nasz dowódca dał rozkaz odwrotu. Wycofywaliśmy się stopniowo, po jednej czocie. Manewr zakończył się powodzeniem. Wróg nie ruszył za nami. W lesie, po przeliczeniu, okazało się, że brakuje 17 strzelców.

Sotnia odpoczywała a sotenny Choma w towarzystwie kilku strzelców i sanitariusza Hordego zeszli do Limnej, do karczmy, by posłuchać co mówią ludzie. We wsi panował spokój, bolszewików w pobliżu nie było. Gdy wychodzili z karczmy, nagle na podwórzu zjawili się trzech jeźdźców. Seria z automatu przeszła Chomę. Hordyj i strzelcy zdążyli ukryć się w budynku. Na odgłos strzałów we wsi zjawiała się sotnia, ale jeźdźcy zniknęli bez śladu. Wyglądało na to, że zupełnie przypadkowo zatrzymali się przed karczmą, raczej nie byli to zwiadowcy. Sotenny nie żył. Pochowaliśmy go na cmentarzu w Limnej i omijając wieś, skierowaliśmy się ku lasom Posadzkiej Sosny koło Cisowej. Tu dowódca Pawuk wygłosił do nas przemowę. Wyjaśnił naszą sytuację, pochwalił za odwagę w walce, choć jednocześnie

podkreślił, że brakuje nam jeszcze bojowego doświadczenia. Bolszewicy ściągnęli na nasz teren całą dywizję partyzantów, tzw. czerwoną miotłę. Walka z nimi nie będzie lekka. Dlatego dowództwo zdecydowało, że poborowi – również ze względu na zimową porę – wrócą do swych terenowych kuszcz<sup>14</sup>. Na wiosnę odbędzie się reorganizacja sotni, wtedy znów zostaniemy powołani. Ciężką broń rozkazano przekazać Łastiwce.

Tak zakończyła się moja dwudniowa służba w sotni. Bardzo chciałem zostać, ale rozkaz to rozkaz. Wróciliśmy „do domu”. Po drodze powiedziano nam, że Leszczawa Górna spłonęła doszczętnie, zginęło wielu ludzi, a ci co ocalili rozeszli się po sąsiednich wsiach. Bolszewicy ponieśli duże straty, około 150 zabitych.

Lutyj, Oreł i ja otrzymaliśmy rozkaz, by zameldować się u naszego stanicznego w przysiółku Kopań. Tam mieliśmy oczekiwać na dalsze dyspozycje. Nie mogłem wrócić do Iskani, bo kwaterował tam duży oddział NKWD, który urządzał obławy na młodych mężczyzn i na siłę wcielał ich do Armii Czerwonej. Mimo to mama i siostra potajemnie mnie odwiedzały.

Po dwóch tygodniach dostałem przydział do bojówki SB w IV-ym rejonie, pod dowództwem Zatoki. Oprócz nas istniała w tym rejonie bojówka Bisa. Obydwie podlegały komendantowi Oleniowi. Było nas dwunastu. Wszyscy miejscowi, oprócz Byka, który pochodził z centralnej Ukrainy. Prócz nas trzech byli jeszcze Chomko, Terka, Hrim, Pereć, Burjak, Sołowij i Czornjuk. Taktyki uczył nas Burjak, a potem Wańka.

W maju 1945 r. kilku z nas przydzielono do bojówki administracyjnej, która podlegała referentowi gospodarczemu, kapelanowi Kadyle. Nasze zadanie polegało na ściągnięciu ze wsi kontyngentów zboża (kilka kilogramów od gospodarstwa), a także gromadzeniu broni,

14. Kuszcz – najmniejsza jednostka struktury terytorialnej UPA, zwykle obejmował jedną wieś.

mundurów i obuwia, którego sporo nabierali chłopcy po przejściu frontu.

Po dwóch miesiącach znów wróciliśmy do bojówki Zatoki, którą przyłączono do II-go rejonu. Chomkę, Sołowija, Czornjuka i Percia przeniesiono do sotni Hromenki (Chomko i Perec zginęli w pierwszej walce). Bis wyruszył z rozkazem na Łemkowszczyznę i zabrał ze sobą Lutego. Jego bojówkę przejął na jakiś czas Arkas. Wówczas też nadrejonowy referent SB Potap wyznaczył Borysa na rejonowego prowidnyka II-go rejonu. Wcześniej Borys pełnił tę samą funkcję w IV-ym rejonie. Wraz z nim na nasz teren przyszło kilku bojówkarzy, między innymi Kruk, Kołos i Jawir.

W skład naszej bojówki wchodził: Zatoka – komendant, Buryj – jego zastępca, Kruk i Łys – obsługa cekaemów, Marko – sanitariusz, Kryk i Chyżyj – zwiadowcy, Żar i jeszcze dwóch (nie pamiętam ich pseudonimów) – sekcja techniczna, Worobeć – pisarz i dwunastu strzelców. Niestety, zapomniałem już wiele pseudonimów. Pamiętam tylko Mychaśka (brat Borysa), Sorokę, Ciapka, Łewa, Rybołowa. Mieliśmy 2 ckm-y, 10 rkm-ów, pięć karabinów dziesięciostrzałowych, sporą ilość pistoletów i amunicji.

Oto jak zapamiętałem niektórych członków naszej grupy. Prowidnyk Borys miał 35 lat. Był żonaty, miał dwoje dzieci. Jego rodzina żyła we wsi Wołodź, więc mógł ją często odwiedzać. Był blondynem średniego wzrostu. Niezbyt rozmowny, chyba że wpadał w złość. Wtedy mówił prędko, a jego głos stawał się piskliwy, na twarz występowały mu wypieki, a na nosie zjawiały się kropelki potu. Lubił czystość i wymagał jej od swoich podwładnych. Sam nie umiał śpiewać, ale lubił gdy my śpiewaliśmy. Uwielbiał konie. Gdy w 1944 r. zdobył gdzieś wojskowego konia, pieścił go i pielęgnował jak dziecko.

Zastępcą nadrejonowego prowidnyka był Czornyj–Okularnik. Dlaczego Okularnik? Po pierwsze nosił okulary, po drugie w naszym rejonie było już kilku Czornych. Czornyj–Okularnik miał około 28

lat, pochodził ze Lwowa. Nie wiem czy z tego powodu można być zarozumiałym, ale Czornyj był. Bardzo wrażliwy, zwracał uwagę na to co je, mleka nie brał do ust, a w niektórych domach w ogóle nic nie mógł zjeść.

Nasz komendant był niewiele od nas starszy, miał może 26 lat. W przeciwieństwie do Borysa, schludność nie była jego najmocniejszą stroną. Może ze względu na swój zewnętrzny wygląd i skromność nie sprawiał wrażenia dowódcy. Ale był bardzo lubiany. W walce odznaczał się odwagą i stanowił dla nas dobry przykład. Był łagodny, choć jednocześnie bardzo wymagający. Sam młody, traktował nas po ojcowsku, żałował i nieraz wyręczał w różnych sytuacjach. Pochodził z Żohatyna.

Buryj był rówieśnikiem Zatoki. Niski, trochę przy kości, miał kręcone blond włosy i bardzo dbał o swój wygląd. Stale czyścił mundur i „belgijkę” (automat, do którego nie można było zdobyć naboju). Obchodził się z nią jak z jaskiem.

Wśród strzelców najstarszy był, zdaje się, Czornyj. Miał pewnie z 40 lat. Przeżywaliśmy go Czornyj, bo był śniady i czarnooki, jak Cygan. Przygotowywał ilustracje do podziemnych wydań w sekcji technicznej. Redagował też treść naszych ulotek. Z natury był flegmatykiem. W każdej sytuacji wykazywał się odwagą i nigdy nie wpadał w panikę. Uwielbiał... kawę, a ponieważ nie można było jej zdobyć, przygotowywał ją z sucharów z czarnego chleba.

Niewiele tylko starszy od pozostałych był Czmił ze wsi Maława. Miał 30 lat, średniego wzrostu, przysadzisty. Wiecznie chodził głodny i nieraz, gdy nie dojadaliśmy a nawet głodowaliśmy, przeżywał piekielne męki. Bardzo dobrze strzelał i szczylił się tym.

Najmłodszy z nas był Jawir. Miał 20 lat. Średniego wzrostu, brunet, z jakiegoś powodu miał zawsze zaczerwienioną twarz. Lubił dziewczyny i był świetnym zwiadowcą.

Zaledwie o rok starszy od Jawira był Kofos z Żohatyna. Dobry zwiadowca, odważny i przebiegły jak lis. Był niskiego wzrostu i miał piękne, kręcone włosy. Pedantycznie dbał o swój wygląd.

Wiek reszty chłopców wahał się od 22 do 25 lat. Sądzę, że mam prawo twierdzić, iż byliśmy dobrymi, odważnymi żołnierzami, choć każdy z nas miał swoje zalety i wady. Jak choćby Chruszczyk\*, który słynął ze swoich dowcipów i pięknego głosu. Chruszczykiem nazywaliśmy go dla żartu, w rzeczywistości był potężnie zbudowanym olbrzymem.

Ciapka z Wapowiec koło Przemyśla również śpiewał i lubił żarty, ale ten należał do innego rodzaju ludzi. Pragnął przede wszystkim zwrócić na siebie uwagę. Ponieważ był niski, starał się trzymać bardzo prosto. Dbął o swój wygląd i lubił dziewczęta, zresztą z wzajemnością. Zawsze na ochotnika zgłaszał się do różnych zadań.

Sływka był przystojny, choć miał małego bzika na punkcie swej urody i bujnych, kręconych włosów. Częściej niż inni zaglądał do lusterka. Był przekonany, że dziewczyny za nim szaleją.

A do Moroza dziewczęta lgnęły rzeczywiście, jak pszczoły do miodu. Wiedział o tym i on, i my wszyscy. Żartowaliśmy, że powodzenie zawdzięcza złotej koronce na przednim zębie. Był oddanym i szczerym towarzyszem.

Soroka również lubił dziewczyny, ale nie cieszył się dobrą opinią, powszechnie było wiadomo, że ma żonę.

Sanitariusz Marko zachowywał się bardzo statecznie, właśnie tak jak przystało lekarzowi. Był pewien swoich lekarskich umiejętności, choć czasem lekiem na wszystko musiały być „koguciki” (proszki od bólu głowy).

Bardzo skromny i małowówny był Montyk. W odróżnieniu od niego, Kosar był niemożliwym chwaliپیęią. Odznaczał się wprawdzie

\* chruszczyk – przyp. tłumacza

dużą odwagą, ale później chwalił się swoimi wyczynami aż do znużenia.

Najczęściej kwaterowaliśmy w Górnej i Dolnej Jamnej. Były to duże wsie złączone w jeden kompleks. Pierwsza liczyła około 200 chat, a druga 300. Wsie okrężała dość duża rzeka Wigor. Pagórkowaty i zalesiony teren, który przylegał do masywów Turnickiego i Trójnickiego Lasu oraz Kyczery Grąziowskiej, był jakby stworzony dla partyzantów. Nieprzyjaciel nazywał Jamnę „stolicą Ukrainy”.

Ale w „stolicy Ukrainy” nie brakowało też kolaborantów. Poprzez terror zmuszano ludzi do podpisywania deklaracji o współpracy z bolszewicką władzą. Zadanie donosicieli polegało przede wszystkim na dostarczaniu informacji o ruchach UPA. Informacje te przekazywano różnymi sposobami, np. rozpalano ognisko w oznaczonym miejscu i czasie. Informować można było również osobiście, bolszewicy nie czynili przeszkód miejscowej ludności w przekraczaniu granicy. Fizyczne zniszczenie denuncjatorów było niemożliwe. Po pierwsze byli to Ukraińcy, po drugie na miejsce jednych mogli przyjść inni, a poza tym było wielu ludzi, którzy sami zgłaszali nam, że zmuszono ich do kolaboracji.

Prowidnyk Borys znalazł wyjście z tej sytuacji. Donosiciele, którzy z nami współpracowali, za naszą wiedzą zgłaszali NKWD, że we wsi kwateruje oddział UPA. Bolszewicy organizowali obławę, a tymczasem sotnia zmieniała miejsce stacjonowania. W ten sposób ludzie byli usprawiedliwieni, a obława kończyła się niepowodzeniem.

Niekiedy, gdy wysyłano nas z jakimś zadaniem, pozwalano odwiedzić bliskich. Dla mnie było to wielkie święto. Byłem dumny ze swej Iskani, w szeregi UPA wstąpiło stąd aż trzydziestu jeden chłopców.

Iskań była sporą osadą, należały do niej przysiółki Iskański Dół, Swynki, Lewkowo i Kopań. Była też niezłe uzbrojona i miała najlepiej w okolicy zorganizowaną samoobronę. W każdym gospodarstwie znajdowała się zamaskowana kryjówka, w której ukrywano

przed nieproszonymi gośćmi bardziej wartościowe przedmioty i żywność. Całą dobę trzymano wartę, aby nie dać się zaskoczyć sąsiadom z polskich wsi. Utkwił mi w pamięci taki obraz. Jakoś przypadkiem wpadłem do wsi, a na warcie stoi moja mama.

— Mamo — zdziwiłem się — nie może tu stać ktoś młodszy?

— Czuję się pewniejsza, jak sama pilnuję — odparła.

Do Iskani przenosili się, albo bodaj nocowali, ludzie z Ruskiej Wsi, Polchowej, Słonnego i Podbukowiny. Przez to we wsi było bardzo dużo obcych. Spali w stodołach i szałasach. Podwórza zastawione były gospodarskim sprzętem. Ludzie pomagali sobie nawzajem, bo tylko w gromadzie mogli czuć się bezpieczni. Nieraz trzeba było się bronić przed polskimi bandami z sąsiednich wsi. Nasze bojówki zazwyczaj spieszyły z pomocą, ale nie zawsze byliśmy w pobliżu. Często, zanim przybiegliśmy do osady, bandyci zdążyli uciec, zostawiając po sobie krwawe żniwo.

Podczas łańskich Wielkanocnych Świąt w 1945 roku bandy z Dyłagowej i Sielnicy zaatakowały Piątkową. Kwaterowaliśmy wtedy w sąsiedniej Mątwyce, gdy konno przybył chłopiec z krzykiem: „Polacy mordują”. Na nasz widok rabusie uciekli, zostawiając trupy sześciu mężczyzn, rannych — siostrę bojówkarza Wańki, starego 70-letniego wujka oraz zagrabione dobra. W kilka dni później inna banda napadła na przysiółek Swynki.

Lutyj, Orel i ja byliśmy akurat w Iskani. Nasi bliscy cieszyli się, że jesteśmy z nimi. Matki z dumą spoglądały na swoich synów. W którymś domu znalazła się zakąska i kieliszek wódki za nasze zdrowie. Zasiedzieliśmy się do późnej nocy. Nagle rozległ się stuk kołatek i krzyk ludzi. Czujki dawały znać o niebezpieczeństwie. Przybiegli wartownicy z krzykiem, że za Sanem, w Swynkach, wywiązała się strzelanina. W jednej chwili ci dobroduszni wujaszkwowie przemienili się w żołnierzy, w rękach każdego z nich zjawiała się „broń” — widły, kosy, łomy. Niektórzy pod hunią<sup>15</sup> ukryli strzelby. Ale okazało się, że

przez San przejść nie można, w rzece przybrała woda, a jedyny most wysadzili Niemcy. Na drugim brzegu od strony przysiółka Swynki biegła grupa uzbrojonych mężczyzn. Zmierzali w kierunku przysiółka Kruszki, gdzie żyło szesnaście ukraińskich rodzin. Rażona naszym ogniem banda rozproszyła się. Gdy się rozwidniło, na naszą stronę przeprawiła się Katarzyna Hnatyk z córką. W czasie napadu schowały się pod zawalony most i tam doczekały świtu. Były w szoku, w kółko powtarzały to samo: „wszystkich wymordowali, wszystkich zabili”. W Swynkach znaleźliśmy 17 zabitych osób, niektóre zastrzelone, inne przekłute bagnietami. Oprócz Katarzyny i jej córki, uratowało się jeszcze trzech chłopców, Dańczak, Hnatyk i Sywiak, którzy ukryli się w bunkrze. Pochowaliśmy wszystkich zabitych we wspólnej, braterskiej mogile. Na pogrzeb, odprawiony przez księdza Huka, zeszli się wszyscy mieszkańcy Iskani, łącznie z ośmioma polskimi rodzinami. Sołtys, przemawiając nad grobem, stwierdził, że nie chce mieć na sumieniu polskich rodzin, które mogą spotkać się z odwetem ukraińskiej strony. Dlatego lepiej będzie jeżeli Polacy przeniosą się do przysiółka Kruszki, a 16 ukraińskich rodzin przeprowadzi się na ich gospodarstwa w Iskani.

Nie minął nawet tydzień, znów alarm. Banda z polskiej wsi Tarnawka napadła na górną część Iskani. Nasza bojówka, która kwaterowała w Kopani szybko ustaliła plan działania. My ruszyliśmy prosto do wsi, a Buk z SKW<sup>16</sup> miał zaatakować tyły wroga. We wsi, koło czyteln<sup>17</sup>, stała gromada wieśniaków i około 20 enkawudzystów. Ktoś stwierdził, że należą oni do misji przesiedleńczej. Do nas przyłączyło się kilkunastu chłopów, uzbrojonych w siekiery i widły. Wyprzedziliśmy ich, ukrywając się w pobliżu. NKWD widząc, że Polacy ładują na

15. Hunia — kurtka o charakterystycznym wyglądzie noszona przez ukraińskich górali.

16. SKW — terenowe oddziały samoobrony.

17. Mowa o czytelniku Towarzystwa „Proswita”, zajmującego się szerzeniem oświaty i kultury wśród ukraińskiej ludności wiejskiej i małomiasteczkowej.

wozy dobytek wieśniaków, oddało kilka strzałów w górę. W tym samym momencie, my również wystrzeliliśmy kilka razy, ale prosto w bandę. Polacy nie zorientowali się, kto do nich mierzy, myśleli, że to bolszewicy, toteż porzucili wozy i zaczęli uciekać w kierunku Tarnawki. Tam już czekał na nich Buk. Wieśniacy, aby się zemścić, też rzucili się w pogoń za bandą. Ale tu wtrącili się enkawudziści i nakazali ludziom, by wrócili do domów. Potem zwołali mityng. Namawiali chłopów do wyjazdu na Ukrainę, gdzie będą mogli żyć spokojnie. Gospodarze odparli na to, że tu również jest Ukraina.

Na czele tego, jak i wielu innych napadów, stał Kotwicki ze wsi Borownica. Chłopi zapamiętali go dobrze, bo w akcjach przeciwko Ukraińcom zdobył już sporą sławę.

Borownica była siedliskiem najgorszej, polskiej szowinistycznej bandy. Razem z przysiółkami Czechy, Czarny Potok, Żmuliska i Czerteż liczyła 250 domów. Tu znalazł przytułek i z czasem stał się hersztem wszystkich antyukraińskich akcji, Jaśko Kotwicki. Mówiono o nim, że przybył gdzieś z Wołynia, gdzie również walczył z Ukraińcami. W walce z UPA stracił oko, przez co ludzie nazywali go Ślepy. Za rozbój przeciwko Ukraińcom nikt go nie karał, wszystko odbywało się za cichym przyzwoleniem władzy. Oddziały NKWD tropiły ukraińskich nacjonalistów, młodych mężczyzn wysyłano na front, ludzi wywożono na Wschód. W takiej sytuacji rujnowanie ukraińskich wsi było im na rękę; po pierwsze niszczyło bazę dzięki której funkcjonowało UPA, po drugie antyukraińskie akcje stawały się decydującym argumentem dla wielu ukraińskich rodzin, by „dobrowolnie” zostawiać swoją ziemię i wyjeżdżać do ZSRR. Taka sytuacja stwarzała też odpowiednie warunki dla rozwoju jak najgorszych ludzkich instynktów. Spis „bojowych wyczynów” polskich band jest bardzo długi. Bandyci napadali na wsie znienacka, wtedy gdy w pobliżu nie było ukraińskich oddziałów. Na tym terenie działało zaledwie kilka naszych bojówek, dlatego rabusie mogli bezkarnie grabić

ukraińską ludność. 2 II 1945 roku Kotwicki napadł na przysiółek Jawornika Ruskiego – Rybne. Żyło tam około 30 rodzin. Banda zakatowała na śmierć trzynaście osób, wielu ludzi ciężko pobito i okaleczono, spalono również większość domów. Ponieważ nasza mała grupa nie była w stanie przeciwstawić się licznym antyukraińskim akcjom, zaproponowaliśmy chłopom, by tworzyli oddziały SKW.

W tym czasie do IV-go rejonu przybył czotowy Zalizniak (Mychajło Ozymko) z sotni Hromenki. Stanął na czele kuszczaka samoobrony i zakwaterował w Rybnem.

16 II wszczęto alarm, banda Kotwickiego napadła na przysiółek Netrebki. Zanim Zalizniak zjawiał się tam ze swoim SKW, bandyci zdążyli wziąć do niewoli naszą rejonową prowidnycę (niestety, nie pamiętam jej nazwiska). Dziewczyna, gdy zobaczyła swoich, zaczęła uciekać, lecz dopadły ją kule wroga. Czotowy od razu zorientował się, że Kotwicki ma przewagę i wycofał się w kierunku Rybnego. Bandyci byli dobrze uzbrojeni, ale pomieszczenia fołwarku, w którym schronił się Zalizniak, stanowiły doskonałą ochronę dla naszych żołnierzy. Zaalarmowano bojówkę Zatoki, a także Łewa, który kwaterował w Morochowie. Przybyliśmy w samą porę, bo po trzech godzinach walki Zalizniakowi już kończyła się amunicja. Zaatakowaliśmy tyły nieprzyjaciela. Bandyci na nasz widok pochwycili swych rannych oraz zabitych i uciekli. Było ich około 300, a oddział Zalizniaka i nasza bojówka liczyły po 50 osób.

Niedługo potem Ślepy z bandą zaczął grabić wieśniaków w Piątkowej. Nasza bojówka była zbyt mała, by zaatakować rabusiów.

Uciekliśmy się do podstępu. Zatoka kazał rozebrać mostek między Piątkową a Żohatynem i tam urządzić zasadzkę. Niestety, nasze plany przekreślili milicjanci z Jasienicy, którzy wybrali się wozami do wsi, aby zagarnąć część łupów. Nie pozostało nam nic innego, jak



skosić ich seriami z automatów. To uratowało Ślepego, bo gdy usłyszał strzały, uciekł do Tarnawki.

Rejonowy prowód UPA kilka razy przestrzegał mieszkańców Borownicy, aby bandy przestały znęcać się nad ukraińską ludnością. Wreszcie cierpliwość się skończyła. Postanowiono urządzić akcję odwetową. Na nasz teren przyszedł kurinnyj<sup>18</sup> Konyk, czoty Hromenki, Łastiwki, Zruba i Cajki. Z pojedynczych bojówek na czas akcji utworzono bojowe czoty pod komendą Zalizniaka i Bisa. Za całość akcji odpowiedzialny był komendant Chrin. Nasz wywiad ustalił, że Kotwicki ma w Borownicy 300 dobrze uzbrojonych zbirów, 30 ckm-ów, moździerz i armaty różnego kalibru. We wsi prawie stale kwaterowała kompania polskiego wojska. Osadę otaczały bunkry i zasieki, przy których stały czujki z ckm-ami. Istna forteca.

Początek akcji wyznaczono na godzinę trzecią nad ranem. Komendant Hromenko i bojówki zajęły pozycje w przysiółku Czechy. SKW Zalizniaka otrzymał zadanie dotarcia do domu Bańkowskich i ujęcia Kotwickiego, który tam mieszkał. Pozostali mieli zaatakować okopy i wdrzeć się do osady. Oprócz broni, każdy dostał łuczywo i naftę, by podpalić wieś. Padał ulewny deszcz i na miejsce akcji przybyliśmy godzinę później niż zaplanowano. Wieś spała. O czwartej trzydzieści w przysiółku rozbłysła rakietą, znak do ataku. Wdarliśmy się do okopów. Na wpół śpiący Polacy nie mieli nawet czasu, by wystrzelić w swej obronie. Szczęście miał tylko Ślepy. Gdy rój<sup>19</sup> Kałyny podkraść się pod jego dom, komuś z naszych nieopatrznie wystrzelił karabin. To wypłoszyło starego lisa. Tak jak stał, w bieliźnie, wyskoczył przez okno i zniknął w ciemnościach. Choć płonące chaty rozjaśniły noc, zginął po nim ślad. Polacy szybko zorientowali się w sytuacji i zaczęli stawiać opór. Zgrupowali się koło starego, murowanego

kościółka i otworzyli ogień. Pierwszy padł strzelec Korostyński. Hrin z naszej bojówki chciał go zabrać z pola boju, ale kule przeszły również jego. Chruszcz i ja próbowaliśmy dotrzeć do nich, lecz kula raniła Chruszcza w nogę i musieliśmy się wycofać. By choć trochę powstrzymać nieprzyjacielski ogień, skierowaliśmy na kościół nasze moździerze. Walka trwała już dobrą godzinę. Gdy zaczęło świtać, błysk rakiety dał sygnał do odwrotu. W samą porę, bo nasi zwiadowcy przybiegli z informacją, że ze wsi pędzi polskie wojsko. Gdy żołnierze przybyli na miejsce, Borownica była jednym wielkim ogniskiem. Ostał się jedynie murowany kościół. Zginęło około 200 osób, wielu też było rannych.

Ciała Korostyńskiego nie udało się nam zabrać. Leżał na ziemi z zaciśniętą w rękach bronią. Gdy któryś z Polaków podszedł do niego, by wyrwać mu karabin... broń niespodziewanie wypaliła, kładąc trupem wroga. Później, między sobą, Polacy mówili, że banderowcy strzelają nawet po śmierci.

Podliczyliśmy nasze straty – 7 żołnierzy zginęło, 9 było rannych. W walce wielką odwagą odznaczył się strzelec Medwid' ze wsi Łodynki. Nie zważając na kule wroga, wyносił z pola boju rannych i zabitych.

Nasze akcje odwetowe na krótko tylko hamowały działalność polskich band. Było nas zbyt mało, by za każdym razem gdy napadały na ukraińskie wsie, podejmować z nimi walkę. Walczyć mogliśmy tylko w większych grupach, jednocząc bojówki i SKW kilku rejonów. Akcje odwetowe miały na celu powstrzymanie polskich band przed znęcaniem się nad naszymi wieśniakami, przed napadami na ukraińskie osady i zabijaniem Ukraińców.

Inną polską, szowinistycznie nastawioną wsią, była Dylągowa. Ukraińcy nie żyli tu nigdy. Gdy w 1938 roku Ukrainiec ożenił się z Polką z Dylągowej i zamieszkał u żony, sąsiedzi podpalili mu dom i był zmuszony wynieść się ze wsi. Tu, po Borownicy, znalazł sobie

18. Kurinnyj – dowódca kurenia, jednostki UPA, odpowiednika batalionu.

19. Rój – odpowiednik drużyny, pododdział czoty, liczył 10-12 ludzi.

prztyłek Kotwicki, służąc swoim doświadczeniem dylągowskim zbi-  
rom.

Na początku października 1945 roku nasza bojówka otrzymała rozkaz stawienia się w Jaworniku Ruskim. Na miejscu zastaliśmy już bojówkę Bisa, prowidnyka Borysa, kurinnego Konyka, sotnie Hromenki, Łastiwki, Jara i Burlaki. Od razu stało się jasne, że zaplanowano jakąś większą akcję. Na zbiórce kurinnyj Konyk opisał nam swawolę polskich, szowinistycznych band i stwierdził, że zniszczenie Borownicy niczego nie nauczyło Polaków. Nadal kontynuują swą krwawą robotę. Wobec tego jesteśmy zmuszeni zastosować akcje odwetowe we wsiach Dylągowa, Bartkówka, Sielnica i Pawłokoma (nawiasem mówiąc, Pawłokoma w większości zasiedlona była przez Ukraińców, ale na początku 1945 roku Polacy wymordowali tam 460 osób, zajmując ich gospodarstwa). Każda sotnia dostała oddzielne zadanie. Sotnia Hromenki i bojówki miały zająć się Bartkówką. Uprzedzono żołnierzy, by pod żadnym pozorem nie strzelali do starców, kobiet i dzieci.

Noc była tak ciemna, że nie widać było nawet pleców poprzedzającego. Padał deszcz. Sotnia Hromenki zatrzymała się nad Bartkówką, bojówki Bisa i Zatoki zajęły pozycje nad Sanem, na wypadek, gdyby „towarzysze” zza Sanu zdecydowali się pomóc Polakom. Akcja miała rozpocząć się o pierwszej w nocy. Przyczajeni, czekaliśmy na sygnał czerwonej rakiety.

Strzelec Swiżyj z bojówki Bisa szeptem opowiadał nam, że w tym miejscu Polacy zabili jego brata. Razem uciekli z szeregów Czerwonej Armii, ze Słowacji. Szczęśliwie dotarli aż do Bartkówki. Zapukali do jednej z chat, prosząc o kawałek chleba. Nie wiedzieli, że tutejsza ludność jest nieprzychylnie nastawiona do Ukraińców. Złapali ich uzbrojeni chłopci, rozebrali do naga i popędzili nad San. Tam ustawili ich tak, by zabić jednym strzałem. „Szkoda nawet dwóch kul, na ukraińskich chamów” – kpili. Swiżyj odepchnął brata i obaj rzucili

się do ucieczki, każdy w inną stronę. Brata trafili dwa razy, jemu udało się uciec. Dobiegł aż do Sielnicy. We wsi na płocie zobaczył płachtę, owinął się nią, chowając pod płótno długie polano. Pod przykryciem wyglądało jak broń. Wbiegł do pierwszej z brzegu chaty z okrzykiem: „ręce do góry”. W domu był starszy mężczyzna i jego córka. Bez sprzeciwu dali mu ubranie i buty...

Nagle niebo rozjaśniła rakietą. Zewsząd na strzechy posypały się zapalające pociski. Zrobiło się jasno jak w dzień. Z którejś chaty wypadło około dwudziestu uzbrojonych mężczyzn. Automaty sotni powaliły ich na ziemię.

Naszej czujce nad Sanem nie dane było odpoczywać. Niebawem na rzece pojawił się prom z „pomocnikami”. Siedzieliśmy jak myszki pod miotłą, póki prom nie zbliżył się do brzegu. Wówczas sypnęliśmy ogniem... Z naszych stanowisk widać było jak ludzie ze wsi uciekają za San, w większości były to kobiety i dzieci. Nikt im nie przeszkadzał. Nareszcie błysk białej rakiety, akcja zakończona. Odwrót. Za nami zostało olbrzymie ognisko. Na drodze spotkaliśmy furmankę. Siedział na niej mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci. Rozkazaliśmy im unieść ręce do góry. Mężczyzna, zamiast w górę, sunie rękę do kieszeni. Chruszczyk, który stał najbliżej wozu, uderzył go po niej i na ziemię potoczył się niemiecki pistolet. Nagle Pawłyk rozpoznał mężczyznę: „To przecież dylągowski leśniczy! Morderca, zabił mi matkę i siostrę”! Pawłyk wycelował broń, ale politwychownyk<sup>20</sup> Zorjan złapał go za rękę. „Lepiej będzie jeżeli dzieci zapamiętają, że UPA darowała życie ich ojcu, chociaż to morderca, niż miałyby pamiętać, że go zamordowała”. Pawłyk nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pozwolono mu pomścić śmierci najbliższych. Długo narzekał na „propagandę”...

20. Politwychownyk – oficer polityczno-wychowawczy.

Korciło mnie, żeby znów pójść do Iskani. Wytrzymałem ze dwa tygodnie, ale dłużej już usiedzieć nie mogłem. Przekonałem Kruka, że trzeba koniecznie odnieść Anielce koc. Trzeba to trzeba.

Późno w nocy zatrzymaliśmy się przed domem Kruciów. Anielka była przestraszona. Odwiedzili ją żołnierze z KBW, pytali o upowców, czy nie stwierdziła nic podejrzanego, bo w lasach wciąż jeszcze ukrywają się bandyci. Odpowiedziała im, że nic nie wie.

– Wiecie co nas czeka, gdyby dowiedzieli się, że spotykam się z wami. Boję się! KBW urządziła po wsiach zasadzki. Nie jestem waszym wrogiem, wierzę w Boga i gotowa jestem wam pomóc, ale boję się o siebie i o was, bo gdyby nas tu zobaczyli... Musimy umówić się, kiedy znów przyjdziecie. Wtedy będę na was czekać. Jeżeli we wsi będzie KBW, w oknie zapalę dużą lampę, jeżeli będzie spokój, pogaszę światła.

Dobry Boże! Są więc jeszcze na świecie dobrzy ludzie! Nie wiedzieliśmy jak mamy dziękować. Zanim się pożegnaliśmy obdarowała nas żywnością i ustaliła termin następnego spotkania.

W wyznaczonym dniu znów ruszyliśmy do Iskani. Lato 1948 roku było deszczowe, akurat zerwała się burza. Mokrzy i zabłoceni podkradliśmy się pod dom Anielki. W oknie paliło się słabe światło. Masz ci los! A to co znaczy? Lekko skrobnałem w szybę, Anielka natychmiast zjawiła się w oknie i ruchem ręki dała nam znak, by uciekać. Wpadliśmy w zarośla. Burza rozszalała się na dobre, błyskało, grzmiało i deszcz lał jak z cebra. W taką pogodę nie sposób przedrzeć się do kryjówki, ale w krzakach też nie można było zostać. Pomyślałem o cmentarzu. Było tam kilka grobowców, gdzie można by się schować. Tak też zrobiliśmy. Z trudem odsunęliśmy drzwi jednego z nich i weszliśmy do środka. Po omacku naliczyłem cztery trumny, ale martwych się nie bałem. Zagrozić nam mogła tylko polska obława. Dlatego też, choć było nam ciepło i sucho, po godzinie postanowiliśmy uciekać. Ale dokąd? Gdzie można spokojnie prze-

czekać niebezpieczeństwo? Nagle zaświtała mi myśl! Przecież obok jest cerkiew!

Nasza cerkiew! Kiedyś duma całej wsi! Cerkiew, w której byłem chrzczony i gdzie chodziłem z mamą za rękę. Teraz w świetle błyskawic stała przed nami straszliwa ruina, rozbite okna, wyłamane drzwi. W środku było jeszcze gorzej. Obdarła ściany, pod nogami szkło i zniszczone ikony. Weszliśmy na chór, a stąd po jakiejś desce wdrapaliśmy się do wnętrza kopuły. Niech się dzieje wola Nieba! Jeżeli nas znajdą, to chociaż zginiemy w świątyni, mimo że „kulturalni” Polacy zamienili ją w ruinę.

Przesiedzieliśmy tak z dobrą godzinę. Deszcz uciął dopiero po południu. Przez szpary w deskach obserwowaliśmy osadę. Koło domu Anielki kręcili się ludzie w mundurach. Potem zauważyliśmy, że są w kilku innych punktach wsi. Było ich około czterdziestu. Nie spuszczałyśmy z nich oczu. W grupach krążyli wśród zrujnowanych chat, zaglądali do środka, potem obeszlą cmentarz, zajrzeli do grobowców i w końcu skierowali się do cerkwi.

Zaparło nam dech w piersiach. Oto i koniec! Żołnierze thukli się po świątyni, słychać było trzeszczące pod ich nogami szkło i rzucone przekleństwa. Kilku żołnierzy weszło na chór, pochodziło i szybko zeszło na dół. Jeszcze kilka obelżywych okrzyków i... O Boże, dzięki Ci! Zgraja wyszła z cerkwi. Z naszego obserwacyjnego punktu widać było jak opuszczają wieś.

Późno w nocy zakradliśmy się do obejścia Kruciów. Anielka była na podwórzu. Gdy nas zobaczyła, zaczęła płakać. Wycierając łzy rękoma opowiadała, że wojsko stanęło we wsi jeszcze wieczorem. Żołnierze rozstawili cekaemy i zakwaterowali w chatach. Uratowała nas burza. Tylko dzięki niej mogliśmy nie zauważeni ominąć czujki. Anielka nie mogła zapalić lampy, by uprzedzić nas o niebezpieczeństwie, bo jakiś oficer kazał jej zgasić światło. Powiedziała, że ma cho-

re dziecko, więc pozwolił zaświecić malutki kaganek. Szczypała dziecko, aby płakało i stojąc przy nim zerkąła do okna.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Ale ja strasznie się boję. Chodziłam nawet dzisiaj rano do spowiedzi. Musiałam się wyspowiadać, że pomagam ukraińskim partyzantom. I wiecie co mi ksiądz powiedział? Powiedział: „nie bój się dziecko! To nie grzech, bo Pismo Święte mówi – kto głodnemu daje, temu Bóg oddaje.” I jeszcze powiedział, że ci, którzy walczą i giną za ojczyznę nie są bandytami!

Anielka wyznaczyła nam termin następnego spotkania, lecz nie nocą, a o zmierzchu. Jeżeli będzie bezpiecznie, ona będzie kręcić się po podwórzu. Akurat w tym czasie przypadają ukraińskie Zielone Święta.

Kobieta obdarowała nas jedzeniem, przeżegnała na drogę, a potem długo jeszcze stała na podwórzu i wzrokiem odprowadzała nas do lasu.

Świadomość, że są na świecie dobrzy ludzie czyniła nasze życie jaśniejszym i dawała nadzieję przetrwania. Co prawda niebawem pojawił się nowy problem, w rozwiązaniu którego nie mogliśmy liczyć na pomoc tych dobrych ludzi.

Potrzebne nam było nowe ubranie i buty. Gdy w maju rozstawaliśmy się z naszymi przyjaciółmi, oddaliśmy im całe swoje ubranie, zostając w tym, co mieliśmy na sobie. Teraz nasze polskie mundury wyglądały żałośnie, a poza tym, w obecnej sytuacji, lepiej byłoby mieć cywilny ubiór. Ale jak go zdobyć? Gdzie? Długo nad tym myśleliśmy. W końcu doszliśmy do wniosku, że nadzy chodzić nie możemy, podarować też nikt nam nie podaruje, więc musimy zaryzykować i zdobyć odzienie w jakiejś polskiej wsi.

Na eskapadę Kruk wybrał dobrze mu znany mały przysiółek koło Brzeżawy. Było tam zaledwie kilka chat, a poza tym mieszkańcy osady byli szowinistami. W 1945 roku naprowadzili wojsko na rój z sotni

Hromenki i razem z żołnierzami brali udział w obławach na ukraińskich powstańców.

Któregoś ranka podkradliśmy się do przysiółka i usadowieni na wysokim nasypie cały dzień obserwowaliśmy wieś. Kruk rozpoznawał nawet niektórych chłopów, krzątających się w swoich gospodarstwach. Pod wieczór wszystko ucichło, tylko przed jedną z chat pojawił się funkcjonariusz ORMÓ z bronią. Bez szmeru podkradliśmy się do niego i zanim się zorientował, jego karabin był już w naszych rękach.

– Gdzie komendant ORMÓ?

Wartownik ze strachu nie mógł wypowiedzieć słowa, tylko ruchem głowy wskazał nam chatę. Odbezpieczyłem broń i nakazałem mu iść z nami do komendanta. W domu zastaliśmy mężczyznę w sile wieku, jego żonę i 16-letniego chłopca. Kazałem im położyć się na podłodze, a Kruk odczytał zawczasu przygotowane oskarżenie: wydanie przez gospodarza na śmierć kilku powstańców w 1945 roku i udział w obławach. Za te zbrodnie należy mu się kara śmierci, ale my nie przychodzimy po to, by wykonać wyrok. Musi oddać broń i amunicję, wojskowe mundury, cywilne ubranie, obuwie i bieliznę. Niech nie próbuje stawiać oporu, bo przysiółek obstawiony jest naszymi ludźmi.

Po chwili stał przed nami wór z wszelkim dobrem. Żonie i synowi „poradziliśmy”, by siedzieli cicho, a komendant i wartownik mieli zaprowadzić nas do domu obok. Tu sytuacja się powtórzyła. Kruk dobrze pamiętał gospodarza tego domu, bo wślawił się „heroicznymi” czynami przeciw UPA. Jakże przykro było patrzeć na żalosne zachowanie młodego, zdrowego mężczyzny, gdy Kruk odczytał „wyrok”. Nawet jego żona i matka zachowały więcej godności. Mężczyzna padł na kolana i błagał, by go nie zabijać.

– Bierzcie wszystko! W skrzyni jest 20 tysięcy złotych, które niedawno dostała moja żona na wiano. Bierzcie, tylko darujcie mi życie.

Nie zamierzaliśmy odbierać mu życia, ale pieniądze i ubranie zabraliśmy. Jeszcze raz uprzedziłem ich, by nie robili żadnych głupstw i biegiem ruszyliśmy do lasów Hroszówki. Odległość była spora, około 6 km. Myślę, że nie zdążyliśmy przebiec nawet 2 km, gdy usłyszeliśmy krzyki, strzały i szczekanie psów. Ścigali nas! A tu ciemno, choć oko wykol. Potykaliśmy się, padali, wstawali i znów biegli naprzód. W którymś miejscu osunął się nam grunt pod nogami i stoczyliśmy się w głęboki wąwóz. Po forsownym biegu kłuło mnie serce. Kruk, silniejszy ode mnie, chwycił obydwie worki, oddał mi zdobyczną broń i pobiegł naprzód. Zaczęło już świtać, gdy na szczęście ujrzyliśmy potok. Woda to jedyny ratunek przed psami. Człapiąc po kolana w wodzie, niebawem dotarliśmy do rzeczki. Tu już orientowaliśmy się w terenie, potok płynął z Hroszowskiego Lasu. Nie było lekko iść pod prąd i jednocześnie w górę, ale byliśmy szczęśliwi, krzyki ludzi i szczekanie psów wyraźnie wskazywały na to, że pościg zgubił nasz ślad. Niedaleko Borownicy ukryliśmy nasze trofea, a sami cały dzień przesiedzieliśmy na wysokich jodłach. W lesie słychać było ludzkie głosy, skowyt psów, ale wszystko daleko od nas.

Po tej „wycieczce” ze dwa tygodnie nie wylaziliśmy z bunkra, ale potem znów zaczęło nas ciągnąć do ludzi. Postanowiliśmy odwiedzić Fenię.

Tak jak pierwszym razem, zastaliśmy go przy pracy w polu. Choć nikogo w pobliżu nie było, nie odważyliśmy się wywołać go, dopóki nie zbliżył się do lasu. Gdy usłyszał głos Kruka, od razu podszedł i przywitał się z nami, bez jakiegokolwiek skrępowania.

— Chłopcy, na litość Boską, bądźcie ostrożni! Ja was nie zdradzę. Nie jestem komunistą. Ja komuny nienawidzę! Ale we wsi są też inni ludzie, ot choćby Józek Olejcin, Kaczmarczykowie, Karnaś. Oni cię Stefan znają i będą szczyścić się tym, że oddali cię w ręce KBW. Co im tam. Oni w Boga nie wierzą. A KBW cały czas się tu kręci, wypytuje

ludzi, czy nie widzieli „ukraińskich bandytów”. I mnie się pytali...  
A was tylko dwóch?

Kruk przytaknął kiwnięciem głowy. Feń z zakłopotaniem podrapał się po czole, w jego oczach zjawilo się współczucie.

— No, muszę iść do roboty. Siedźcie tu w krzakach i nie wylazcie. Niedługo żona przyniesie obiad.

Koło południa na polu zjawila się Feniowa z koszykiem w ręku. Feń widocznie opowiadał jej o nas, bo wymachiwał rękoma i pokazywał skraj lasu. Potem oboje przysiedli „w chłodku”, w lesie i zaczęli jeść. Patrzyliśmy na nich z krzaków, ale żadnemu z nas nie wystarczyło odwagi, by podejść. A oni sami nie czynili nic, by nas zachęcić. Wreszcie Kruk nie wytrzymał i wylazł z zarośli. Nie pamiętam co tam powiedział, ale Feniowa zaśmiała się wesoło. Nie było na co czekać, postanowiłem się przysiąść.

— Siadajcie, siadajcie! Nie spodziewałam się co prawda gości na obiedzie. Dużo tego nie ma, ale częstujcie się. Na kolację przyniosę więcej.

Opowiedzieliśmy im co nieco o naszej sytuacji, a oni zrelacjonowali nam nowiny. Najbardziej interesująca była wiadomość, że Józef Kłym-Kałyna z sotni Hromenki, napisał list z Francji do swej żony, do Dynowa. Między Feniami i Kałyną od dawna istniały przyjacielskie stosunki, jeszcze z czasów, gdy sotnia Hromenki działała na tym terenie.

Wieczorem Feniowa przyniosła olbrzymi koszyk z jedzeniem, na kolację dla wszystkich i jeszcze dla nas na drogę. Feniowie zapraszali, by zaglądać do nich częściej, lecz by zachować ostrożność. Chętnie nam pomogą, jeżeli tylko będą mogli. I rzeczywiście, ta wspaniała polska rodzina w ciągu tych lat stała się nam bardzo bliska. Na jedno z kolejnych spotkań przyszedł Józef Feń, kolega Kruka ze szkolnych lat.

Serdeczność Feniów była dla nas nie tyle materialną, ile moralną podporą. Staraliśmy się jednak nie dokuczać zbyt często tym dobrym ludziom w Hucie. Już kilka tygodni nie zaglądaliśmy do Iskani i trzeba się było dowiedzieć, co słychać u Kruciów.

Do Iskani przyszlismy o zmierzchu. Ukryci w gęstej wierzbie, czekaliśmy na Anielkę. Niebawem zjawiała się na podwórzu i zaglądając we wszystkie kąty, głośno mówiła sama do siebie: — Gdzie się podziały te przekłete kaczki? Wszystko na mojej głowie, jeszcze gdzieś polazły te cholerne bachory, Milek i Włodek (jej młodsi synowie). Raz nie ma kto pomóc.

Z zachwytem przysłuchiwałam się temu narzekaniu. Urodzona aktorka. Gdy podeszła bliżej, dałam jej znać, że jestem.

— No tak, siedzą w krzakach! Czekaście, zaraz was stamtąd przegonię! — I Anielka znalazła się przy nas.

Jej informacje były krótkie, ale konkretne. KBW co kilka dni patroluje wsie. Bardzo często urządzają zasadzki w Iskańskim Dole, koło domu Tereszczaków. Ludzie mówią, że w Kormanieckim Lesie KBW zniszczył duży bunkier. Zginęło wielu upowców. O całym zajściu dowiedziała się już po fakcie. Domyślaliśmy się, że chodzi o bunkier Wistuna, ale udawaliśmy, że o niczym nie wiemy. Milicja z Krzywcy wypytuje ludzi o upowców, o których wiadomo, że działali na naszym terenie. Chodzi o to, że Czesi złapali u siebie grupę powstańców i wydali ją Polakom. Teraz przygotowują rozprawę sądową.

Nie wracaliśmy do bunkra z pustymi rękami, Anielka zadbała o to, by nasze plecaki były pełne.

W lesie zjawily się pierwsze grzyby. Zbieraliśmy je i suszyli, by mieć prezenty dla naszych przyjaciół. Krukowi udało się złapać w sidła kilka zajęcy. Bardzo się cieszył, ale wciąż marzył o dziku.

W końcu sierpnia 1948 roku odbyliśmy czterodniową „podróż” do naszych starych punktów kontaktowych. Najpierw udaliśmy się do

Kupnieckich Lasów. Po drodze mineliśmy Bachów i jedyną w okolicy zamieszkaną wieś — Jasienicę. Mieszkali tu sami Polacy, toteż nikogo stąd nie wywieziono. Sprawdziliśmy wszystkie kryjówki, ale nie było żadnej poczty. Potem poszliśmy do Turnickich Lasów, ale i tam nic na nas nie czekało. Spotkaliśmy tylko dziki.

...Bachów przypominał mi tragiczne wydarzenia 1945 roku. To była piękna wieś! Duża, rozległa, liczyła ponad 500 gospodarstw. Również pobliska Berezka była sporą osadą, liczyła 350 domostw. Co z nich zostało? Wśród straszliwej ruiny ledwie gdzieś stała, cudem ocalała, pusta chata.

Polscy bandyci napadli na Bachów i Berezkę 18 grudnia. Od kilku dni nasz oddział kwaterował w Iskani, skąd stale robiliśmy wypadki do pobliskich wsi. Przekonywaliśmy chłopów, by organizowali oddziały samoobrony. Niestety, nasza akcja nie przynosiła rezultatów. Szczególnie w Bachowie i Berezce. Ludzie tam byli pasywni i nie bardzo świadomi. Duża w tym „zasługa” księdza Sembratowicza, wieloletniego proboszcza Bachowa, upartego moskofila. Był bardzo lojalny w stosunku do Polaków, przyjaźnił się z polskimi księżmi i ludźmi nieprzychylnie nastawionymi do Ukraińców. Co prawda, los odplacił mu za to. Gdy bandy napadły na Bachów, uciekł do Babic. Ale tam dopadli go i zastrzelili.

Rano zbudziła nas strzelanina, a w chwilę później przybiegli zawiadowcy, z krzykiem, że Polacy mordują ludzi i palą ich domostwa w Bachowie i Berezce. Nasza bojówka i kuszcz samoobrony z Iskani ruszyły na odsiecz. Już z daleka zobaczyliśmy ogień, słychać było strzały, lament ludzi i ryczenie bydła. Zatoka rozkazał kuszczowi mając pozycje w gęstych krzakach nad potokiem i uważać, by Polacy nas nie otoczyli. Tymczasem bojówka podkraśniała się pod wieś. Od razu stało się jasne, że jest nas za mało. We wsi oprócz cywilnych band było także polskie wojsko. Ich siły przewyższały nasze stokrotnie.

Pękały nam serca z rozpaczy. Przecież nie możemy czekać, aż wszystkich wytluką. Podsunęliśmy się bliżej. Zatoka rozkazał nastawić celowniki naszej broni na jak najdalszą odległość. Oczywiście, mogliśmy liczyć jedynie na to, że ich wystraszymy.

Otworzyliśmy ogień. Strzelanina spłoszyła konie, najpierw te zaprzężone, a później i wojskowe. Polacy w odpowiedzi zagrali na „maksymie” i uruchomili moździerz. Nie orientowali się w jakiej odległości od nich się znajdujemy i dlatego ich kule nas nie sięgały. Jedyny pocisk, który upadł niedaleko, przysypał ziemią strzelca Rybołowa. Zaterkotały również karabiny SKW. Polacy, zapomniawszy o nas, zaczęli biec w ich kierunku. Gdy wyszli na szosę skierowaliśmy na nich całą siłę ognia. Rój SKW wycofał się do lasu. Z przysiółka Sokół przybiegł do nas jakiś chłop z informacją, że Polacy nas okrążają. Natychmiast znaleźliśmy się wśród chat we wsi i stąd przedarliśmy się do lasu, gdzie dołączył do nas rój SKW. Polacy nie ruszyli naszym śladem, bo obawiali się stracić zagrabione dobro. Wśród nas największe obawy przeżywał strzelec Czornjuk, który zostawił w Bachowie żonę. Istniała możliwość, że rabusie nie oszczędzili jej, choć była Polką. Wyrwał się by biec do wsi, ale Zatoka zabronił mu twierdząc, że udamy się tam wspólnie, jak tylko minie niebezpieczeństwo. Późnym wieczorem ruszyliśmy do wsi. To co zastaliśmy na miejscu było wstrząsające.

Na pogorzeliisku leżały zwęglone szkielety. Mężczyźni, kobiety, także dzieci. Na plebanii w Berezce znaleźliśmy bezgłowe ciała księdza Biłyka i jego żony. Ich odrąbane głowy poniewierały się daleko od tułowia.

Nie sposób opisać tej straszliwej zbrodni. W Bachowie i Berezce zamordowano wówczas 465 bezbronych ludzi, dwie trzecie których stanowiły kobiety! Wśród nich zginęła również żona Czornjuka. Liczba ofiar nie jest przesadzona. Żyją jeszcze ludzie, którzy pamię-

tają ten mord i dysponują spisem pomordowanych osób. Ilu bezbronych ukraińskich wieśniaków zginęło na całym „Zakierzoniu”?

Nasza grupka zabiła wówczas dziewięciu bandytów i tyłuż raniła...

Z Krukiem żyć było lekko. Miał przyjemny charakter. Zawsze uśmiechnięty, wesoły, towarzyski, odważny a jednocześnie ostrożny. W boju miał reputację pedanta i śpiewaka. Byliśmy rówieśnikami. Rozumieliśmy się bardzo dobrze i raczej zgadzali ze sobą. Jeżeli wynikały między nami jakieś nieporozumienia, umieliśmy spokojnie pogadać i ustąpić jeden drugiemu. Jednym słowem Kruk był swój chłop. Nasza przyjaźń pozwoliła nam przetrwać te długie, beznadziejne lata i zachować przy tym zdrowy rozsądek. Krukowi było jednak znacznie trudniej niż mnie. Nie wiedział jaki los spotkał jego piękną, młodą żonę i 2-letniego synka. Tysiąc razy zadawał sobie to samo pytanie: czy żyje? A jeżeli tak, to gdzie jest? Czy czeka na niego? Może myśli, że zginął. A skoro tak, to co stoi na przeszkodzie by młoda i piękna kobieta znalazła sobie innego mężczyznę. Kruk bardzo ją kochał i gdy pogrążał się w apatii, trudno go było pocieszyć. Zresztą, czy w ogóle można pocieszyć kogoś w takiej sytuacji?

Któregoś takiego czarnego dnia Kruk oznajmił mi, że wybiera się do Hawrylaków, bo być może otrzymali jakąś wiadomość od jego żony. Oczywiście, gdzie Kruk tam i ja. Pod dom Hawrylaków podkradliśmy się, gdy było już ciemno. Pierwszy wyczuł nas pies i, czort jeden, zaczął szczekać na całą wieś. Za chwilę na podwórzu wyjrzała Milcia. Była trochę przestraszona, ale ucieszyła się na nasz widok. Kruk od razu zaczął pytać ją o żonę. Dziewczyna wiedziała tylko, że mieszkańców Jawornika Ruskiego wywieziono w Olsztyńskie i Szczecińskie. Ale kogo, dokąd – nie wiadomo. Powiedziała nam, że w Siedliskach żyje krewny żony Kruka, Bolek Kaciuba.

Teraz Kruk nie myślał o niczym innym, tylko jak dostać się do Siedlisk. Argumenty, że to daleko, że teren niebezpieczny, że nie wiado-

mo jak przyjmie nas Kaciuba, nie trafiały do niego. Nie pozostawało nic innego, jak iść do Siedlisk.

Do wsi podeszliśmy jeszcze przed świtem i na wysokiej, zalesionej górze wybraliśmy sobie punkt obserwacyjny. Wieś i domostwo Kaciuby było widać jak na dłoni. Nie zauważyliśmy nic podejrzanego, jedynie zwyczajną, gospodarską krzątanicę. Wieczorem podczołgał się pod dom Kaciuby, który stał w odkrytym polu. Gdy Kaciuba wyszedł z domu, Kruk zawołał go. Na widok Stefana przestraszył się, ale znał adres do żony Kruka, do Koszalina. Po dłuższym namyśle zgodził się, by Kruk napisał list na jego adres. Stefanowi zrobiło się lżej na sercu.

Gdy wracając przechodziliśmy koło przysiółka Gdyczyn, Kruk przypomniał sobie, że zna tu bardzo porządnego Polaka, Józka Kijowskiego i że on również może coś wiedzieć o losie jego żony. Cóż, niech się dzieje wola Nieba — idziemy.

Drzwi otworzyła nam 20-letnia córka gospodarza, Danusia. Od razu poznała Stefana i wpuściła nas do domu. Kijowscy zgasili światło, na dwór wypuścili psa i zaczęliśmy rozmowę. Niestety, nie wiedzieli nic o żonie Kruka, radzili nam zwrócić się z tym do Kaciuby. Kruk nie przyznał się, że właśnie od niego wracamy. Kijowski mówił, że władza patrzy na niego spod oka. Zarzuca mu współpracę z UPA, bo jak to możliwe, że cały czas nie ruszał się z miejsca, gdy inne rodziny musiały uciekać ze wsi.

Kijowska poczęstowała kolacją, a gdy zaczęliśmy się zbierać w drogę, zaproponowała nocleg na strychu, bo akurat zerwała się burza. Tym ludziom można było ufać, więc skorzystaliśmy z ich gościnności.

— U nas w dzień ruch. Często zachodzą milicjanci — powiedziała kobieta, — ale wy się nie bójcie. Przychodzą na kieliszek wódki do mego starego.

Zaprowadzili nas na strych, a wejście na górę zarzucili snopkami. My jednak nie mogliśmy zasnąć. Zapadaliśmy jedynie w nerwową

drzemkę. Jeszcze dobrze się nie rozwidniło, gdy na podwórzu zaczęły zajeżdzać wozy i w kuźni Kijowskiego zawrzała robota. Przez szparę widać było jak gospodarz kuje konie i naprawia wozy. W porze obiadu zjawili się dwaj milicjanci.

— Dzień dobry, — głos Kijowskiego rozbrzmiewał na całe podwórko — chcecie podleczyć się wódeczką. Chodźcie, chodźcie.

Pod wieczór obejście opustoszało. Wtedy Danusia przyniosła nam obiad. Takich pyszności już dawno nie jedliśmy. Późnym wieczorem gospodarze zawołali nas na dół. Tu czekały już na nas gotowe paczki z jedzeniem i butelka wódki na drogę. Kijowscy prosili nas, by częściej do nich zaglądać, ale my powiedzieliśmy im, że wracamy na Ukrainę i nie wiemy kiedy znów będziemy w tych stronach.

Krukowi najwięcej radości sprawiało polowanie. Jak już wspominałem, był mistrzem w zastawianiu sidła, w które często wpadały zające. Ale coż dla myśliwego znaczy zając, gdy po lesie ganiają tabuny dzików, a on nie może na nie zapolować. Wreszcie postanowił kopać doły — pułapki. Osobiście nie byłem zachwycony tym pomysłem, bo jego realizacja wymagała dużego nakładu pracy. Dół musiał być odpowiednio głęboki i dobrze zamaskowany. Ale ponieważ wszelkie pomysły Kruka odwracały jego uwagę od tego co go najbardziej gryzło, losu żony i syna, postanowiłem je popierać. Szybko jednak okazało się, że nasza praca poszła na marne. Jeżeli nawet zwierzę wpadło do pułapki, równie dobrze mogło się z niej wydostać. A w dodatku, kiedyś ja sam wleciałem do dołu. Dobrze, że choć Kruk był w pobliżu, bo może musiałbym czekać na pomoc dzika.

Kruk nie mógł pogodzić się z klęską. Okazało się, że bez broni dzika nie da się upolować. Co prawda mieliśmy karabiny, ale użycie ich mogło przysporzyć nam kłopotów.

Co innego dubeltówka. W lasach często odbywały się polowania. Gdyby można ją gdzieś zdobyć. I Kruk zaczął marzyć o dubeltówce.



Z początku w ogóle, a potem, o konkretnej dubeltówce leśniczego Grządzieli. Widzieliśmy go często, jak z bronią na ramieniu, wciąż po tych samych utartych ścieżkach obchodził las. Zawsze siadał na tej samej polanie by odpocząć i zapalić papierosa. Kiedyś nawet, udając polskie UB, zaszliśmy do niego do domu, ale on, gdy nas zobaczył, po prostu uciekł. Wówczas odważyliśmy się na szalony krok. Napisaliśmy do niego list, w którym przyznawaliśmy się, że jesteśmy powstańcami, nie uczynimy mu krzywdy, wierzymy iż nas nie wyda, lecz potrzebujemy dubeltówki i naboji do niej. List powiesiliśmy na drzewie, naprzeciw kamienia, na którym zazwyczaj siadał, a sami schowaliśmy się w krzakach. Grządziela nadszedł wolnym krokiem, usiadł na kamieniu, wyjął z kieszeni papierosy i nagle zmarł. Poderwał się z miejsca i przeczytał nasze „posłanie”. Widzieliśmy jak trzęsą się mu ręce, jak przestraszony rozgląda się na wszystkie strony i chowając list do kieszeni, ile sił w nogach pędzi do domu.

– Świetnie to sobie wydumaliśmy! Bohaterzy! Teraz leśniczy poruszy całą KBW! Zginiemy przez głupią dubeltówkę!

Póki co, zdecydowaliśmy śledzić poczynania Grządzieli. Rozsiadaliśmy się na wzgórzu, nie spuszczać oka z jego domu. Całą dobę leśniczy nawet nosa nie wystawił za drzwi. Dopiero nazajutrz o świcie wyszedł z dubeltówką na ramieniu i spokojnym krokiem ruszył do lasu. My ostrożnie podążaliśmy za nim. Przyszedł na polanę, siadł na kamieniu, broń położył w trawie, potem zapalił papierosa i tym samym spokojnym krokiem wrócił do domu.

Ostąpieliśmy ze zdumienia, a za moment Kruk już ścisnął swoje „marzenie”. Obok dubeltówki leżało 20 naboji. Później nasi przyjaciele opowiadali nam, że leśniczego napadli kłusownicy. Zabrali mu broń i przydział amunicji. Zameldował o tym leśniczemu w Siedliskach i na milicji. A ponieważ kłusowników i złodziei w okolicy kręciło się niemało, nikt nie zamierzał ich szukać.

W przeciwieństwie do rozumu, szczęścia nam nie brakowało.

Gdy nadeszła pora żniw, trzeba było robić zapasy na zimę. W nocy, rozkładaliśmy na polu płachtę i ostrożnie wyjmując z kop snopy wytrząsaliśmy z nich ziarno. Później snopy wracały na swoje miejsce. W bunkrze były żarna, które swego czasu przyciągnęliśmy z pustej, chłopskiej chaty, toteż mąki na pierogi nam nie brakowało. Kartofle czekały na nas już gotowe, wykopane i wyspane w worki. Ale i tu trzeba było nieźle się namęczyć, zanim znalazły się w odległym o 5 kilometrów bunkrze. Na środku kryjówki stała beczka, w której kisiliśmy kapustę. Z ogrodów podkradaliśmy różne warzywa i oczywiście suszyliśmy grzyby. Bunkier pachniał kapustą, grzybami, cebulą i czosnkiem. Dubeltówka dostarczała nam dziczyzny, którą mogliśmy się dzielić z przyjaciółmi. Za pieniądze z posagu Polki z Brzeżawy, Feniowie i Anielka Kruć kupowali nam naftę, zapalki, sól, cukier, kawę i inne potrzebne rzeczy, również gazety, w których sporo pisano o procesach „ukraińskich bandytów”.

Pierwszy śnieg zimą 1948 roku spadł jeszcze w listopadzie, ale szybko stopniał. Potem znów zrobiło się ładnie. Zaprzagnąłem odwiedzić Iskań. Gdy rano wychodziliśmy z naszego „domu”, na dworze było słonecznie, ale po przebyciu jakichś 10 km, w połowie drogi, zerwał się wiatr i zrobiło się zimno. Na niebie zjawyły się chmury, które zupełnie przesłoniły słońce. W powietrzu zaczęły krążyć drobne śnieżynki, potem coraz większe, aż przemieniły się w gęsty, mokry śnieg. Zanim dotarliśmy do Kruciów zapadła noc i rozszalała się śnieżycą.

Anielka zapraszała nas do izby, ale uznaliśmy, że dla niej i dla nas bezpieczniej będzie jeżeli zostaniemy w stajni. Tego wieczoru przyszedł do nas sam gospodarz, Michał Kruć.

– Nie dziwcie się, że dotąd nie pokazywałem się wam na oczy. Boję się. Sami wiecie, że za kontakty z partyzantami dają 15 lat kary. Żal mi was i nie mam nic przeciwko temu, żeby żona wam

pomagała. To taki mój bohater. Ale ja... ja się boję. Nigdy was nie widziałem i wy mnie również nie znacie – powiedział.

Póki Anielka nakarmiła nas, póki pogadaliśmy, śniegu napadało po kolana i nic nie wskazywało na to, że przestanie sypać. Anielka zdecydowała bez nas, co mamy robić.

– Przenocujecie w piwnicy, w sąsiednim, zrujnowanym gospodarstwie. Trzymam tam jabłka i kartofle. A jutro zobaczymy.

Nazajutrz śniegu było już po pas i nadal szalała zamieć. Czulem się winny, bo to był mój pomysł z tym „spacerem”. Próbowaliśmy nawet usprawiedliwiać się przed Krukiem, ale kazał mi się zamknąć. Gdzieś w porze obiadu zjawiała się w piwnicy uśmiechnięta Anielka z koszem w ręce. Przyniosła dla nas obiad.

– Syn na koniu musiał mi przecierać ścieżkę do piwnicy. W domu nie ma ani jednego ziemniaka, więc przyszedł nabrać trochę w koszyk.

Ach ta Anielka! Istna czarodziejka!

Przesiedzieliśmy w piwnicy prawie 3 doby. Wreszcie zamieć zaczęła cichnąć. Dłużej nie mogliśmy tu pozostać.

Michał Kruć chciał podwieźć nas saniami do lasu. Przystaliśmy na to, ale pod warunkiem, że gdyby w polu zatrzymała nas milicja, powie, że nie wie kim jesteśmy, a do podwiezienia zmusiliśmy go siłą. Na szczęście nikt nas nie zatrzymał i bezpiecznie wydostaliśmy się za Tarnawkę, a dalej, by nie igrać z losem, powlekliśmy się pieszo. Iść było ciężko, bo wiatr wiał nam prosto w twarz. Niedawno po drodze musiały przejechać sanie, bo na śniegu widniały jeszcze ślady płóz i to trochę ułatwiało marsz. Niedaleko Piątkowej dostrzegliśmy naprzeciw dwie ludzkie sylwetki. Nie można się było schować, bo zdradzały nas ślady na śniegu. Szliśmy więc dalej, głośno, po polsku narzekając na pogodę. Gdy ludzie zrównali się z nami, padły słowa powitania i poszliśmy dalej. Za Żohatynem skręciliśmy w las. Tu było już mniej śniegu i słabiej wiał wiatr, ale iść nadal było ciężko. Pomyś-

lałem sobie, że gdyby nie to, iż znam tu każdy kąt, w tę zamieć nigdy nie trafiłbym do bunkra. Rano byliśmy na miejscu i nieprzytomni ze zmęczenia padliśmy na prycze. W taką pogodę można było czuć się bezpiecznie, zamieć i tak zatrze nasze ślady.

Obudziłem się pierwszy, Kruk spał snem sprawiedliwych. Nie chciałem go budzić. Gdy wyrzatem z kryjówki, słońce udawało się na spoczynek, pora była zabrać się za kolację. Kruk otworzył oczy, gdy grzybowa zupa na mięsie, przyprawiona czosnkiem, była już gotowa. Zjedliśmy ze smakiem, choć Krukowi brakowało jeszcze pierogów. Przepadał za nimi, ale nie umiał ich robić i co gorsza wcale nie chciał się nauczyć. Twierdził, że nie chce mi robić konkurencji.

...Zawsze gdy byłem w okolicy Żohatyna, przypominał mi się rok 1945. W tym czasie w Żohatynie i Lipie stale kwaterowały duże jednostki NKWD. Paraliżowały nasze ruchy, więc często urządzaliśmy zasadzki. Enkawudziści odpłacali nam tym samym, choć większą uwagę przywiązywali do wyłapywania dezertersów z Armii Czerwonej. Oddziały UPA również zatrzymywały dezertersów. Wielu z nich rzeczywiście uciekło z wojska, ale niekiedy trafiali do nas przebrani enkawudziści, którzy chcieli infiltrować nasze szeregi. Jeden z takich natknął się na mnie, gdy stałem na warcie. Twierdził, że pochodzi ze wsi Dublany koło Nowego Sambora. Znał ukraiński, polski i umiał się modlić. Po przesłuchaniu Zatoka postanowił go puścić, ale ten oświadczył, że chce z nami zostać. O jego, a może i naszym losie zdecydowała pogoda. Wilgotny śnieg przemoczył nas do suchej nitki, więc zaraz po powrocie do bunkra każdy zdejmował ubranie i buty. Tylko nasz uciekinier, ku wielkiemu zdziwieniu pozostałych, nie chciał się rozzuć. To wydało się nam podejrzane. Chłopcy na siłę zdjęli mu buty, oderwali podeszwy i znaleźli... różne zaszyfrowane dokumenty! Postawiono go przed sądem polowym.

Najsmutniejsze wspomnienie związane z Żohatynem, to śmierć komendanta Olenia. Oleń pochodził z Kotowa. Był niezwykłym śmiałkiem i ryzykantem. Któregoś dnia w Jasionowie enkawudziści niespodziewanie zaskoczyli na kwaterze Bisa. Na szczęście niedaleko był Oleń z bojówką. Jego oddział nosił mundury NKWD. Wpadli do domu pod pretekstem sprawdzenia dokumentów i póki autentyczni enkawudziści nie zorientowali się w sytuacji, nasi związali ich i uratowali Bisa.

W marcu Oleń zdecydował się na zniszczenie stancy NKWD w Żohatynie, która dokuczała nam niczym czyrak na szyi. Komendant zostawił swych chłopców na dworze, a sam wpadł do domu i jednym strzałem położył majora. Na szczęście oficer był sam w pokoju. Potem spokojnie wyszedł i skierował się do wartowni, by policzyć się z wartownikiem. Tu zaskoczył go jakiś lejtnant. Oleń strzelił, ale ten w konwulsjach zdołał jeszcze oddać celny strzał do komendanta...

Wartownik uciekł. Nim nadbiegli nasi chłopcy, Oleń już nie żył. Pochowano go na jego własnym polu, przy drodze z Lipy do Kotowa. Za życia zawsze powtarzał: „Jeżeli zginę, pochowajcie mnie na polu, przy drodze, tak by z daleka było widać mogiłę”.

Bojówkę Olenia przejął Lew, który również pochodził z Kotowa.

### III

Zima 1948–1949 była ostra i śnieżna. Po „iskańskiej przygodzie” straciliśmy ochotę by wypuszczać się na wędrowki. Ale na Boże Narodzenie, choć na dworze szalała zamieć, postanowiliśmy odwiedzić Hawrylaków. Niedaleko bunkra drogę przeciął nam dzik. Kruk, który nie rozstawał się ze swoją dubeltówką, strzelił i zabił zwierzę. Trzeba było wrócić po siekiere, potem pociąć mięso i zanieść do kryjówki. To wszystko zabrało nam sporo czasu. Nazajutrz, po namyśle zdecydowaliśmy, że lepiej nigdzie nie łązić. Święta spędziliśmy więc we dwójkę i do wiosny żaden z nas nie ruszył się z bunkra.

Woda, która zaczęła przedostawać się do naszego schronienia, była pierwszym zwiastunem wiosny. Pod koniec marca, na łącińską Wielkanoc, wybraliśmy się na spacer po lesie. Śniegu było niewiele, więc nie było też obawy, że zostawimy ślady. W ten sposób zaszliśmy prawie pod Hutę. Dzień był piękny, słoneczny, namówiłem Kruka by sięść i trochę odpocząć. Nagle dało się słyszeć szczekanie psa, a po chwili na ścieżce pojawili się kobieta i mężczyzna w mundurze gajowego. Szli w naszym kierunku. Natychmiast ukryliśmy się w krzakach, ale wyczuł nas pies. Nie było wyjścia, musieliśmy się pokazać. Powiedzieliśmy, że jesteśmy z ORMO i sprawdzamy czy w lesie wszystko w porządku. Gajowy był na gazie. Roześmiał się i uważnie spojrzał na Kruka.

– Teresa – zwrócił się do kobiety – przyjrzyj się dobrze, to przecież Stefan Soroczak z Jawornika Ruskiego.

– Ależ tak... Ale ten drugi nie z naszych stron, bo go nie znam. Kruk również poznał gajowego Polewkę. Dłużej kłamać nie było sensu. Zaczęliśmy „przyjacielską rozmowę”. Polak siłił się na dowci-

py i jedynie drżące dłonie zdradzały jak bardzo się boi. Na twarzy Teresy również malował się strach. Pewnie żalowali, że wygadali się, iż znają Kruka. Opowiadali nam jak miło było u znajomych i spytali skąd idziemy. Powiedziałem, że przyszliśmy z Ukrainy popatrzeć jak tu żyje się ludziom. Kruk zaproponował, że zajdzie do nich wieczorem pogadać, ale pod warunkiem, że nikomu o nas nie powiedzą. Polewka zapewniał, że będzie milczeć jak grób i czekać na nas wieczorem. Wymieniliśmy jeszcze kilka ukłonów i ruszyłem z Krukiem w swoją stronę.

Wieczorem wpadliśmy do Feniów, by zasięgnąć języka. Już na progu przywitali nas nowiną: cała Huta aż dudni od plotek, że UPA wróciła z Ukrainy. Zaalarmowano milicję, KBW i UB. Na pewno będzie obława, ale nie wiadomo jeszcze kiedy i gdzie. Feń radził nam, by rano wybrać sobie jakiś punkt obserwacyjny, niedaleko jego pola. On wyjdzie na łąkę i da nam znać jak się sprawy mają. Jeżeli rozpostrze ręce, oznacza to, że obława obejmie większy teren, jedna ręka w kierunku Huty, mniejsza obława i tylko w najbliższej okolicy. Rano koło ósmej Feń wyszedł na pole. Długo „szukał” czegoś w trawie, jedną rękę prostując, tak jak gdyby go bolała, w kierunku Huty.

Doszlśmy do wniosku, że obława, by dojść do lasu, musi przejść przez łąkę Fenia. Schowani w gęstych krzakach, czekaliśmy na żołnierzy. Niedługo potem ukazała się przednia straż, a za nią kompania KBW. Przecięła błonie na przelaj i weszła w las.

– Nie wiadomo jak daleko i którędy pójda. Bezpieczniej będzie, jeżeli ostrożnie podążymy ich śladem. Idziemy!

Kruk wyrósł w tych stronach, znał tu każdą wieś i las jak własną kieszeń. Tylko jemu znanymi ścieżkami i wąwozami dotarliśmy na tyły wroga. Nasi prześladowcy przecięli las na ukos i wyszli na szczyt Tatarskiej Patrii. Stąd zaledwie kilometr do bunkra. Zamarliśmy. Dokąd teraz pójda? Ale Polacy rozsiedli się na polanie by odpocząć. Nie musieli się spieszyć, przed nimi cały dzień. Minęła już pora obia-

du, gdy zeszli w dół i skierowali się w stronę bunkra. Pokręcili się jeszcze trochę i ruszyli w kierunku Piątkowego Dołu. Udaliśmy się ich śladem. Żołnierze doszli aż do drogi, nie opodał przysiółka Oberacz. Tu obława wyszła z lasu, przecięła łąki i ruszyła do Dylagowej, a my ile sił w nogach do bunkra.

Przez kilka dni siedzieliśmy jak myszy pod miotłą, a później zapragniemy odwiedzić przyjaciół. Najpierw wypadało pójść do Fenia. Chłop oznajmił nam, że wywołaliśmy panikę nie tylko w Hucie, ale w całym powiecie i UB nakazał milicji zachować we wsiach czujność.

Wiosną 1949 roku do swoich obejść wróciło sporo polskich rodzin, na gospodarstwa zostawione przez Ukraińców zaczęli przyjeżdżać polscy osadnicy. Rząd dawał im pożyczki na odbudowę zniszczonych domów. Część materiału budowlanego kupowali, a resztę kradli w lesie. W ogóle po lasach włóczyło się coraz więcej kłusowników i musieliśmy bardzo uważać, by nie zdradzić swojej obecności.

Pojawienie się osiedleńców na ukraińskich gospodarstwach wywołało bolesne wspomnienia, znów w pamięci odżyły sceny wysiedlania z ojczystej ziemi ukraińskich chłopów.

...Jeszcze wiosną 1945 roku zaczęły krążyć pogłoski o przesiedlaniu Ukraińców na Ukrainę. Polscy szowiniści przy każdej okazji odgrazali się: „dosyć już siedzieliście na naszych, polskich ziemiach, wynoście się do siebie, na Ukrainę”. Radzieckie komisje przesiedleńcze chodziły po wsiach i namawiały ludzi do wyjazdu. Wczesną jesienią stało się jasne, że przesiedlenie nie będzie dobrowolne. Na nasz teren zaczęto ściągać jednostki wojska i oddziały KBW, w polskich wsiach organizowano nowe i uzupełniano stare oddziały ORMO. Polacy otwarcie mówili, że będą wywozić Ukraińców i w swoich wsiach sporządzali spisy osób, a także liczbę wozów, które mogą dostarczyć na akcję.

Nasza bojówka kwaterowała w Iskańskim Dole. Zatoka wysłał mnie, Orła i Lutego do Iskani na zwiad i pozwolił nam odwiedzić rodziny. Ojciec niedawno wrócił z Dubiecka, gdzie cały tydzień przesiedział w areszcie. Razem z nim aresztowano naszego proboszcza, księdza Huka. Ojciec miał chore nogi, więc związano go i wrzucono na furę, a księdza przywiązano do wozu i pędzono aż do Dubiecka. Tu poddano ich przesłuchaniu nie szczędząc przy tym razów. Chciano dowiedzieć się od ojca, gdzie się ukrywam, ale on uparcie twierdził, że zabili mnie Polacy. Po tygodniu ojca wypuszczono, licząc widocznie na to, że po drodze dobije go jakaś banda. Ale on, wspierając się na lasce, dokuśtykał do domu. Księdza Huka zatrzymano, a później dostał 15 lat.

Teraz mogło to być nasze ostatnie spotkanie. Trudno było powstrzymać łzy. Mama wcisnęła mi w rękę ciepłą kurtkę i pobłogosławiła na drogę. Do bojówki wróciliśmy przygnębieni. Zatoka, po wysłuchaniu naszych raportów, napisał sprawozdanie i przekazał je rejonowemu prowidnykowi.

25 września 1945 roku, o godzinie 5-tej rano polskie wojsko, milicja i banda ORMÓ otoczyły Iskań. Mieszkańcom w ciągu godziny nakazano zebrać się na skraju wsi. Biegano wśród chat, poganiając ludzi. Tych, którzy dobrowolnie nie chcieli opuścić gospodarstw, bito i ciągnięto na siłę do punktu zbiórki. By zmusić ludzi do posłuszeństwa kilka osób zastrzelono. Nie można było zabrać ze sobą żadnych bagaży, a na zostawione w domach dobro czekali już polscy „sąsiedzi”. Wpadali do chat i chwyтали wszystko co wpadło im w ręce, rozbierali nawet domy. Mieszkańców Iskani oraz niedobitków z Bachowa i Berezki pognano do Birczy. Za godzinę we wsi nie było już nikogo prócz kilku osób, którym udało się zbiec. Jeden z uciekinierów opowiadał mi później, jak Polak z Bachowa, Józek Król, rzucił się do mojej matki i z dziką pasją wrzeszczał:

— Ty banderowska suko, teraz ja tu będę gospodarzyć!

Ogarnęła nas rozpacz, czuliśmy jak narasta w nas nienawiść. Chłopcy z Bachowa, Berezki i Iskani poprosili sotennego Hromenkę, by pozwolił pójść do wsi i spalić gospodarstwa. Nie będzie wróg karmić się krwią i potem naszych ojców. Sotenny dodał nam do pomocy jeszcze dwie czoty. W Berezce i Bachowie grabieżcy stawiali opór, rozbiliśmy ich i podpálili wszystkie domy. Potem ruszono do Iskani, tam kwaterowało już polskie wojsko. W porównaniu z nimi była nas garstka, ale nienawiść za doznane krzywdy dodała nam siłę. Polacy zmuszeni byli wycofać się za San.

Z pochodnią w ręku podszedłem do mojego domu, odbudowanego zaledwie dwa lata temu. W oczach miałem łzy. Przeżegnałem się i przytknąłem ogień do chaty. Nie chciała płonąć, jak gdyby prosiła — Nie pal mnie! A ja całowałem ją ogniem pochodni i mówiłem: żegnaj. Niebawem w Iskani zrobiło się jasno jak w dzień... Na tym wielkim pogorzeliisku nie tknięta ogniem pozostała jedynie nasza ukraińska cerkiew!

Rano przeszliśmy w lasy koło Polchowej. Po założeniu zasieków i rozstawieniu wart położyliśmy się spać. Niestety, zauważył nas jakiś Polak i dał znać wojsku, które ruszyło z obławą. Ich przednia straż natknęła się na naszą czujkę. Podejmowanie walki z przytłaczającą siłą wroga było nonsensem, toteż szybko zniknęliśmy w lesie. Chruszczyk i ja w pośpiechu zgubiliśmy płaszcz. Wróciliśmy na miejsce obozu, ale tu byli już Polacy. Nie strzelali, chcąc pewnie ująć nas żywych, ktoś z nich krzyknął tylko: „Ręce do góry!”. Błyskawicznie wskoczyliśmy w krzaki i biegiem ruszyliśmy przed siebie, ja na prawo, Chruszczyk na lewo. Płaszcz wypadł mi z rąk, ale nie zatrzymywałem się, na oślep pędziłem, byle dalej. Przystanąłem obok rozłożystej jodły. Przysiadłem pod jej gałęziami — dalej biec nie było sensu. Polacy łazili po lesie. Jakiś oficer huknął do wysokiego jak topola Polaczyska, by stanął akurat koło „mojej” jodły i obserwował teren. Żołnierz z pepeszą w ręce stanął naprzeciw mnie. Na pewno mnie zauważy.

Zamarłem w miejscu nerwowo, przyciskając ręce do piersi. Miałem wrażenie, że Polak słyszy bicie mego serca. Tak przesiadziałem pewnie z godzinę, aż nareszcie z daleka zabrzmiał rozkaz: „Dołączyć! Wychodzić w pole!” Długo jeszcze siedziałem w bezruchu, bo odejście Polaków mogło być zwykłym podstępem. Mogli zacząć się gdzieś i czekać aż wyjdę z ukrycia. Zapadł zmierzch. Nogi tak mi zdrętwiały, że gdy usiłowałem się podnieść, ugięły się pode mną.

Gdy je rozartałem, na niebie pojawił się księżyc. Z trudem dowlókłem się do pierwszej chaty w Polchowej, do Katarzyny Cap. Kobieta powiedziała mi, że Chruszczyk był u niej i że nasi kwaterują we wsi.

Co za nonsens? Nie żał mi było własnego domu, a za głupi płaszczomal nie zapłaciłem głową...

18 kwietnia 1949 roku obudziłem się o świcie. Wyszedłem z bunkra zapalić papierosa i zamaskować komin. Gotowaliśmy tylko w nocy, bo w dzień ktoś mógłby zauważyć dym. Był piękny ranek. Przeszedłem na drugą stronę potoku, zapaliłem papierosa i położyłem trochę po lesie. Nagle usłyszałem dziwny trzask. W pierwszej chwili pomyślałem, że spłoszyłem jakieś zwierzę, ale trzask znów się powtórzył. Pobiegnę do bunkra. Zanim zszedłem w dół, jeszcze raz się obejrzałem. W odległości jakichś 150 metrów szedł mężczyzna w cywilu ze strzelbą na ramieniu. Szybko zamknąłem właz, ciągnąc za pień jodłę, wetkniętą w środek pokrywy. Nagle uświadomiłem sobie, że drzewo straciło już swą świeżość i na pewno wygląda nienaturalnie. Już dawno trzeba je było wymienić, ale ostatnio ogarnęło nas lenistwo i zaniebdywaliśmy przestrzegania podstawowych zasad bezpieczeństwa, które swego czasu wbijał nam do głowy prowadnyk Potap. Jeżeli dzisiaj dopadnie nas śmierć, sami będziemy sobie winni! Miałem wrażenie, że łomot mego serca słychać w całym lesie. Zerknąłem na Kruka, spał snem sprawiedliwych. Zatkąłem mu usta dłonią i zacząłem go tarmosić:

– Stefan, ciii! Ktoś chodzi koło bunkra.

Nad naszymi głowami już wyraźnie słychać było kroki. Ktoś wyrwał naszą jodłę. Szybko zgasilem lampę i zamarliłmy w bezruchu.

– Hej, Grzegorz, chodź tu, – usłyszałem – coś ci pokażę!...

W dziurze, w której dopiero co sterczała jodła pojawiła się głowa.

– Grzegorz! Tu ktoś siedzi!

Zaczęliśmy się żegnać. Boże drogi, czy mamy zginąć tak głupio. Kruk chwycił za pepeszę, ta cholera lubiła się zacinać, ja za dubeltówkę.

– Atakujemy pierwsi! Nie poddamy się jak baranki prowadzone na rzeź! – zakomenderował Kruk.

Stanąłem na drabinie, z rozmachem odrzuciłem pokrywę, a Stefan puścił w powietrze serię z automatu i... nic się nie stało. Wskoczyliśmy z bunkra. Potokiem uciekało dwóch cywili. Rzuciliśmy się w przeciwną stronę i w odległości 300–400 metrów wdrapaliśmy się na wysokie jodły, by zorientować się w sytuacji. Wszystko wskazywało na to, że ci dwaj kłusownicy przypadkowo natknęli się na bunkier. Marne to pocieszenie, niebawem zaalarmują cały powiat. Żegnaj nasz „domie”.

Szybko powrzucałmy do worków i plecaków cały nasz majątek, po posadzce rozlałem zapasy benzyny, wyszliśmy na wierzch i po chwili nasza „chata” zamieniła się w słup ognia. Nie oglądając się za siebie udaliśmy się na Patrię, by obserwować teren. Z bunkra wydostawały się kłęby dymu.

Cały dzień przesiadzieliśmy w napięciu, a w nocy ruszyliśmy do Hroszewskiego Lasu. Ogarnęła nas rozpacz. Sytuacja była tragiczna, tym bardziej, że nie mieliśmy żadnego schronienia.

W naszym położeniu ciężko było cokolwiek planować. Z dnia na dzień udało się nam przeżyć dwa lata, dwa długie lata, bo czas w samotności ciągnie się w nieskończoność. Nie robiliśmy żadnych dalekosiężnych planów, gdyż nie istniała możliwość ich zrealizo-

wania. Obaj z Krukiem byliśmy tego świadomi. Ale ja, bardziej czułem, niż rozumiałem, że nie możemy ulec apatii. By przeżyć, musimy zachować równowagę ducha. Najcięższe były te chwile, gdy każdy z nas bezmyślnie patrzył przed siebie w milczeniu, a w głowie tkwiła rozpaczliwa pustka. Jedynym ratunkiem była rozmowa, obojętne o czym, byle tylko przerwać milczenie. Podjąłem ją mówiąc, że powinniśmy pójść na Zachód, albo gdzieś na Ziemię Odzyskane, rozpatrywałem też inne „możliwości”, choć w żadne nie wierzyłem. Chciałem wciągnąć Kruka do konwersacji, by nie zwariować w poczuciu bezradności. Nareszcie, jak zawsze zresztą, Kruk zareagował na moje, jak to określił, idiotyczne pomysły.

– Jedyne o czym możemy myśleć, to Zachód, ale nie teraz, gdy pola są puste, a dopiero w sierpniu lub wrześniu. Ale dobrze, że mamy przed sobą jeszcze jakieś „jutro”, może lżej będzie przetrwać „dzisiaj”.

Na górze Kozie Żebra przesiedzieliśmy 3–4 doby. Po naszej „komfortowej chacie” życie pod gołym niebem, w kwietniu, gdy nocami bywają przymrozki, nie było przyjemne. Trzeba było to zmienić, a przede wszystkim zasięgnąć języka.

Pod dom Hawrylaków podkradliśmy się późnym wieczorem. Przez okno widać było rodzinę gospodarzy i jakiegoś młodego chłopaka (jak się później okazało miejscowego Polaka, który smażył cholewy do Milci). Siedzieli za stołem przy butelce wódki. Chcieliśmy posłuchać o czym rozmawiają, ale nie wiadomo skąd zjawił się wściekle ujadający pies Hawrylaków. Przypadliśmy do ziemi. Podczas ostatniej wizyty zwierzę, częstowane mięsem, okazywało nam już przyjaźń. Okazało się jednak, że pies nie szczeka na nas. Po chwili do domu podeszło dwóch mężczyzn. Rozpoznaliśmy Janka Fenia (nie był spokrewniony z Andrzejem) i Edka Karnosa. Oni, jak i my, stali się podsłuchać o czym rozmawiają w środku. Posiedzieli pod oknem z pięć minut i cicho zniknęli w ciemnościach.

Czyżby śledzili Hawrylaków? Ktoś nas może widział podczas odwiedzin u Milci.

Było już dobrze po północy, gdy załotnik wyszedł wreszcie z Milcią na podwórko i za chwilę już go nie było. Zawołaliśmy dziewczynę. Ucieszyła się na nasz widok. Nie była zaskoczona wiadomością, że jacyś ludzie szwendają się przed ich oknami. Już kilka razy donoszono na nich, że w domu rozmawiają po ukraińsku. „Urzednicy” zwracali im uwagę, że w polskim państwie należy rozmawiać po polsku. Ale jej ojciec nie zna polskiego. Różne służusy podsłuchują i donoszą władzy. Nie ma to żadnego związku z nami. Możemy śmiało przychodzić do nich, oczywiście zachowując ostrożność. O wysadzeniu bunkra nic nie wiedziała, bo wspomniałaby o tym. Uznaliśmy, że nie ma potrzeby informować jej o naszych sprawach. Jeszcze chwilę pogadaliśmy o błahostkach i, obdarowani chlebem, wróciliśmy do lasu.

Następnej nocy odwiedziliśmy Fenia, lecz on również o niczym nie słyszał. Podobnie Anielka w Iskani.

Nie mogliśmy ochłonąć ze zdumienia. Kim byli ludzie, którzy odkryli nasz bunkier? Dlaczego nie powiadomili milicji? Dlaczego nikomu nie wspomnieli o swej przygodzie? Nie umieliśmy znaleźć odpowiedzi na te pytania. Dziękowaliśmy jedynie Bogu, że wspomagał nas swą Łaską.

Anielka jak zawsze szczerze nas przyjęła, nakarmiła i obdarowała na drogę żywnością. Jedzenie bardzo się przydało, bo zapasy pozostały w Dylągowskim Lesie. A tam, na razie, nie mieliśmy odwagi się pokazywać.

W drodze na Kozie Żebra zgrzałem się i napiłem wody ze źródła. Była zimna i bardzo mi smakowała. Następnego dnia dostałem bólów żołądka. Sądziłem, że to jakaś chwilowa niestrawność. Minął tydzień, a ja nie odczuwałem ulgi, wręcz przeciwnie, czułem się coraz gorzej. Życie pod gołym niebem nie sprzyjało poprawie zdrowia. Kruk przy-

pomnił sobie o ciotce Swysta z Siedlisk, która swego czasu nam pomogła, i radził mi, by poprosić ją o pomoc. Z początku nie chciałem, ale ból zagłuszył wszelkie obawy i pewnej nocy zapukaliśmy do jej okna. Na szczęście żyła samotnie. Opowiedziałem jej o swej chorobie prosząc o pomoc. Kobieta zgodziła się pójść rano do Dynowa, by poradzić się lekarza i kupić leki. Przesiedzieliśmy w zaroślach resztę nocy i cały dzień, nie zwodząc wzroku z domu ciotki. Baliśmy się, ale ta wspaniała kobieta nie zawiodła nas i tym razem. Przyniosła leki i przekazała radę lekarza, by utrzymywać dietę. Dieta odpadała, dobrze że w ogóle było co jeść, ale leki przyniosły mi znaczną ulgę.

Po rozważeniu wszelkich za i przeciw doszliśmy do wniosku, że czas pomyśleć o jakimś schronieniu. Pod gołym niebem nie sposób dłużej żyć.

Najpierw poszliśmy do zniszczonej kryjówki, ale tu okazało się, że od momentu naszej ucieczki w lesie nie było żywego ducha. Tajemniczy „goście” nikogo nie zawiadomili o swoim odkryciu. Również nikt nie zauważył pożaru.

Kruk, który znał las jak własną kieszeń, zaczął szukać odpowiedniego miejsca na nowy bunkier.

— Tym razem zbudujemy taki bunkier, że nikt go nie znajdzie — mówił, przyglądając się każdemu jarowi, potokowi i górcie.

W ten sposób zaszliśmy aż do Meccowego Lasu, którego część była kiedyś własnością Żyda, Jankiela Mecca. Stąd niedaleko już do Jawornika Ruskiego i Rybnego. Teren był skalisty z mnóstwem wąwozów i strumyków. Kruk wspinał się po skałach, lecz ja nie mogłem dotrzymać mu towarzystwa, bo bolał mnie żołądek. Stefan zatrzymał się na skalistym szczycie, z którego spływały w dół trzy strumyki. Długo i uważnie przyglądał się olbrzymim jodłom, wyrosłym na nagiej górcie, w końcu zaczął niecierpliwie przywoływać mnie do siebie. Był zachwycony.

— Milciu! Między tymi jodłami zbudujemy nasz bunkier!

— Zwariowałeś? Jak go wykopiesz? Tu nie ma nawet miejsca by się schylić.

Kruk zaśmiał się i zaczął mi tłumaczyć, jak zamierza tego dokonać.

— Wykopiemy tunel prosto do jodeł. Od tego potoku w górę. Myślisz, że ktoś wpadnie na pomysł, by wdrapywać się na te skały ryzykując połamaniami nóg? Spójrz! Z jednej strony gładka skalista ściana, z drugiej strony wąwozy, z trzeciej strumyki, a z czwartej bagna. Dobrze je znam, można w nich ugrzęznąć po kolana. Bardziej bezpieczne miejsce trudno sobie wymarzyć.

Uważnie przyjrzałem się terenowi, a Kruk nie przestawał mnie przekonywać.

— Wiesz Milku, to będzie już nasz czwarty „dom”. Przy budowie każdego z nich sporo się nauczyłem. Wiem jakie wady miały tamte kryjówki. Mówię ci, takiego bunkra jak ten, nikt jeszcze nie widział.

Wyjął z kieszeni kawałek papieru i zaczął kreślić plan. Jego entuzjazm był zaraźliwy, tak że nawet zapomniałem o swoim bolącym brzuchu. Przypomnił mi się rok 1946, budowa bunkrów, Wyszyński...

W budowaniu bunkrów mieliśmy już spore doświadczenie. Najwięcej „luksusowych” schronów wykopano w 1946 r., gdy Borys został prowidykiem II-go rejonu i w tajemnicy przed resztą dowódców zaczął rozbudowywać sieć kryjówek i magazynów. Normalnie należało to do obowiązków okręgowego referenta gospodarczego, Wyszyńskiego. Do prac sprowadzano strzelców z odległych rejonów, którzy nie znali terenu na jakim pracowali, na wypadek gdyby wpadli w ręce wroga. Gdy zaczęto podejrzewać Wyszyńskiego o podwójną grę, Borys na własną rękę zaczął budować bunkry. Wykorzystywał przy tym niektórych chłopców z naszego oddziału. W ten sposób znalazłem się w grupie, która zbudowała kryjówkę dla prowidyka Potapa, niedaleko od Jamnej, a Kruk budował bunkier dla prowidy-



nyka Sotki. Nikt nie miał prawa wiedzieć, że wyznaczono nas do takiego zadania. Wiedział tylko Borys. Schron Potapa miał pięć pomieszczeń, a w kryjówce Borysa mieszkała cała nasza bojówka.

O sprawie Wyszynskiego nie mówiło się głośno, ale rozmaite plotki docierały również do strzelców, resztę dośpiewali sobie sami. Wyszynski był synem księdza z Limnej. Znałem go jeszcze z czasów, gdy w Jaworniku Ruskim pracował jako sekretarz. Na stanowisku referenta gospodarczego radził sobie nieźle. Miał talent organizacyjny. Lubił gustowny ubiór, a w swej skórzanej torbie nosił różne pachnidła. Wyglądał jak zdjęty z obrazka — dopasowany mundur, na piersiach lornetka, na ramieniu bandolet. Był w dobrych stosunkach z całą wierchuszką, niektórych prowidnyków znał jeszcze ze szkolnej ławy, z innymi był spokrewniony. Jako referent gospodarczy brał udział prawie we wszystkich naradach, stąd wiedział również sporo o sprawach, które mu nie podlegały. Borys był przekonany, że wśród nas jest informator, który współpracuje z Polakami, stąd napady na nasze bunkry i magazyny, stąd zasadzki i obławy, jak choćby podczas konferencji prowidnyków w Jamnej, czy nasz nieudany napad na Birczę. Prowidnyk Borys pierwszy też zaczął podejrzewać Wyszynskiego o zdradę, szczególnie po aresztowaniu i uwolnieniu ojca Wyszynskiego, ks. Hamiwki, z którym nagle zaczęły przyjaźnić się polskie siostry zakonne. Najczęściej przychodziły do księdza po odwiedzinach syna. Borys podejrzewał, że Polacy poprzez tortury zmusili ks. Hamiwkę do współpracy, a syn zgodził się, by ratować ojca. Niestety, prowidnyk Potap nie chciał w to uwierzyć, a Borys niczego nie mógł udowodnić...

Nim zabraliśmy się za budowę bunkra, połączyliśmy po okolicznych opuszczonych wsiach, by zebrać trochę potrzebnych nam rzeczy. Feń podarował nam lampę naftową, bo nasza uległa zniszczeniu w poprzedniej kryjówce, a Hawrylakowie naftę do niej. Narzędzia

do kopania ziemi mieliśmy swoje. Na początku pracowaliśmy tylko nocą, a gdy korytarz-tunel był gotowy, można było kopać również w dzień. Jeden odpoczywał i stał na warcie, a drugi pracował.

Czasem, wbrew sobie, musieliśmy odpoczywać razem, bo trwały sianokosy i na pobliskich polach krzatali się ludzie. Praca przy bunkrze wymagała sporego wysiłku, tyle że nie trzeba było daleko wnosić ziemi, wystarczyło zrzucić do przepaści i tam zamaskować. Miałem wyrzuty sumienia, bo przez ból żołądka nie mogłem pracować tak intensywnie jak Kruk.

Budowa została ukończona przed Zielonymi Świętami, które w tym roku przypadały na koniec maja. Nasz „dom” wielkością prawie nie różnił się od poprzedniego. Pomieszczenia były tak samo przestronne, a korytarz dłuższy, miał cztery metry. Umieściliśmy w nim zbiornik na wodę, doprowadzaną drewnianymi rurami z potoku. Rury zrobione były z pni, z których wydlubany został środek. Taki wodociąg sprawdził się już w poprzednim bunkrze, a swoje funkcje spełniał również w zimie. Pomyje i brudną wodę skierowaliśmy do innego potoku przez rynny przyniesione ze wsi. Z wielkiego kamienia, który leżał pośrodku naszego „pokoju” wymurowaliśmy piec i to nie było jakie. Można w nim było piec chleb. Cała struktura bunkra została wzmocniona kłódami, a ściany i podłoga wyłożone deskami, przytarganymi z opuszczonych domów. Pod jodłami ukrył się komin i otwór wentylacyjny, który można było zatkać drewnianą zatyczką, a całość została przykryta suchymi gałązkami jodły. Obok wejścia posadziliśmy świerki i rozmaite krzewy, które doskonale je zamaskowały. W „pokoju” znalazły się prycze, stół i taborety, wykonane z desek. Nasza kryjówka była wygodna, zaciszna, a co najważniejsze — bezpieczna. Byliśmy dumni ze swego dzieła i pewni, że żadni nieproszeni goście już tu nie trafią.

Stan mojego zdrowia pogarszał się z dnia na dzień, dokuczał mi żołądek i jak na złość kończyły się leki, które sprawiały mi ulgę.

Zacząłem pić herbatę z dziurawca, bo kiedyś usłyszałem, że pomaga na bóle brzucha. Tymczasem Kruk był niestrudzony. Jeszcze nie zdążyliśmy odsapnąć po jednym wysiłku, postanowił budować drugie pomieszczenie, wyłącznie dla siebie. Odwodziłem go od tego pomysłu, bo zdawałem sobie sprawę, że niewiele zdołam mu pomóc. Ale Stefan uparł się, twierdził że będzie nam wygodniej, a on we własnym „pokoju” będzie mógł lepiej skoncentrować się nad swoimi notatkami, w których opisywał wszystkie znane mu wydarzenia związane z UPA. W końcu powiedział, że obejdzie się bez mojej pomocy. Dłubał ten swój „pokój” pewnie ze dwa miesiące, a ja nie mogąc pomóc, starałem się mu dogodzić i prawie codziennie gotowałem pierogi.

Już nie pamiętam dlaczego zacząłem na kawałku papieru zaznaczać kreską koszyki z ziemią, które Kruk wynosił na wierzch. Gdy później podliczyłem te kreski, nie mogłem wyjść z podziwu — było ich 2060. Każdy kosz ważył około 35 kg, to ile koszy musieliśmy wynieść z korytarza i pierwszego pomieszczenia? Po jakimś czasie, nieopodal naszej „chaty” wykopaliśmy jeszcze kilka kryjówek, w których przechowywane było jedzenie i różne gospodarskie narzędzia.

Zielone Świąta postanowiliśmy uczcić według starego, galicyjskiego zwyczaju, odwiedzić cmentarz UPA i oddać cześć poległym bohaterom.

Dzień 30 V wypadł słoneczny, tak że sama już pogoda stwarzała świąteczny nastrój. Rano, gdy tylko słońce wyrzało zza pagórków, wyruszyliśmy do Woli Wołodzkiej. Wcześniej nie było okazji by tam pójść i uporządkować cmentarz. Na miejscu okazało się, że w ciągu roku nikt tu nie zaglądał. Mogliśmy w spokoju zebrać kości poległych, złożyć je w mogiłach i postawić brzozone krzyże, tam gdzie zostały zniszczone. Groby obłożyliśmy darnią, by ukryć świeże ślady porządkowania cmentarza. Potem stanęliśmy na bacność, Kruk odczytał modlitwę i w milczeniu pochyliliśmy głowy oddając cześć poległym.

Przydałoby się również uporządkować mogiły rozsiane po lasach w okolicach Kupnej, Kormanicy i Turnicy, ale uznaliśmy, że lepiej nie narażać się na ryzyko. Istniało niebezpieczeństwo spotkania z KBW. Hawrylakowie i Krucie poinformowali nas, że KBW oraz bolszewicka straż graniczna nasiliły w lasach patrole, po tym jak rozeszły się pogłoski, że upowcy wracają z Ukrainy.

Wybaczcie nam polegli przyjaciele!

Zanim Kruk zakończył budowę i urządzenie „gabinetu”, nadeszły zniwa. Chociaż przy robocie czas się nie dłuży, to jednak zaczęło nam już brakować kontaktu z ludźmi. Wybraliśmy się więc do Rybnego. Hawrylakowie ze zmęczenia padali z nóg. Nie byli już młodzi, tym samym główny ciężar gospodarskich obowiązków spoczywał na Milci. Podczas zniw musiała pracować za wszystkich. Starzy pomagali, ale tylko pomagali. Stary Hawrylak w ogóle był chorowity, a Hawrylakowa, choć osoba energiczna, też już nie miała sił. Dawały znać o sobie lata. Dawniej chłopci pracując ciężko, starzeli się prędzej niż my dzisiaj. Dla mnie Hawrylakowa od pierwszego dnia naszej znajomości wyglądała staro i mówiłem do niej „babciu”. Tymczasem „babcia”, gdy nas zobaczyła, westchnęła ciężko:

— Mi tu ręce puchną od roboty, a dwóch chłopów jak niedźwiedzie obija się bez zajęcia!

Zreflektowaliśmy się. Rzeczywiście!

— Dajcie nam dwa dobre sierpy. W mig uporamy się z żytem i pszenicą. Tylko musicie obiecać Milkowi pszennego chleba, bo go boli żołądek — odezwał się Kruk.

— Sierpy są dobre, Józek Kijowski zrobił, ale w wasze zdolności jakoś nie wierzę — pokiwała głową.

Milcia, słysząc co planujemy, nakrzyczała na matkę i na nas. Mimo to Hawrylakowa dała nam sierpy, a w nocy wyszliśmy na pole. Było jasno, ciepło i pusto. Czulem ogromną radość, praca wydała się przyjemnością. Dopiero gdy zaczęło świtać, wróciliśmy do bunkra, zosta-

wiając za sobą skoszony łan. W dzień Hawrylakowie wiązali zboże i składali w kopy, a my w nocy żęliśmy następne łany. Czasem przychodziłem wcześniej i na niwach oddalonych od sąsiedzkich pól pomagałem wiązać i składać snopy. W nocy przychodził Kruk i dalej pracowaliśmy razem.

Któregoś dnia sąsiad Hawrylaków, Wojtek Kleban, przechodząc obok ich pola, stanął i aż zagwizdał ze zdumienia.

— A wam co, diabeł pomaga? Wczoraj pszenica jeszcze stała, a dzisiaj już skoszona.

Ale Hawrylakowa od razu odparła:

— Sami sobie pomagamy. Nie ma nam kto pomóc, to pracujemy też nocą. Wtedy dobrze jest żąć, bo kłosa się nie obsypują.

Gdy skończyliśmy żniwa u Hawrylaków, poszliśmy na pole Fenia. W ciągu jednej nocy wyżęliśmy cały łan, a kolejny następnej nocy. Tu można było pracować spokojnie, bo pole było pod lasem. Gospodarz nie wiedział o nieproszonych żniwiarzach, ale gdy zobaczył skoszone zboże, od razu domyślił się czyja to robota. Pomoc Hawrylakom i Feniom wzmocniła naszą przyjaźń, a szczególnie zbliżyła mnie z Milcią.

Po żniwach wybraliśmy się do Iskani. Ostatni raz odwiedziliśmy Kruciów wiosną. Anielka obiecywała kupić w mieście potrzebne nam rzeczy, a co najważniejsze, zdobyć leki na mój chory żołądek. Według starej umowy, o zmierzchu ukryliśmy się w zaroślach koło podwórka. Niebawem na dworze zjawiała się Kruciova. Zawołałem ją cicho. Kiwnięciem ręki dała nam znak, by pójść do stajni. A tu, jak nigdy wcześniej, nakrzyczała na nas za to, że tak długo nie dawaliśmy znaku życia.

Było nam przyjemnie, że ktoś martwi się o nas, ale żaden z nas nie wspomniał słowem o kłopotach z bunkrem, próbując jakoś wytłumaczyć tę długą nieobecność.

— Dobrze, że jesteście zdrowi i cali — uspokoiła się wreszcie — siedźcie tu, a ja zaraz przyprowadzę do was Marię Król.

— Marię Król? Skąd ona o nas wie?

— Cicho bądźcie! Powiedziałam jej. To uczciwa kobieta. Umie trzymać język za zębami i może się przydać!

Nie wdając się w żadne wyjaśnienia, wyszła ze stajni.

Byliśmy zdenerwowani, ale nie było innego wyjścia jak po prostu zaufać kobietom. Przypomniałem sobie przyjaźń Marii Król z moją mamą, jej codzienne wizyty w naszym domu. W 1945 roku sąsiad doniósł do prowidnyka Karla, że Królowie współpracują z UB. Nie aresztowano ich jedynie dzięki memu wstawiennictwu. Później Karl sprawdził otrzymane informacje i okazało się, że były to jedynie osobiste porachunki sąsiada z tą wspaniałą rodziną, która nieraz pomagała naszym oddziałom. Nie! Królowa nas nie zdradzi! —

Po godzinie zjawily się obie kobiety. Przywitałem się i przedstawiłem Kruka. Maria objęła mnie i rozplakała się serdecznie.

— Milciu, tak się cieszę, że żyjesz! Nigdy nie zapomnę, jak uratowałeś nam życie. Teraz mogę ci się odwdziżyć.

Zrobiło mi się ciepłej na sercu. Objąłem ją również i uważniej spojrziałem na tę miłą twarz. Boże! Jakże się postarzała w ciągu tych kilku lat. Była młodsza od Anielki, ale wyglądała znacznie starzej.

Anielka przyniosła nam kosz pełen jedzenia. Siedzieliśmy, jedli i wspominali przeszłość. Opowiedziałem Marii o kłopotach z żołądkiem, bardzo mi współczuła i obiecywała, że zdobędzie leki. Późno w nocy, obdarowani różnym dobrem, ruszyliśmy do lasu. Kobiety nakazały nam nie zapominać o nich.

Teraz mieliśmy już dwie opiekunki, a niebawem Maria postarała się o trzecią. Była to Stanisława Kosińska, Ukrainka z Ruskiej Wsi, która wyszła za mąż za Polaka — partyjniaka i szowinistę. Mieszkali w Babicach, gdzie prowadzili sklep. Kosińska również przyjaźniła się z moimi rodzicami, często bywała w naszym domu. Tak jak Anielka, była bardzo energiczna i zaradna.

Gdy dowiedziała się, że gdzieś w lasach ukrywa się syn Michała Pleczenia, zapagnęła mi pomóc. Przez Anielkę przekazywała różne rzeczy, ubranie, bieliznę, obuwie, papierosy i żywność. Robiła to bardzo umiejętnie, tak że jej mąż nawet nie zauważył, iż ze sklepu znikają niektóre towary. Anielka korzystała przy tym i część z nich zabierała dla swojej rodziny. Nie miałem nic przeciwko temu.

Taki stan utrzymywał się do późnej jesieni. Pani Stanisława bardzo chciała spotkać się z nami, ale nam wciąż nie starczało odwagi. Większość czasu spędzaliśmy w bunkrze i drętwieliśmy z przerażenia na myśl, że grono ludzi, którzy wiedzą o nas, jest coraz większe. Dotychczas wszyscy bardzo nam pomagali, ale co się stanie, jeżeli ktoś z nich wygada się tam gdzie nie trzeba?

Któregoś dnia wybraliśmy się do Iskani, by odwiedzić Królową. Schowani w zaroślach, czekaliśmy aż Maria zjawi się na podwórzu. Wreszcie zobaczyła nas i zaprowadziła do piwnicy, oddalonej od jej domu. Późnym wieczorem przyszła do nas ze swym mężem Michałem. Oznajmiła, że niedawno widziała się z Kosińską. Pani Stanisława bardzo ją prosiła, by zorganizować jej spotkanie z nami. Jeżeli wyrazimy zgodę, to pójdzie do Babic i przyprowadzi Kosińską. Tym razem przystaliśmy na to. Następnego dnia rano Maria poszła do Babic, a my, ukryci w lesie, czekaliśmy na spotkanie. Po południu zjawił się Michał Król, który oznajmił nam, że Maria już wróciła i o zmierzchu możemy przyjść do piwnicy. Kosińska przyjedzie na rowerze, wieczorem. Potem Król zrząbał kilka drzewek, by zachować pozory, że po nie chodził do lasu i wrócił do domu.

O zmroku, przyczajeni na wysokiej, gęsto zarośniętej miedzy, na polu mego ojca, obserwowaliśmy dom i piwnicę Królów. Po jakimś czasie na podwórko zajechała kobieta na rowerze. Pojazd zostawiła przed domem i weszła do środka. Za kilka minut z domu wyszły trzy postaci, które skierowały się do piwnicy. Wówczas my również udaliśmy się za nimi.

Kosińska bardzo się zmieniła. Jedyne jej gesty i sposób mówienia przypominały mi tę panią Kosińską, którą zapamiętałem jako dziecko. Ale ona poznała mnie od razu i serdecznie ucałowała.

Jak rodzzonego syna również przywitała i obcałowała Kruka. Króle pod jakimś pretekstem, aby nas nie krępować, poszli do domu. Kosińska zaczęła wypytywać o strzelców, komendantów i prowidnyków, bo wielu znała osobiście. Opowiadaliśmy jej to co można było powiedzieć i to o czym wiedzieliśmy. Ona z kolei mówiła nam o polskich zbrodniach, znała ludzi, którzy brali udział w antyukraińskich akcjach, wymieniała ich nazwiska, bo nieraz schodzili się w jej domu i razem z mężem omawiali zaplanowane akcje.

— Ileż ja biedna wycierpiałam! To wtedy poczułam do nich nienawiść. Były takie chwile, że gotowa byłam ich otruć, łącznie z moim mężem. — Łzy spływały jej po twarzy.

— Bardzo chciałabym wam pomóc, bo wy teraz tutaj jesteście jedynymi reprezentantami tego co dla mnie najbliższe. Błagam Boga, by jeszcze za mojego życia urzeczywistniło się to o co walczyliście, a wszyscy barbarzyńcy odpowiedzieli za swe zbrodnie.

Wracając do domu, dziękowaliśmy Bogu za Jego opiekę nad nami, za przyjaciół, których nam ofiarował, za to, że są na świecie szczerzy, dobrzy ludzie.

W naszej kryjówce byliśmy bezpieczni i bez szczególnej potrzeby staraliśmy się nie włóczyć ani po lesie, ani po wsiach. Ale teraz, mając takich przyjaciół, było nam znacznie łatwiej. Kontakt z ludźmi dawał nam nie tyle materialne co moralne wsparcie, bez którego nie moglibyśmy przetrwać. Człowiek to istota społeczna, nie może żyć w samotności. Aby nie zwariować, potrzebuje towarzystwa tak samo jak organizm pokarmu. Nasi przyjaciele dawali nam jedno i drugie.

Teraz czas biegł szybciej. Kolejno odwiedzaliśmy Hawrylaków, Feniów, Kruciów i Króli. Od czasu do czasu spotykaliśmy się z Kosińską. Nasi przyjaciele wiedzieli, że mieszkamy w Dylągowskim

Lesie, ale nigdy nie wypytywali nas i nawet nie chcieli wiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się bunkier. Tak jak w poprzednich latach, latem i w jesieni zbieraliśmy grzyby, w zimie Kruk polował na dziki. Grzybami i mięsem dzieliliśmy się z przyjaciółmi.

#### IV

Zimę 1949/50 spędziliśmy w bunkrze. W gości chodziliśmy rzadko. Kruk pisał swoje wspomnienia, polował, ja zajmowałem się gospodarstwem i leczyłem żołądek. Pomagałem też Krukowi odtworzyć w pamięci minione wydarzenia. Boże Narodzenie spędziliśmy sami, wspominając minione chwile...

Styczeń 1946 roku był bardzo mroźny. Śnieg skrzypiał pod nogami. Borys przekazał dowodzenie komendantowi Zatoce i ruszył do Wołozia, by razem z rodziną spędzić święta. Zatocha, który nie lubił zbyt długo tkwić w jednym miejscu, już zdecydował się na zmianę kwater, gdy do Jamnej nadeszła wiadomość od kurinnego Konyka. Nasz oddział miał 5 stycznia stawić się w Grąziowej. Byliśmy źli – Zatocha, zamiast iść drogą, wybrał trasę przez las. Twierdził, że zasiedzieliśmy się i nie zaszkodzi jak trochę przejdziemy się po śniegu.

We wsi czekały na nas sotnie Burłaki i Łastiwki oraz bojówka Oracza z I-go rejonu. Czyżbyśmy mieli razem spędzić Wigilię? Długa narada kurinnego i sotennych rozwiła nasze nadzieje.

W domach gospodynie przygotowywały się do Świąt. Chłopcy, by nie tracić czasu, pomagali rąbać drzewo i rznąli sieczkę dla bydła. Wigilię każdy z nas spędził z rodziną, u której kwaterował. Chłopi świętowali skromnie, ale przyjęli nas serdecznie. Diduch<sup>21</sup> w kącie, niano pod wyszywanym obrusem, tak jak w rodzinnym domu. Po odmówieniu modlitwy gospodarz złożył nam życzenia.

<sup>21</sup> Diduch – snop owsiany, który w obrzędzie wigilijnym był wyobrażeniem św. Józefa.

– Życzę wam wszystkim, aby Bóg pozwolił wam spędzić te Święta w szczęściu i zdrowiu i abyśmy w przyszłym roku mogli świętować już w wolnej Ukrainie.

Zaraz po Wigilii zarządzono zbiórkę. Sotenny Burlaka zakomenderował:

– Teraz pójdziemy „zakolędować” do Birczy. Czas zapłacić Polakom za krzywdy oraz mordy i zniszczyć ich siedzibę w Birczy! Oprócz zebranych tu sotni i bojówek w akcji wezmą udział sotnie Jara i Hromenki. Ta ostatnia pod dowództwem komendanta Orskiego, bo Hromenko był ranny i jeszcze nie całkiem jest zdrow. Zgodnie z informacjami zwiadu, w Birczy, oprócz miejscowych band, stoi batalion polskiego wojska i duży oddział NKWD. Nasze zadanie: rozbroić ich i spalić wszystkie budynki! Wymarsz o 23.30!

Trzymał siarczysty mróz. Zanim zbiórka dobiegła końca skostnieliśmy z zimna. Broni nie można było dotknąć gołą ręką, bo przymarzała do skóry. Wiał tak silny wiatr, że trudno było złapać oddech. Byśmy całkiem nie zamarзли, przed wymarszem dano nam po pół szklanki wódki.

Bircza została otoczona przez nasze oddziały. Bojówka Oracza zaległa między Birczą a Cisową przerywając telefoniczne połączenie z Przemyślem. Orskij i Konyk z sotnią Hromenki stanęli koło Nowej Wsi, Łastiwka zajął pozycje od strony Birczy, a sotnia Jara i bojówka Karla koło Starej Birczy. Moją bojówkę przydzielono do sotni Burlaki. Stanęliśmy przy szosie Sanok – Przemyśl. Naszym zadaniem było zdobycie okopów i bunkrów, które otaczały miasteczko.

Zalegaliśmy w czystym polu, wśród zasp. Początek akcji wyznaczono na pierwszą w nocy, a sygnałem do rozpoczęcia ataku miała być czerwona rakietą. Nagle od strony Nowej Wsi i Starej Birczy usłyszeliśmy strzały. Burlaka, nie czekając na czerwoną raketę, dał sygnał do ataku. Człgaliśmy się w głębokim śniegu, by jak najbliżej podejść do okopów, ale Polacy dostrzegli nas i otworzyli ogień. Bircza rozza-

rzyła się pożarami, to sotnie Jara i Hromenki strzelały pociskami zapalającymi. My do tej pory nie strzelaliśmy, by nie marnować amunicji, ale teraz gdy otworzyliśmy ogień, wróg odpowiedział ze zwiększoną siłą. Nad naszymi głowami przeleciała czerwona, płonąca kula.

– Moździerze! Sto metrów naprzód! – krzyknął Burlaka. I w samą porę, bo gdy tylko podbiegliśmy do przodu, za naszymi plecami zaczęły wybuchać miny.

Raz atakowaliśmy, to znów cofaliśmy się, i tak bez końca. W końcu Burlaka wydał rozkaz: „Na bunkry”. Nasza bojówka zajmowała pozycję z przodu na lewym skrzydle. Runęliśmy naprzód. W jednej chwili okopy znalazły się w naszych rękach. Polacy wycofując się, porzucili kilka ckm-ów, teraz zostały wykorzystane przeciwko nim. Wróg zajął stanowiska pod murami starego domu i stąd zawzięcie raził nas ogniem. Pożary ułatwiały walkę Polakom, w ich świetle byliśmy widoczni jak na dłoni. Na stanowiskach Łastiwki wywiązał się zacięty bój, niestety przeważające siły wroga zmusiły sotnię do odwrotu. Łączność między nami a Konykiem i Orskim została przerwana, bo nieprzyjaciel skosił kilku naszych łączników. Na odcinku Oracza trwała walka. Chociaż łączność z Przemyślem została przerwana, to porozumiano się przy pomocy krótkofalówek i przysłano stamtąd pomoc. Koło samej Birczy bój ucichł. Wróg wycofał się, ale tylko po to, by okrążyć nas i uderzyć z zaskoczenia. Burlaka zorientował się, że nieprzyjacielskie siły przewyższają nasze przewidywania i dał rozkaz do odwrotu. Sotnia Wańki zajęła stanowiska na drodze do Krajnej, by zabezpieczyć nam odwrót. Wycofywano się czotami, jedna ostrzeliwała wroga, a druga posuwała się do przodu. Tak na zmianę. Wańka, broniąc ostatniej drogi odwrotu, huraganowym ogniem powstrzymywał wroga. Zdażyliśmy zanim zamknął się „kocioł”. Podczas tego manewru zginął tylko strzelec Tur. Gdy dotarliśmy do Krajnej była ósma rano. Za wsią dołączyły sotnie i wszyscy ruszyli do Grąziowej. Po drodze, w Limnej, pochowano zabitych.

Napad na Birczę kosztował życie 30 strzelców. Jeszcze na początku boju zginął kurinnyj Konyk i komendant Orskij.

Niedługo potem spadł na nas nowy cios. Zginął komendant naszej bojówki, Zatoka. Był doświadczonym żołnierzem, ukończył kursy podoficerskie, był odważny i uczciwy. Ale miał jedną wadę, nie dbał o swój zewnętrzny wygląd. Nieraz powtarzano, że dowódcy powinni swym wyglądem i czystością stanowić przykład dla strzelców. Jeżeli nawet Potap i Borys czynili Zatoce jakieś uwagi na ten temat, to on raczej nie zwracał na to uwagi. Rozeszła się pogłoska, że zostanie zdegradowany. Do naszej bojówki, z sotni Burłaki, przybył rojowy Neczaj, podoficer ukraińskiej dywizji, uczestnik boju pod Brodami. Wyglądało na to, że Zatoka „zleci”. Martwiłem się o niego, bo bardzo go lubiłem. Zatoce było przykro, chociaż tego nie okazywał.

Cała ta sytuacja wynikła na kilka dni przed odprawą-konferencją prowadzących nadrejonu, zwołaną na 19 I 1946 roku do Jamnej Dolnej. Nasza bojówka miała ochraniać uczestników odprawy i przyprowadzić na miejsce ludzi z terenu. Moroz, Sływka, Łys i Montyk poszli na zwiad do Posady Rybotyckiej, a Zatoka, Chruszczyk, Jawir i ja do Graziowej. Na kwatery wróciliśmy dopiero o północy i udaliśmy się spać. O 5 rano Potap zbudził Zatokę i kazał mu wystawić czujkę w Jamnej Górnej i Trójcy. Chyżego i Kosarja komendant wysłał do Trójcy, a ja, Rybołow i Czornyj mieliśmy pójść do Jamnej. Tymczasem Potap stwierdził, że tam może być niebezpiecznie, więc musi być nas co najmniej czterech. Zatoka spojrział na śpiących chłopców i powiedział, że właściwie nie ma kogo posłać, wszyscy są przemęczeni, więc on sam pójdzie z nami.

Ciężko było wstać, ale zebrałem się do kupy i wyszedłem z Zatoką na dwór. Jakoś długo grzebali się Rybołow i Czornyj. Komendant, co nie leżało w jego naturze, wbiegł do chaty i nakrzyczał na nich. Widać było, że jest zdenerwowany.

Szedłem z Zatoką z przodu, a Czornyj i Rybołow wlekli się za nami. Była szósta rano. Ścisnął ostry mróz, śniegu było po kolana. Wiatr wyciskał tży z oczu. Dokoła panowała niczym nie zmałona cisza. Nawet psy schroniły się w budach. Przeszliśmy już około 3 kilometrów.

— Tu musimy uważać — powiedziałem do Zatoki, zwracając uwagę na ostry zakręt, który przesłaniał dolny odcinek drogi. Lecz Zatoka niecierpliwie machnął ręką. Ogarnął mnie strach, upierałem się, żeby przejść na prawą stronę drogi. Tu śnieg był jeszcze głębszy. Komendant swoim wymierzonym krokiem szedł naprzód, spoglądając pod nogi. Rozglądałem się wokół, za każdą zaspą wyczuwając niebezpieczeństwo. Wreszcie kiwnąłem ręką na swoich towarzyszy, by przyspieszyli kroku. Nagle wśród zasp ujrzałem sybirską czapkę. Halucynacje czy co? Nerwowo szarpnąłem Zatokę za rękę i wskazałem na zaspę. Ale on znów tylko machnął ręką, wyrażając tym gestem pogardę dla tchórzy. Naraz rozległ się rozkaz: „Ręce do góry!” i w naszą stronę posypały się pociski. Dopiero wtedy Zatoka jakby się ocknął.

— Na prawo! W młodnik! — krzyknął.

— Nie! Tam jest wróg! Odwrót! — ale już mnie nie słyszał, zwałił się w głęboki śnieg, rażony serią z automatu. Zobaczyłem jeszcze jak zarośli wybiegli bolszewicy i rzucili się w stronę Zatoki. Więcej już nic nie pamiętam. Nade mną gwizdały kule, a ja wciąż biegłem, byle dalej. Z ramienia zsunął mi się karabin, chciałem go zatrzymać, aby nie ciągnął się za mną, lecz ręce miałem zupełnie bezwładne. Próbowalem wyjąć zza pasa granat — nic z tego. Udało mi się tylko zrzucić czapkę i chwycić ją w zęby, bo zimno zapierało dech w piersiach.

— Soldat! Nie uciekaj! — usłyszałem za sobą. Żołnierze sądząc, że spadnę i wezmą mnie żywcem, mierzyli obok mnie. Na drodze zobaczyłem torby Czornocho i Rybołowa, ale po nich nie było śladu. Gdy spadłem w Jamnej do domu w którym kwaterowałem, gospodyni

akurat wynosiła słomę po naszym noclegu. Ruchem ręki wskazała Kyczerę, z której schodzili bolszewicy i krzyknęła, że nasi pobiegli do Turnickiego Lasu. Zawróciłem w prawo i ruszyłem przed siebie. Znow zagwizdały kule, ale ja byłem już poza ich zasięgiem. W lesie było bardzo dużo śniegu, zapadałem się weń, wstawałem i znow biegłem. Nagle przed sobą ujrzałem czterech żołnierzy. To koniec! Upadłem i straciłem przytomność... Gdy otworzyłem oczy zobaczyłem nad sobą zmartwione twarze Łysa, Chruszczyka, Sływki i Jawira. Zebrawszy moje rzeczy, poprowadzili mnie do naszych.

Prowidnyk Potap rzucił się na mnie z krzykiem:

– Gdzie Zatoka? Rybołów i Czornyj nic nie wiedzą!

Gdy usłyszał, że Zatoka nie żyje, wpadł w szal, złapał za pistolet, krzycząc, że mnie zabije. Na szczęście wtrącił się Neczaj. Nakazał rozcierać mi śniegiem ręce i zaczął wypytywać co zaszło. Naprędce opowiedziałem mu wszystko, podkreślając, że bolszewików jest bardzo dużo, jak gdyby wiedzieli, że mamy konferencję i tylko na to czekali. Poza tym ścigali mnie i mogą trafić po śladach do obozowiska. Potap spojrział na mnie z niedowierzaniem, ale kazał wystawić czujki. Chłopcy nie zdążyli jeszcze odejść 100 metrów, gdy w lesie rozległy się strzały. Wybuchła panika, lecz Neczaj panował nad sytuacją. Wystawił tylną straż, która miała ogniem ckm-ów powstrzymać bolszewików i powoli posuwać się śladem grupy. Omijając Borysławkę, przez rzekę Wiar, ruszyliśmy do lasu Posadzone Sosny. Było nas około czterdziestu. Bolszewicy sunęli naszym śladem. By dotrzeć do rzeki, trzeba było przebiec szosę. Wszyscy „na hura” rzucili się przed siebie, ale Neczaj zarepetował pepszę i krzyknął:

– Stój, bo strzelam!

Grupa zatrzymała się. Dowódca nakazał Morozowi i kilku strzelcom przebiec jezdnię i stamtąd osłaniać pozostałych. Kolejno przekraczaliśmy szosę i zamarzłą rzekę. W pewnym momencie, gdy dołączyła do nas obstawa, lód nie wytrzymał ciężaru i niektórzy zaznali

Jordańskiej” kąpieli<sup>22</sup>. Dalej, otwartym polem, przebiegliśmy w kierunku Posady Rybotyckiej. Było to jedyne sensowne rozwiązanie. Gdy już prawie ukryliśmy się za wzgórzem, dostrzegli nas bolszewicy i otworzyli ogień, ale ich kule już nas nie sięgały. Ruszyliśmy na górę Kopyslankę, skąd już blisko do Posadzonych Sosen. Na jednym ze szczytów stanęliśmy, by odpocząć. Stąd przez lornetkę można było obserwować całą okolicę. Bolszewicy zaniechali pościgu. Na górze doczekaliśmy wieczora, lecz nie było to łatwe. Nie można było rozpaść ogniska i nasze mundury pod wpływem mrozu zrobiły się jak z blachy. Ale partyzanci przywykli do trudów, nikt się nawet nie przeziębził. By nie zamarznąć, cały czas biegaliśmy w kółko zamieniając śnieg w bitą drogę. Byłem w gorszej sytuacji niż pozostali, bo miałem odmrożone ręce. Uratowało mnie to, że Łys i sanitariusz Marko cały czas nacierali je śniegiem.

O zmroku Neczaj z kilkoma strzelcami poszedł odprowadzić prowidnyków do I-go rejonu. I wtedy właśnie Potap oznajmił nam, że Neczaj jest naszym nowym komendantem, a do jego powrotu dowództwo obejmuje Łankowyj<sup>23</sup> Buryj. My również ruszyliśmy w drogę, do Jamnej Dolnej. Potap nie uznawał innych wsi. Po cichu wszyscy uważali, że nie jest to najlepszy pomysł, bo w Jamnej mogą kwaterować bolszewicy. Niektórzy nawet starali się przekonać go, by zmienił decyzję, ale na próżno. Jednak, gdy podeszliśmy do Trójcy, kazał wystać patrol, w którym znajdowali się Moroz, Sływka, Łys i Chyzyj. Chłopcy, jak i my wszyscy, nie chcieli kwaterować w Jamnej, toteż za namową Łysa szybko wrócili z powrotem, twierdząc, że w Jamnej Górnej kwateruje NKWD, a bolszewickie straże patrolują również Jamną Dolną. Ale gdzie tam! Potap uparł się i już! Jak nie do wsi, to chociaż do pierwszej z brzegu chaty. Kazał Sływce i Łysowi pójść do

<sup>22</sup> Jordańska kąpiel – kąpiel w rzece w dniu św. Jana Chrzciciela (19 stycznia), wierzono, że zapewni ona zdrowie i długie życie.

<sup>23</sup> Łankowyj – dowódca tanki, sekcji roju liczącej 4–6 strzelców.



ciotki Łysa, która mieszkała pod lasem i poprosić by ugotowała nam gorącej kartoflanki. My mieliśmy czekać, ukryci w lesie. Ciotka od razu zabrała się za gotowanie, ale to zabrało jej sporo czasu i rozgrzani marszem znów zdążyliśmy zmarznąć. Nareszcie zupa była gotowa. Kolejno wchodziliśmy do izby, by się ogrzać gorącą strawą. Na drogę ciotka dała nam jeszcze po kawałku chleba. Po kolacji Potap kazał przejść na drugi koniec wsi i zakwaterować w domu strzelca Żara, niedaleko cmentarza, nad potokiem. Ledwie zdążyliśmy się trochę ogrzać, gdy z Jamnej Górnej przybiegła dziewczynka, z wiadomością, że we wsi, w każdym prawie domu, kwaterują enkawudziści, bolszewicy rozebrali do naga ciało Zatoki i porzucili przy drodze. Potap znów wpadł w szal.

— Czaban, z twojej winy zginął Zatoka! Teraz za karę, weź Czornego i Rybołowa i przynieście zwłoki komendanta!

Na dworze było jasno, jak w dzień. Zwróciliśmy na to uwagę prowidnyka, ale ten nawet nie chciał nas słuchać. Dopiero, gdy zameldowaliśmy nasze wyjście, krzyknął za nami:

— Uważajcie! To może być zasadzka!

Nie zdążyliśmy oddalić się od domu, gdy zabrzmiała, wypowiedziana po ukraińsku, komenda: „Stój! Hasło!”. Przywarliśmy do ziemi. Trudno było zorientować się w sytuacji, naprzeciw nas zbliżał się wojskowy oddział, ale nie można było zrozumieć w jakim języku rozmawiają. Szybko wróciliśmy z powrotem i powiadomiliśmy o tym Potapa. Okazało się, że była to czota z sotni Burlaki. Znali naszego prowidnyka i wiedzieli, że na pewno stanie w Jamnej. Przyszli zawiadomić go, że już zabrali ciało Zatoki i pochowali je na cmentarzu w Grąziowej.

Potap w końcu zrozumiał, że nie możemy dłużej siedzieć w tej wsi i poszliśmy na kwatery do Trzciańca. Czornyj, Rybołow i ja otrzymaliśmy naganę, ale dlaczego ja, Bóg mi świadkiem, że nie wiem...

Wiosna 1950 roku przyszła bardzo wcześnie. Już na początku kwietnia przygrzało słońce i stopniał śnieg. Od razu zabraliśmy się za porządki. Tam gdzie osiadła ziemia, trzeba było ostrożnie ją podkopać i podsypać świeżej, zamaskować to tarniną i na „dachy” posadzić młode jodły, oczyścić komin i „system wentylacyjny”.

Któregoś ranka, usłyszeliśmy od strony Jawornika Ruskiego huk motorów. Szybko ukryliśmy ślady naszej pracy i ostrożnie podkradliśmy się na skraj lasu. Na polach, które już kilka lat leżały odłogiem, pojawili się traktorzyści. Orali ziemię. W nocy odwiedziliśmy Feniów, by dowiedzieć się co to za nowość. Feń powiedział nam, że na opuszczonych ziemiach władza zaczęła tworzyć tzw. PGR-y i ściąga zewsząd robotników do pracy. Już zaczęto zwozić materiały budowlane, by zbudować dla nich mieszkania. Przywieziono również dużo nawozów sztucznych, bo bez nich ta opuszczona ziemia w ogóle nic nie urodzi. Nawozy to dobra rzecz, szkoda że państwo nie sprzedaje ich prywatnym gospodarstwom.

Ta ostatnia uwaga Fenia zrodziła w mej głowie myśl, by „zorganizować” trochę nawozu dla naszych przyjaciół. Gdy wracaliśmy do lasu, zacząłem namawiać Kruka do „odwiedzenia” magazynów PGR-u. Stefan nie był zachwycony moim pomysłem, ale wyraził zgodę. Następnego nocy w stodole Hawrylaków i na polu Feniów znalazło się kilka worków nawozów. W magazynie panował straszny bałagan i nikt nie zauważył, że trochę substratu zginęło.

Teraz mieliśmy nowe zajęcie. Schowani na skraju lasu całe dnie obserwowaliśmy robotników. Gdy skończono orkę na pole przyjechała ciężarówka, z której wyładowano worki z pszenicą. Przy pomocy siewników zasiewano pole. Robotnicy zajęci pracą nie zwracali uwagi na worki z ziarnem. Ja natomiast nie spuszczałem z nich wzroku. Miałem ochotę ukraść kilka dla naszych przyjaciół, ale Kruk stanowczo sprzeciwił się temu. Wówczas odważyłem się sam wykonać ten zamiar. Gdy robotnicy zajęli się pracą wyskoczyłem z zarośli

i zarzuciłem sobie worek na plecy. Niestety, jego ciężar powalił mnie z nóg. Ważył 75 kg, a ja od kiedy zacząłem chorować, nie byłem taki silny jak dawniej. Spróbowałem ciągnąć go po ziemi, wyskoczył Kruk, zarzucił sobie worek na plecy i skrył się w krzakach. Zacząłem wlec drugi, Kruk już nie protestował. W ten sposób schowaliśmy w lesie cztery worki ziarna. Ale sprawa z pszenicą nie była już taka prosta, jak z nawozami. Zboże było odmierzone, po dwa worki na każdy łan, i ułożone w rzędach. Toteż siewcy szybko zorientowali się, że brakuje ziarna. Zaczęli liczyć worki, lecz nie mogąc się doliczyć, wszczęli kłótnię o to, kto przyjmował dostawę pszenicy. Świetnie się bawiliśmy, patrząc na całe to zamieszanie. Ale gdy traktorzyści niespodziewanie zauważyli rozsypaną pszenicę, śmiech zamarł nam na ustach. Jeden z worków podarł się, a ja zauważyłem to dopiero w wąwozie, obok lasu. Szybko zabezpieczyłem otwór, ale na polu i w wąwozie został ślad kradzieży. Bogu dziękować, że w porę dostrzegłem co się stało. Gdy tak stali rozważając, gdzie zniknęło zboże, na polu obok rozległ się głos Józka Turczyka, który siał swoją pszenicę. Pobiegli do niego i ujrzeni na miedzy worek ze zbożem. Natychmiast rzucili się na Józka z krzykiem, że ukradł państwowe mienie. Chłop zaskoczony tą napaścią, chwycił za jakąś łopatę, by bronić swego „honoru”. Niewiele brakowało, a doszłoby do rękoczynów. Nareszcie ktoś z nich poszedł po rozum do głowy. Obejrzano worek i traktorzyści, przy akompaniamencie Józkowych przekleństw, odstąpili z pola boju.

Kruk był wściekły na mnie, lecz gdy ziarno wydało plon, to pszenicy chleb i pierogi bardzo mu smakowały.

Sporo ziemi PGR przeznaczył również pod ogrodnictwo i sadownictwo. Całe zagony zasadzono malinami, porzeczką, agrestem, warzywami i drzewami owocowymi. Przypadło to nam do gustu i obiecywaliśmy sobie, że jak nadejdzie czas zbiorów, to nieźle się popasujemy.

Tej wiosny wymyśliłem jeszcze jedną rozrywkę. Postanowiłem „godnie uczcić” polskie państwowe święto 1-szy Maja. Cała okoliczna partyjna „wierchuszka” szykowała się do tych obchodów. Za „pańskiej Polski” świętowano Trzeci Maja, lecz teraz zabroniono czcić ten dzień i ustanowiono „święto ludu pracującego” 1-szy Maja. Mieszkańcy Siedlisk mimo represji władz uparcie trzymali się tradycji. Była tam duża polska parafia, wokół której skupiało się całe społeczne życie wsi. Przed wojną Polacy z Siedlisk mieli tylko maleńki kościółek w przysiółku Gdyczyna. Po wysiedleniu Ukraińców zdemastowali cerkiew „przerabiając” ją na kościół, w którym przez cały rok odprawiano Msze św. Ale 3-go Maja, pewnie by dochować tradycji, Mszę św. odprawiano w Gdyczynie. W tym roku obchody 1-go Maja postanowiono urządzić akurat w Siedliskach i zobowiązano wszystkie okoliczne wsie (Huta, Porębów, Netrebka, Rybne, Jawornik Ruski, Jasienica i inne) do wzięcia udziału w pochodzie.

Wyłożyłem Krukowi swój plan, ale on tylko machnął ręką i stwierdził, że nie lubi dziecinady. Wówczas postanowiłem zrealizować go sam. Najpierw wzięłem od Fenia kilka tekturowych pudełek, które uformowałem na kształt min, do środka nakładłem różnego żelastwa, a z magazynu PGR-u „pożyczyłem” kilka metrów drutu i dwie tekturowe tablice. Napisałem na nich po polsku: „Uwaga! Droga zaminowana! Precz z 1-szym Maja! Niech żyje Konstytucja 3-go Maja! Precz z Berią i Stalinem!” Kruk z lekceważeniem przyglądał się mej pracy. W nocy przed 1-szym Maja zebrałem swoje rekwizyty i sam wyruszyłem w drogę. Trochę mi było markotno, więc gdy dopędził mnie Kruk, bardzo się ucieszyłem, choć on cały czas wrzeszczał na mnie.

Drogę w Siedliskach „zaminowaliśmy” fachowo w obu krańcach wsi i powiesiliśmy tablice z ostrzeżeniem. Ukryci na górze w zaroślach, czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Do rana było jeszcze daleko

i Kruk przysnął, ale ja byłem zbyt podniecony, by zasnąć. Nie mogłem się doczekać świtu.

Gdzieś koło siódmej pojawiły się wozy. Ludzie posłusznie jechali na uroczystości. Droga była wąska i oddzielona od pól rowami, toteż gdy pierwszy wóz stanął przed naszą tablicą, musiała zatrzymać się i reszta. A dalej już ani do przodu, ani do tyłu. Wybuchła panika, ludzie zaczęli krzyżeć. Kilku śmiałków przelazło przez rów i polami pobiegło do Siedlisk. Po jakimś czasie wrócili z dwoma milicjantami i jeszcze jakimś ludźmi, pewnie z partii. Rozstawili w poprzek drogi wartę i zapędzili ludzi z powrotem na wozy, bo wielu pozłaziło i podchodziło do przodu, by zobaczyć co się dzieje.

W drugim końcu wsi sytuacja wyglądała tak samo. Wreszcie kazano zawrócić wozy i na tym pochód się skończył. Dopiero po południu przyjechali, ściągnięci z rejonu, saperzy. Mieliśmy świetny ubaw. Nawet Kruk, który ganił mnie za głupie pomysły, zacierał ręce z radości. Następnego dnia w Siedliskach aresztowano kilku Polaków, ale niczego nie można było im dowiedzieć i po kilku dniach odzyskali wolność. Cała okolica aż huczała, że AK zorganizowała akcję przeciw 1-Maja. Bardzo kolorystycznie opowiadał nam potem o całym zajściu Feń. Śmieliśmy się do utraty tchu. Nagle Feń popukał się w głowę i przerwał swoją opowieść.

— Hej, Milku, do czego to potrzebne ci były tekturowe pudełka?

Kłamać nie było sensu.

Niedługo potem zdarzyły się dwie, znacznie mniej śmieszne sytuacje. Nadszedł czas, że ludzie przestali się bać lasu, a leśniczy czuli się w nim jak we własnym domu.

Latem 1950 roku do Dylągowskich Lasów przyszedł nowy leśniczy z Huty. Nie pamiętam już jego nazwiska. Jak na nasz gust był stokroć „bezczelniejszy” od swoich poprzedników, pchał się w największą gęstwinę i to jeszcze w nocy. Już kilka razy, niewiele brakowało, a wleźlibyśmy na niego.

Wracaliśmy akurat z Siedlisk, od Bolka Kaciuby. Kruk chciał się dowiedzieć, czy nie nadszedł list od żony. Nasze odwiedziny nie były daremne. Bolek otrzymał list, tyle że nie od żony Stefana, a od szwagierki z Koszalina. Wieści nie były pocieszające. Szwagierka pokrętnie pisała, że żona Kruka jest nieuleczalnie chora i lepiej żeby zapomniał o niej. Długo zastanawialiśmy się nad treścią tego listu i doszliśmy do wniosku, że dziewczyna pewnie wyszła za męż. Trudno mieć do niej pretensje, jest piękna i młoda, o Stefanie od wielu lat nie ma żadnych wieści i na pewno myśli, że zginął. Żal mi było Kruka, bo teraz tęsknił jeszcze bardziej.

Przygnębieni wracaliśmy do bunkra i wtedy właśnie o mały włos nie wleźlibyśmy na leśniczego. Wściekli na tego bezczelnego typa postanowiliśmy dać mu nauczkę, by nie szwendał się nocą po lesie. Wpadłem na pomysł, by upozorować kradzież materiału budowlanego. W tym celu ścięliśmy grubą, ładną jodłę i pocięliśmy ją na kawałki. Następnego dnia, gdy leśniczy przyszedł do lasu, od razu zauważył „kradzież”. Każdą kłodę oznaczył kredą i zaczął kręcić się po okolicy, czając się na złodziei. W międzyczasie, do każdego pieńka przyczepiliśmy kartki, na których ostrzegaliśmy go, by bez potrzeby nie włóczył się po lesie, bo dostanie kulę w łeb. Po kilku godzinach wrócił do zrąbanej jodły i zobaczył nasze ostrzeżenie. Niestety, mężczyzna nie tylko nie wziął nóg za pas, ale przeciwnie, zaczął rozglądać się po krzakach. Zmuszeni byliśmy postać w jego kierunku kilka strzałów z dubeltówki. Wtedy dopiero się opamiętał i uciekł z lasu. Niedługo potem poinformowano nas, że zrezygnował ze swojej posady, a po okolicy zaczęły krążyć pogłoski, iż w lesie działa szajka złodziei.

W niemałe też kłopoty mógł wpakować nas leśniczy z Dylągowej. Któregoś wieczoru wybraliśmy się do Hawrylaków, by pomóc Milci w gospodarstwie. Na skraju lasu zobaczył nas dylągowski leśniczy. Znał Kruka, więc Stefan czym prędzej wskoczył w krzaki, a mi nie pozostało nic innego jak chwilę z nim pogadać. Wdałem się więc

w pogawędkę. Zapytał mnie skąd jestem i dokąd się wybieram. Miałem w ręku narzędzia stolarskie, które pożyczyłem od Hawrylaków, więc powiedziałem, że idziemy z Łubnej do Żohatyna. Mamy robotę u Józka Kościółka. Ale to mu nie wystarczyło, pyta się, co mój kolega robi w krzakach. Tłumaczę, że ma kłopoty z żołądkiem, ale ten uparł się i czeka aż Stefan wróci. Diabli mnie wzięli, widzę że będą problemy, bo ten czort stoi i bawi się siekierą za pasem. Nie miałem wyjścia, wyjąłem pistolet i mówię:

— Co cię obchodzi mój przyjaciel! Powiedziałem ci, że chory! Rzuć siekierę i wynocha stąd, póki nie straciłem cierpliwości!

Leśniczy rzucił siekierę i jak sarna pobiegł przez pole. Później nigdy już nie wchodził zbyt głęboko w las, a po wsiach znów ludzie zaczęli mówić, że złodzieje drzew napadli na leśniczego i zabrali mu siekierę.

W czerwcu 1950 roku przeżyliśmy niezwykle spotkanie, bez którego nie wiadomo jak dalej potoczyłoby się nasze życie. Podczas kolejnych odwiedzin u Marii, zjawiała się Anielka. Kobiety przyszły do nas późnym wieczorem, bardzo podekscytowane. Od razu zauważyliśmy, że coś się wydarzyło, ale żaden z nas nie zapytał co się stało, zajęty gorącą zupą.

— Chciałybyśmy, abyście zostali u nas jeszcze jutro — powiedziała wreszcie Maria — szukujemy dla was miłą niespodziankę.

— Może spotkanie z milicją — wyrwałem się głupio. Anielka zakryła mi usta dłonią i spojrzała na mnie z wyrzutem. Natychmiast pożałowałem swoich słów.

— Odnalazliśmy, Milku, twego brata w Przemyślu. Chce się spotkać z tobą.

Zatkało mnie z wrażenia.

Kobiety zaczęły opowiadać, jak pojechały do Przemyśla i odnalazły Antoszka, który pracuje w państwowej drukarni. Myśląc, że zginą-

łem obawiał się prowokacji i długo musiały go przekonywać, nim wreszcie zdobyły jego zaufanie. Anielka poszła do domu, by wstać rano i złapać autobus do Przemyśla. Miała nadzieję, że po południu wróci do nas z bratem. Maria długo jeszcze rozmawiała z nami.

W nocy nie mogłem zasnąć, byłem zdenerwowany. Rano siadłem przy drzwiach i przez szparę w deskach obserwowałem podwórze. W końcu, po południu zjawiała się Anielka w towarzystwie jakiejś kobiety. Jak się okazało była to moja bratowa, Maria.

Padliśmy sobie w ramiona. Łzom i wspomnieniom nie było końca. Po trzech godzinach bratowa musiała nas opuścić, by zdążyć na ostatni autobus do domu. Na pożegnanie zostawiła nam 200 złotych i umówiła się, że za dwa tygodnie przyjedzie z Antoszką. Pokrótce zdążyła opowiedzieć mi co działo się z bratem podczas wojny. Nie widziałem go od 1939 roku. Za Niemców był aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Udało mu się przeżyć. W czerwcu 1945 r. wrócił do Przemyśla, a ponieważ nie zastał tam żony, wybrał się do Iskani, by ją odnaleźć. Po drodze, niedaleko Wapowiec, spotkał znajomego Polaka, Jaśka Króla (krewnego Michała), który ostrzegł go, że w Wapowcach, w domu spolszczonego Ukraińca — Hnatyka, urzęduje banda Polaków. „Polują” oni na powracających Ukraińców. Z ich rąk zginęło już wielu ludzi. Na szczęście Jaśko wiedział, gdzie ukrywa się Maria i zaprowadził go do niej. W czasie okupacji bratową wywieziono na roboty do Niemiec. Udało się jej uciec stamtąd i żyła teraz pod przybranym nazwiskiem.

Tragiczny los spotkał mego młodszego brata, Iwana. Również aresztowali go Niemcy, przeżył Oświęcim, ale nie dane mu było wrócić do domu. Po odzyskaniu wolności, spotkał dziewczynę z naszych stron, Olę Kruć (nie była spokrewniona z Kruciami). Ola była na robotach w Niemczech. Postanowili razem wrócić w rodzinne strony. Niedaleko Iskani napadła na nich polska banda, której prowodyrem był Antoni Kurasz z Iskani. Brata zakatowali na śmierć metalowymi

prętami, Olę zgwałcili a potem zamordowali i ciało wrzucili do rzeki. Ten bestialski mord widzieli ludzie pasący bydło i dali znać do Iskani. Było już jednak za późno na ratunek.

Strasznie dłużyły mi się te dwa tygodnie. Nareszcie nadszedł czwartek, pora by wyruszyć do Iskani. Znow noc spędziliśmy w piwnicy, a rano Maria kazała nam ukryć się w zaroślach i czekać, aż wróci z Przemyśla, gdzie razem z Anielką wybierają się „na rynek”. Czekaaliśmy w napięciu. W porze obiadu przyszedł do nas córki Marii i Anielki, obydwie Heleny. Ładne i grzeczne dziewczyny. Przyniosły nam obiad. Kruk z wdzięczności ułożył o nich piosenkę:

*W Iskani nad Śanom  
Sołowej spiwaje,  
Taka harna dnyna,  
aż sia serce kraje...  
Pryjszły naši panny Heli,  
obi harno wbrani,  
a my brudni i obderti,  
ta i szcze ne hołeni.  
Rozmowlajte że diwczata,  
łysze duże tycho,  
szczo by z boku ne poczuto  
jakeś polskie tycho.*

Nasze wspaniałe opiekunki wróciły z Przemyśla bardzo późno. Z Antoszką umówiły się dopiero na niedzielę. W ciągu tygodnia musiał chodzić do pracy. Bardzo prosił, by czekać na niego i, abyśmy się nie nudzili, przekazał papierosy, gazety i leki dla mnie. Postanowiliśmy zostać, tym bardziej, że pod opieką Anielki i Marii czuliśmy się bezpieczni.

W niedzielę, od rana przywarłem oczyma do szpary w drzwiach piwnicy i tkwiłem tak do południa. Wtedy właśnie na podwórzu zjawił się Michał i Antoszko. Długo staliśmy w objęciach. Czyż można opisać radość dwóch braci, którzy się odnaleźli, gdy już się wzajemnie pochowali?

W ciągu kilku godzin niełatwo opowiedzieć wydarzenia dziesięciu lat. Zarzucaliśmy się pytaniami, przechodziliśmy z tematów osobistych na bardziej ogólne, płynęły wspomnienia o przeżytych wspólnie chwilach, o rodzicach, przyjaciółach i znajomych. Naszą rozmowę przerywał na przemian to śmiech, to łzy. Od brata dowiedziałem się, że Polacy w 1948 roku postawili przed sądem sotennych: Burlakę, Brodycza, Kałynowycza i kilku innych, którzy wpadli im w ręce. Większość rozstrzeliwano w ogóle bez sądu. Z naszej wsi zostali rozstrzelani na cmentarzu w Przemyślu: Hnatyk, Dończak, Sływjak i Kruć. Wielu oddało życie tylko za to, że mieli odwagę czuć się Ukraińcami, ginęli choć nigdy nie walczyli w szeregach UPA. Na cmentarzu w Przemyślu niemało jest właśnie takich mogił. Skazano je na zapomnienie, zrównując z ziemią. Egzekucje widział na własne oczy stróż cmentarny, Ukrainiec, który po cichu opowiedział o tym innym. Wielu naszych nawet nie przyznaje się do swego pochodzenia, bo za to można zapłacić życiem. Brat również udawał Polaka.

Bardzo ucieszyły mnie wiadomości o najmłodszym bracie, Pawle. Jest w Ameryce. Ściągnął go tam z obozu dla uchodźców wuj, Milko Sadlak. Wuj Milko wyemigrował do Ameryki jeszcze przed I wojną światową. Antoszko dał mi jego adres, choć nie widziałem możliwości wykorzystania go. Na koniec powiedział, że może załatwić mi papiery na wyjazd za granicę. Zna przemytników, którzy za 50 tysięcy złotych przerzucają ludzi na Zachód. Pieniądze jakoś zdobędzie. Wzruszyła mnie jego troska, ale wiedziałem, że nie skorzystam z tej propozycji. Nie mogłem zostawić Stefana. Zaprzysięgliśmy sobie, że jeżeli wydostaniemy się na wolność, to tylko razem. A poza tym nie byłem przekonany do wyjazdu za granicę. Kruk też na pewno by nie chciał jechać. Zresztą, czy w tak ważnej sprawie można zaufać przemytnikom?

Opowiedzieliśmy Antoszkowi o Feniach w Hucie i Hawrylakach w Rybnem, z prośbą, by nie wygadał się przed Anielką i Marią.

Antoszek na pożegnanie zostawił mi 250 złotych, obiecał zdobyć leki na mój chory żołądek i przekazywać nam przez Anielkę lub Marię gazety.

Dobrymi nowinami podzieliliśmy się z Feniami i Hawrylakami. Nawiasem mówiąc, do Hawrylaków zachodziłem coraz częściej, bo chciałem pomóc Milci w gospodarstwie. Choć dziewczyna była bardzo pracowita, to jednak brakowało tam męskich rąk. A poza tym Milcia coraz bardziej mi się podobała.

W sierpniu znów wpadliśmy do Anielki i jakoś nieopatrznie wygadałem się, że mam adresy do Ameryki. Anielka zaczęła mnie namawiać, żeby napisać do wujka Sadlaka i od razu wymyśliła pretekst, dla którego miałbym napisać list. Była specjalistką od różnych wydumanych historii i umiała postawić na swoim. Choć przestrzegałem ją, że może się nam podwinąć noga, bo miejscowi Polacy znają mnie i wujka, to jednak uparła się. Uległem i pod jej dyktando napisałem, że żenię się z Helą i proszę wujka, by przysłał mi coś na wesele. Anielka zaadresowała kopertę i na odwrocie napisała swój adres.

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. W liście było 10 dolarów, a osobno jeszcze wuj przysłał kilka chustek i pończochy. Na poczcie w Dubiecku nie omieszkanie otworzyć korespondencji. Cenzor, Broniek Bacz z Iskani, znał całą moją rodzinę i był przekonany, że nie żyję. Oczywiście zainteresował się listem, napisanym do mnie na adres Heli Kruć. Na szczęście listonosz uprzedził dziewczynę, że szykują się nieprzyjemności. Anielka, kuta na cztery nogi, wyuczyła córkę co ma powiedzieć na UB: ma udawać, że nic nie wie, Milek Pleczeń nie żyje, a całą historię z weselem wymyśliła jej matka, aby wyciągnąć od starego Sadlaka trochę dolarów.

Ubacy zaczęli kręcić się pod domem Kruciów. Nie wiedzieliśmy nic o aferze z listem, ale na szczęście dłuższy czas nie zaglądaliśmy do Anielki. Gdy Helcię wywołano na przesłuchanie, wciąż powtarzała tę wydumaną historię, choć niezłe jej się dostało. Wszystko to opo-

wiedziała nam później Maria Król. Funkcjonariusze UB nakazali jej obserwować dom Kruciów, a któremuś z sąsiadów ją samą.

W tych niezwykłych okolicznościach nie opuszczało nas szczęście, czego najlepszym dowodem jest to, że przeżyliśmy. Historia z paczką trochę nas wystraszyła, ale szybko o niej zapomniałem i w listopadzie, za namową Fenia, napisałem list do Pawła, do Ameryki. Feń całe ryzyko brał na siebie, proponując swój zwrotny adres.

Sądzę, że i Anielka i Feń narażali się na niebezpieczeństwo, bo jak wszyscy w Polsce klepali biedę, a paczka z Ameryki stanowiła sporą pomoc.

Feń przypomniał mi, że w lutym 1940 roku, z przysiółka Dubowe koło Jawornika, bolszewicy wywieźli na Sybir wielu ludzi, a na ich gospodarstwach osadzili chłopów przesiedlonych ze strefy nadgranicznej nad Sanem. Wtedy również przybyli na te tereny moi stryjeczni bracia, Paweł i Andrzej Pleczenie. Feń zaprzyjaźnił się wówczas z nimi, więc nie ma w tym nic dziwnego, że korzystając teraz z jego pośrednictwa, Paweł z Ameryki napisał list do Pawła z Polski.

Nie miałem zbyt dużych nadziei na paczkę, bo brat sam od niedawna był w Ameryce, lecz napisałem list i zaniósłem Feniowi. Andrzej zastanawiał się skąd najlepiej byłoby go wysłać i wreszcie zdecydował się na Przemyśl. Akurat do miasta jechał jego najstarszy syn, Józek. Gdy zastanawialiśmy się nad tym problemem, Feń wpadł na pomysł, by na nasze Boże Narodzenie, które akurat zbiega się z łacińskim świętem Trzech Króli, zaprosić do siebie Antoszka z żoną. Ten gest bardzo mnie wzruszył.

Józek nie wzbudził zaufania Antoszka, może dlatego, że wystroił się po „miastowemu” i wyglądał na ubeka. Dopiero mój list do Pawła przekonał go i uspokoił. Zatrzymał chłopca na noc i spędził z nim cały następny dzień. Umówili się, że 6 stycznia Józek będzie czekać na nich na przystanku autobusowym w Dynowie.

My również zaczęliśmy robić przedsięwzięte porządki. Staralem się upiększyć naszą kryjówkę, bo może brat zechce zobaczyć gdzie mieszkamy. Poprosiłem Józka, aby kupił w mieście białego papieru i wykleiliśmy nim ściany oraz sufit. Pokój od razu zrobił się większy i jaśniejszy, choć Józek śmiał się, że nora i tak pozostanie norą. Kruk oczywiście stanął w obronie naszych „pańskich pokoi” i tak słowo po słowie wyrwało mu się, że jeżeli Józek nie wierzy, to niech sam się przekona.

Przestraszył mnie taki obrót sprawy. Fenie też stanowczo sprzeciwili się wizycie syna w naszym bunkrze, bo zdawali sobie sprawę, że lepiej nie wiedzieć, gdzie mieszkamy, ale młodym ludziom „morze po kolana”. Nie było wyjścia, ruszyliśmy na oględziny.

Pierwszy raz ktoś z zewnątrz oglądał bunkier i czułem się dumny, gdy Józek z otwartą gębą chodził po naszym „mieszkanu”. Od czasu do czasu powtarzał:

– Sami to zrobiliście? Sami? Własnymi rękami?

Zapamiętałem datę tej pierwszej „wizyty”, bo akurat wypadły imieniny mego ojca, Michała. Poczęstowaliśmy Józka smażoną dziczyzną i wypiliśmy po kielichu samogonu, który, nawiasem mówiąc, pędziliśmy dla Feniów. Późną nocą odprowadziliśmy chłopca do domu. Kruk wrócił do bunkra, a ja zanocewałem u Hawrylaków.

## V

Zima 1950/51 była mroźna, śnieżna i wietrzna. Nawet w lesie powstały zasy, które wiatr prznosił z miejsca na miejsce. Śnieżyce, choć nieprzyjemne, dawały nam swobodę ruchu. Częściej niż poprzedniej zimy mogliśmy bywać we wsi. Razem z Krukiem pomagałem Hawrylakom w gospodarstwie. Oczywiście pracować można było tylko nocą, w dzień spaliśmy w stajni. Teraz Milcia miała zawsze zapas drewna na opał i sieczkę.

Łacińskie Boże Narodzenie zamierzaliśmy spędzić razem z Hawrylakami (obchodzili polskie i ukraińskie święta), ale w przeddzień Wigilii do Feniów przybiegła Milcia, aby odwołać wspólną wieczrę. Wprosił się do nich gość, Włodek Tokarski, który zalecał się do Milci i ciągle jeszcze miał jakąś nadzieję. Włodek gospodarzył w opuszczonym obejściu Soroczaków, rodziców naszego sotennego Worony. Hawrylakowie chętnie go przyjmowali, bo chronił ich przed ludzkim gadaniem. Jeżeli ktoś we wsi mówił, że koło Hawrylaka kręcą się jakieś podejrzone typy, Tokarski zaprzeczał twierdząc, że wie co tam się dzieje. Polskie święta przesiedzieliśmy więc w bunkrze, patrosząc dzika, którego upolował Kruk.

5 stycznia już od rana odczuwałem radosne podniecenie. Do plecaków zapakowaliśmy mięso, najpiękniejsze wianki grzybów i już byliśmy gotowi do drogi. Ale pogoda nam nie sprzyjała. Błagałem Boga o zamieć, która zatartałaby nasze ślady. Zdawałem sobie sprawę, że w złą pogodę bratu nie będzie się przyjemnie podróżować, ale zawieja to warunek, byśmy mogli się spotkać. Tymczasem, jak na złość, od kilku dni utrzymywała się piękna pogoda, choć wiał wiatr i trzymał mróz, niebo było bezchmurne.

Jednak Kruk stanowczo twierdził, że do wieczora na pewno spadnie śnieg. Wyruszyliśmy koło południa. By nie zostawić śladów, z początku szliśmy potokiem, a potem trzeba było zataczać koła, krążyć i wracać z powrotem. Na polanie zrąbaliśmy kilka młodych buków, żeby upozorować kradzież drzewa. Plecaki stawały się coraz cięższe, a ja zupełnie opadałem z sił; kilka razy nawet upadłem. Przez jakiś czas szliśmy po śladach zostawionych przez jakichś ludzi. I nareszcie, ku naszej radości, niebo pokryło się chmurami, mróz zelżał i zaczął sypać śnieg. Kruk miał rację. O zmroku zatrzymaliśmy się na skraju lasu, by odpocząć. Modliłem się o większą ilość śniegu, aby zakrył nasze ślady.

Ostrożnie podkradaliśmy się do gospodarstwa Feniów. Podwórko zasypane śniegiem, wokół ani żywego ducha. Przemknęliśmy do szopy i z ulgą zrzuciłem z pleców nasze „święteczne upominki”. Potem poszliśmy ogrzać się do stajni. Kruk, który lubił konie, zaczął je pieścić. Za chwilę przybiegł, zaprzyjaźniony z nami, pies Feniów, a za nim w progu stanął Józek i Feniowa z garnkiem gorącej zupy. Pyszna zupka, zupełnie nie to, co pichciłem ja. Noc przespaliśmy w stajni, a rano Feń zawołał nas do domu, na śniadanie. Czuliśmy się trochę niepewnie, odwykliśmy już od przebywania w domu w ciągu dnia. Gospodarz śmiał się z naszego niepokoju i zapewniał, że nikt nie przyjdzie, więc nie ma sensu abyśmy siedzieli w oborze. Dom był duży, 4-pokojowy. Ponieważ nadal odczuwaliśmy niepokój, Feń zaprowadził nas do pokoju, który miał osobne wyjście na dwór.

Po śniadaniu Józek zaprzęgnął konie i pojechał do Dynowa po Antoszka i bratową. Pogoda była pod psem, więc chociaż to tylko 16 kilometrów, liczyliśmy że wcześniej niż za 5 godzin nie zdoła wrócić. Czekałem w napięciu. Tak dziwnie i zarazem przyjemnie czułem się w domu, pokoje wysprzątane, wszędzie czysto, porządnie. Od czasu do czasu wpadała do nas gospodyni, by poczęstować gości gorącym mlekiem czy chlebem z masłem. Feń dotrzymywał nam towarzystwa,

śmiał się i nazywał nas przestraszonymi zającami, gdy z niepokojem wyglądaliśmy przez zamarznęte okno. Często zaglądał do nas Staszek Feń, za każdym razem oznajmiając, że nic nam nie grozi.

Koło południa na wygonie zobaczyliśmy sanie. Feń od razu poznał swoje konie i wyszedł na dwór. Nas również wołał, ale woleliśmy zostać w środku. Jeszcze kilka minut i sanie zajęchały przed dom, a za chwilę dał się słyszeć śmiech i wesołe okrzyki.

— Witamy, witamy gości z Przemyśla! Zapraszamy do środka!

— Poznajcie się, bo pewnie się nie znacie — żartowali Feniowie.

Przez jakiś czas odczuwałem jeszcze wewnętrzny niepokój, również Antoszko był pełen obaw. Ale zaufaliśmy Feniowi, który twierdził, że do niego oprócz nas dwóch „leśnych gości” nikt nigdy nie przychodzi. Uspokojeni zasiedliśmy do stołu, siedmioro Feniów i nasza czwórka. Stół zastawiono tradycyjnymi ukraińskimi potrawami, łącznie z kutią. Zmówiliśmy wspólnie modlitwę, my po ukraińsku, a Fenie po polsku. Potem gospodarz przełamał się z nami opłatkiem i życząc nam wesołych Świąt, powiedział:

— Niech Bóg nam błogosławi, aby nie było nienawiści między naszymi narodami. A wam chłopcy życzę, abyście jak najszybciej wrócili do swoich rodzin i zaczęli spokojne życie.

Wzruszył nas do łez. W zachowaniu gospodarzy tyle było ciepła i serdeczności, że czuliśmy się jak jedna, wielka rodzina. Ileż to już lat minęło, gdy razem z Krukiem mogłem siedzieć za stołem zaścielonym białym obrusem w atmosferze ciepła i serdeczności. Rozmawialiśmy o świątecznych zwyczajach, płynęły wspomnienia o dawnych tradycjach, o Pasterce, o kolędzie. Wszyscy byli wzruszeni. Nawet nie obejrzelśmy się jak nastał świt. Antoszko musiał wracać do pracy. Józek zaprzęgnął konie, a Feń w tym czasie przygotowywał dla brata podarunki. Spakował w walizy przyniesione przez nas mięso i grzyby, dodał jeszcze coś od siebie i położył to wszystko na saniach.



My też, podziękowawszy gospodarzom za ich dobroć, wyruszyliśmy w powrotną drogę. Byliśmy zgodni z Krukiem co do tego, że na świecie nie ma złych, czy dobrych nacji, są tylko dobrzy albo źli ludzie!

Od Bożego Narodzenia do połowy marca prawie nie opuszczaliśmy bunkra. Zima egzekwowała swe prawa. Trzymał mróz i często padał śnieg. Czas dłużył się w nieskończoność. Dobrze, że znalazło się trochę starych gazet i kilka polskich książek. Czytaliśmy je po kilka razy. Trzeba było jednak oszczędzać naftę.

Wiosna przyszła zgodnie z kalendarzem. Nagle powiał południowy wiatr, ociepliło się i śnieg dosłownie stopniał w oczach. W lesie potworzyły się ogromne kałuże, woda ciurkiem lała się również do „gabinetu” Kruka, zresztą prosto na jego łóżko. Miał mocny sen i dopiero gdy przemókł, zauważył co się dzieje. Nie pierwszy raz w ten sposób wiosna dawała nam znać o sobie. Ileż to już wiosen witaliśmy w lesie, a ile jeszcze przyjdzie nam powitać? Bóg jeden wie.

Jak co roku o tej porze zabraliśmy się za porządkowanie naszego „gospodarstwa”, potem obeszliliśmy „nasze włości” i udaliśmy się na skraj lasu, by sprawdzić, jak sprawują się pracownicy PGR-u. Pewnego razu, siedząc pod rozłożystą jodłą, usłyszeliśmy nagle pisk i coś puchatego, czarnego upadło mi do stóp.

— Popatrz, popatrz! Jaki piękny kotek! — wykrzyknąłem.

— Kotek? — roześmiał się Kruk — To przecież kuna!

Wziął ją na ręce. Z początku leżała jak martwa, a potem zaczęła się miotać i ugryzła Kruka w palec. I to jak! Od razu zaczęła lać się krew. Stefan zagarnął ją w bluzę i zaniósł do bunkra. Zamknęliśmy ją w koszyku, ale gdzie tam, mały chochlik zaczął przegryzać pręty. Kruk postanowił zatrzymać kunę i spróbować ją oswoić. Skoczyliśmy do PGR-u, by „pożyczyć” drutu i zrobić jej klatkę.

Kuna żyła z nami kilka miesięcy. Bardzo cieszyliśmy się tym żywym stworzeniem, tylko podczas karmienia trzeba było uważać na ręce, bo najpierw chwytala palce, a dopiero potem pokarm.

Niestety, okazało się, że człowiek może żyć wszędzie, pod gołym niebem, w pieczarze, w górach i dolinie, ale dziki kotek pod ziemią żyć nie mógł. Kuna zdechła.

Wiosna przyniosła nam również pozdrowienia z Ameryki. Gdy przyszliśmy do Fenia, czekała już na nas paczka od Pawła. Czego tam nie było! Wybrałem dla siebie i Kruka spodnie i po dwie koszule, a resztę zostawiłem Feniom. Nie chcieli przyjąć, ale przekonałem ich, że w lesie nic więcej nie jest nam potrzebne, a już na pewno nie potrzebujemy kobiecych ubrań. Byłem szczęśliwy, że trafiła się okazja, by odwdziżyć się tym wspaniałym ludziom, tym bardziej, że w tym czasie nikomu w Polsce się nie przelewało. Feniowa wybrała kilka chustek oraz jakieś kobiece fatałaszki i kazała zanieść Hawrylakom.

Wiosna nie przyniosła jednak żadnej ulgi mojemu choremu żołądkowi. Nie pomagały ani lekko strawne potrawy, ani mleko od Feniowej. Na początku maja byłem już tak wyczerpany chorobą, że zgodziłem się pójść do znachorki w Końskim, za Sanem. Postanowiono, że będzie mi towarzyszyć Milcia. Wędrująca młoda para nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Dziewczyna przystała na to, nie zdradzając przed rodzicami, że wybiera się ze mną.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, postanowiliśmy iść drogą. Ubrałem się w hułkę Hawrylaka i jego czapkę, w kieszeń wsadziłem pistolet i granat, a do ręki wziąłem podróżny kostur. Umówiliśmy się z Milką, że jeżeli ktoś nas zatrzyma, to ona będzie udawać, że jestem przygodnym towarzyszem jej podróży. Nikt jednak nie zwracał na nas uwagi, a napotkani wieśniacy pozdrawiali nas grzecznie: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Mimo to przy każdym spotkaniu mocniej ścisnąłem w kieszeni pistolet.

Dom znachorki odnaleźliśmy bez przeszkód. W środku było kilka sąsiadek, które przyszły na pogawędkę. Kobieta zawołała mnie do swego, niemalże lekarskiego, gabinetu, wyposażonego w rozmaite szkatułki, buteleczki i bandaże. Obejrawszy mnie stwierdziła, że prawdopodobnie wskutek ciężkiej pracy naderwałem sobie żołądek, który obniżył się prawie o dłoń. Obwiązała mnie bandażem i kazała uważać na siebie. Nie powiedziała ile należy się za poradę, więc dałem jej 20 zł. Wyglądała na zadowoloną.

W tym samym czasie Milcia wdała się w pogaduszki z sąsiadkami. Kobiety między sobą rozmawiały po ukraińsku, a do Milci zwracały się po polsku. Dziewczyna przeszła na język ukraiński i przyznała się, że jest Ukrainką. Baby od razu zaczęły inną gadkę. Narzekały na polski szowinizm i prześladowania. A ja słysząc to wszystko cierpłem ze strachu. Co sobie ta Milcia myśli! Mało mamy kłopotów?

Znachorka również przyłączyła się do rozmowy. Rozmawiała po ukraińsku. Wyglądało na to, że jestem wśród nich jedynym Polakiem, bo uparcie trzymałem się polskiego. Tymczasem nastał wieczór i okazało się, że spóźniliśmy się na ostatni prom. Znachorka zaproponowała mi i „mojej żonie” nocleg u siebie, na co „moja żona” od razu przystała. Kobiety rozgadały się o Żohatynie (Milcia powiedziała, że przyszliliśmy właśnie stamtąd) i o innych wsiach po drugiej stronie Sanu... Nie byłem tym zachwycony, ale cóż mogłem zrobić. Gdzieś przecież musieliśmy spać. Zapytałem, gdzie można kupić coś do jedzenia. Kobiety pokazały mi dom, w którym mieściła się spółdzielnia. Wszedłem do środka i zimny pot wystąpił mi na czoło. W sklepie pełno było chłopów i milicji. Popijali piwo. Zaraz zapytają mnie kim jestem, pomyślałem sobie. Ale nikt się mną nie interesował. Kupiłem chleb, słoninę, jajka, kawę oraz cukier i wróciłem do kobiet. Przy wieczerzy oznajmiłem znachorce, że wziąłem sobie „Rusinkę” na żonę, bo mi się spodobała.

Rano pierwszym promem przeprawiliśmy się przez San i bez przeszkód wróciliśmy do domu. Porady znachorki na nic się zdały, żołądek bolał mnie nadal.

W 1951 roku nasza Wielkanoc przypadała 5 kwietnia. W Wielki Tydzień Kruk, który był bardzo religijny, zapytał mnie czy nie chciałbym u nas w bunkrze urządzać prowizorycznego Bożego Grobu.

– Jak zamierzasz to zrobić? – zapytałem

– Mamy deski, zrobię symboliczny grób... W Piątkowych Dołach, przy polnej drodze stoi krzyż. Ten przy którym zawsze modlimy się gdy idziemy do Iskani. Zdejmujemy figurę, przyniesiemy do bunkra i zrobimy płaszczanicę<sup>24</sup>.

Nie byłem pewny, czy nie jest grzechem zdejmowanie krzyża z figury, ale Kruk przekonał mnie, że w naszym zamiarze nie ma żadnej złej intencji, chcemy przecież tylko się pomodlić i odtworzyć atmosferę świątyni. Udaliśmy się pod krzyż. Kruk delikatnie wyjął gwoździe, zdjął figurę i owiniętą w płótno przyniósł do kryjówki. Świątek był bardzo stary, popękał na słońcu i zrobiły się w nim wielkie szczeliny. Kruk poutykał je ciastem.

Od czwartku postanowiliśmy pościć. W Wielki Piątek przygotowaliśmy grób, który został udekorowany kwiatami i młodą jodłą. Świątka położyłem na czysty obrus i zapaliłem świece. Potem z książeczek, które zdobyła dla nas Milcia, głośno odczytaliśmy modlitwę. Kruk czytał sekwencje księdza, a ja diaka. Prosił Boga o zdrowie dla mnie, zanosiliśmy modlitwę za naszych bliskich i o to, by ukrzyżowany Chrystus pozwolił nam wyjść na wolność. Potem każdy z nas, w odosobnieniu i przy pomocy modlitewnika, odbył spowiedź i dalej już razem śpiewaliśmy *Preterpiwyj*...<sup>25</sup>.

24. Płaszczanica – płócienny obraz, z wizerunkiem Chrystusa, o znaczeniu liturgicznym.

25. *Preterpiwyj*... – modlitwa Wielkiego Postu.

W Wielką Sobotę, późno w nocy, odnieśliśmy świątka na miejsce. Odnowieni duchowo położyliśmy się spać. Ale nie dane mi było odpocząć.

Zbudził mnie Kruk. Zapaliłem lampę i zdziwiony spytałem o co chodzi. Odparł, że przyśnił mu się Chrystus, który powiedział:

— Idź zaraz do krzyża i powyjmuaj ze świątka ciasto. Jeżeli to zrobisz, będziesz szczęśliwy!

Sen bardzo wzburzył Kruka. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. I choć na dworze nastał już dzień, chciał natychmiast biec do Piątkowego Dołu. Ledwie przekonałem go, by zaczekał do wieczora. Gdy tylko zapadły ciemności, natychmiast udaliśmy się pod krzyż. Kruk wydłubał ze szczelin ciasto i z lekkim sercem wróciliśmy „do domu”. Nie chciało nam się spać i zaczęliśmy gawędzić. Wtedy to Kruk wpadł na pomysł, żeby przez cały maj odprawiać majówki. Powiesiliśmy więc na jodle obraz Maryi i każdego wieczoru modliliśmy się przed nim. Ten obrazek zachowałem do dzisiaj.

Zielone Świąta przypomniały nam o obowiązku odwiedzenia mogił poległych towarzyszy. Tym razem postanowiliśmy pójść na mogiły tych, których znaliśmy osobiście. Niemala jest takich grobów, ale rozrzucone są w wielu miejscowościach. Nie mogliśmy odwiedzić wszystkich, dlatego postanowiliśmy pójść do Hroszewskiego Lasu. Tam koło Hroszówki w 1946 roku zginęli dwaj strzelcy z sotni Hromenki: Gaszek, który pochodził z Birczy i Łys z Pawłokomy.

Sotnia Hromenki kwaterowała w domach pod lasem. Niespodziewanie od strony wsi zaatakowali Polacy. Jednocześnie nieprzyjaciel rozstawił swe czujki w lesie, pragnąc odciąć sotni drogę ucieczki. Sotenny zorientował się w zamiarach wroga i bezpiecznie wyprowadził sotnię ze wsi. Zazwyczaj żaden nasz oddział nie podejmował walki w osadach, by nie ucierpiała ludność cywilna, chyba że wymagała tego sytuacja. Dwie godziny później, nic nie wiedząc o zasadzce w lesie, Gaszek, Łys i Czornjuk wyszli z kryjówki, gdzie szyli mundury dla

strzelców. Natknęli się na Polaków. Czornjuk, doświadczony dywizjonista, który przeżył Brody, rzucił dwa granaty, otworzył ogień z automatu i szczęśliwie przemknął wśród zabitych Polaków. Gaszek i Łys nie mieli szczęścia. Pochowano ich tam, gdzie zginęli.

Razem z Krukiem udałem się na miejsce ich śmierci. Okazało się jednak, że wśród zarośli niełatwo odnaleźć mogiły. Rozkrzewiło się poszycie lasu, trawa wybujała po pas, a tam gdzie kiedyś było pole, wyrósł młodniak. Mimo to udało się je odnaleźć. Wyrwaliśmy chwasty i postawiliśmy brzozowe krzyże. Kruk wydłubał w nich pseudonimy strzelców, miejsce urodzenia i datę śmierci. Zdobycza siekiera bardzo się przydała. Po modlitwie stanęliśmy na baczność i oddaliśmy cześć poległym towarzyszom. Potem udaliśmy się na grób strzelca z sotni Burlaki (nie pamiętam jego pseudonimu). Tam również postawiliśmy nowy krzyż.

Na upowskim cmentarzu w Woli Wołodzkiej zastaliśmy idealny porządek. Sama wieś, niegdyś gwarna i wesoła, teraz zarosła burzaniem i lasem. Wyglądała jak dżungla. Aby nie włóczyć się za dnia, ukryci w krzakach przesiedzieliśmy do zmroku. Potem zeszedliśmy do miejsca, gdzie przed wysiedleniem znajdowały się uprawne pola. Tam, przy drodze do Netrebki stał przydrożny krzyż, a pod nim mogiła siedmiu upowców — prowidnyka Borysa i jego żołnierzy. Noc, rozjaśniona gwiazdami, była bardzo widna. Na krzyżu wisiał świeży wianek z barwinku. Na grobie rosły piękne żółte róże, a wokół krzyża niebieskie lilie i kwitnący już barwinek. Chciałoby się uścisnąć tę dłoń, która tak starannie pielęgnuje te błękitno-żółte kwiaty. Ze wzruszenia łzy napłynęły nam do oczu. Stanęliśmy na baczność i zasalutowaliśmy naszemu prowidnykowi Borysowi oraz jego towarzyszom. Po chwili na drodze dał się słyszeć jakiś ruch, więc musieliśmy czym prędzej się ukryć.

Kruk głowił się nad tym, kto z miejscowych chłopów opiekuje się mogiłą i doszedł do wniosku, że mogłaby to być Zofia Nowak z Jasie-

nia. Pod pretekstem troski o przydrożny krzyż dogląda mogiły powstańców. A może to zresztą nie ona. Kto wie ile ukraińskich serc ukryło się pod polski płaszcz, by ocalić głowę. Mogiła Borysa przywołała wspomnienia święta Pokrowy<sup>26</sup> i obchodów rocznicy powstania UPA. Wspomniałem jak Matka Boża uratowała nas od śmierci i tragiczne okoliczności śmierci Borysa.

...Był październik 1946 roku. Na miejsce zbiórki wyznaczono wysoką górę w masywie Braniowskiego Lasu. Nasza grupa wraz z przewodnikiem Borysem przybyła jako jedna z pierwszych akurat w wigilię Pokrowy. Na górze była już sotnia Burlaki, potem zjawily się sotnie Hromenki, Kryłacza i Łastiwki oraz bojówki z naszego rejonu. Zebrało się około 900 osób – cały kureń Bajdy. Dowództwo objął sotenny Burlaka, bo Bajda, ranny, ciągle jeszcze przebywał w szpitalu. Żołnierze zajęli się czyszczeniem broni i porządkowaniem swoich mundurów, aby jak najlepiej prezentować się podczas przeglądu.

Rano, jeszcze przed wschodem słońca, sotnie i bojówki stawily się do apelu. Po przeglądzie kureń przeszedł na polanę, gdzie ustawiono, po mistrzowsku zrobiony, ołtarz. Po obu jego bokach łopotaly na wietrze niebiesko-żółte sztandary. Żołnierze wokół ołtarza sformowali czworobok.

– Równaj w prawo! Bacność!... Prezentuj broń!... Do raportu wystąp! – rozbrzmiewaly wojskowe komendy. Komendant Burlaka zwrócił się do żołnierzy z krótką przemową, a potem kapelan Kadyło rozpoczął celebrację Mszy św., podczas której cicho wtórował mu zorganizowany naprędce chór. Co jakiś czas wartownicy składali komendantowi raport o sytuacji. Panował świąteczny nastrój. Gdy Liturgia dobiegła końca i chór zaintonował już *Boże Welykyj, Jedynyj*...<sup>27</sup>, melodię zakłócił huk motorów. Sotenny Burlaka natychmiast

26. Pokrowa – święto Matki Boskiej Opiekunki, przypadające na 14 października.

27. *Boże Welykyj, Jedynyj*... – ukraińska pieśń religijno-patriotyczna.

wydał rozkaz zebrania sztandarów i wycofania się na wyższy szczyt, nad wieś Arłamów. Tymczasem zwiad poinformował, że od strony Birczy i Przemyśla zbliżają się duże, zmotoryzowane oddziały polskiego wojska. Na górze Burlaka powiedział:

– Inaczej wyobrażalem sobie to nasze podwójne święto. Nie dano nam świętować w spokoju, ale już my odpłacimy za to Polakom! Będzie zaraz kurdelabela! (to był jego własny, ulubiony zwrot) Pokażemy na co nas stać! Uczymy święto!

Następnie komendant wydał rozkaz, by zająć stanowiska. Sotnia Hromenki miała zająć pozycje koło Arłamowa. Kryłacz od strony Wojtkowej, sotnie Łastiwki i Burlaki od Jamny Górnej, wszystkie bojówki zaś przy granicy, aby odciąć drogę Polakom, gdyby chcieli uciec do „starszego brata”.

Z naszych pozycji widoczna była granica i wieś Kwaszenina.

Huk motorów narastał, wróg był coraz bliżej. Rosło napięcie. Każdy z nas zadawał sobie to samo pytanie: kto zdradził? Ta oblawa nie mogła być przypadkowa. Nieprzyjaciel zgromadził na nią zbyt wielkie siły, w dodatku zmotoryzowane.

Ze stanowisk Hromenki i Burlaki dostarczono nam meldunek, że obok sotni przeszły niewielkie oddziały wroga. Jednocześnie otrzymaliśmy rozkaz by atakować dopiero wtedy, gdy zbliżą się większe grupy nieprzyjaciela. Spojrzałem na zegarek, była 14.30. Nagle na stanowiskach sotni Hromenki zaterkotały karabiny maszynowe. Zbliżał się jakiś większy oddział Polaków, zdziesiątkowany wycofał się, by niebawem zaatakować z podwójną siłą. Byliśmy w lepszej sytuacji niż Polacy. Ukryci, mogliśmy celować w pojedynczych żołnierzy. Ale gdy strzelcy Hromenki już chcieli świętować zwycięstwo i co poniektórzy rzucili się po broń zabitych, znów zjawil się wróg. Tym razem z dziesięciokrotnie większą siłą. Z pomocą Hromence pospieszył Burlaka. Zaatakował nieprzyjaciela z boku i zapędził prosto na stanowiska Kryłacza i Łastiwki. Bolszewicy, gdy usłyszeli

huraganowy ogień, podeszli tyralierą do granicy i tu zalegli, czekając na rozwój wypadków. Nasze czujki powiadomiły o tym Borysa. W lesie rozpętało się istne piekło. Jazgotwały „maksymy” wroga, dudniły wybuchające miny, jak śnieg sypały się na nas liście, słychać było trzask łamiących się gałęzi i łomot padających drzew. Wśród tej niesamowitej kakafonii dźwięków rozległ się rozkaz: „Wpered!” Burlaka wyczuł odpowiedni moment i poderwał nas do ataku. Jego zimna krew i opanowanie świetnie podziały na strzelców. Ruszyli na wroga z okrzykiem: „Byj Lacha” Do walki przystąpiły również bojówki pod dowództwem Borysa. Utworzyły one półokrąg, a sotnie rozciągnęły się w linię i zaczęły zamykać koło. Wśród Polaków wybuchła panika. Część z nich w popłochu rzuciła się ku granicy, pozostali w stronę Arłamowa i Jamny Górnej. Nikt z nas nie zamierzał ich ścigać.

Dopiero gdy bój zaczął cichnąć okazało się, że już zmierzcha. Burlaka dał sygnał do apelu. Strzelcy zaczęli zbierać broń i amunicję poległych Polaków.

Nasza bojówka znajdowała się na najbardziej wysuniętym odcinku bitwy i aby dotrzeć do miejsca zbiórki, trzeba było przejść spory odcinek drogi. Gdy przemykaliśmy się przez drogę, posypał się na nas grad kul. Strzelcy natychmiast rozpięchli się i ukryli w krzakach otworzyli ogień.

Walka spłoszyła zwierzynę, przerażone jelenie, sarny i dziki zniecka wyskakiwały na ścieżki. Na takiego spłoszonego dzika natknął się strzelec Sarna. Zwierzę biegnąc na oślep zważyło go z nóg. Na szczęście nic mu się nie stało.

Na górze Kanasik kureń stanął na odpoczynek. Podliczono straty, było dwóch zabitych, dwóch ciężko rannych i pięciu lekko rannych. Po pogrzebaniu poległych opatrzone rannych i wszyscy udali się na odpoczynek. O świcie ruszyliśmy dalej. Dzięki utrzymującej się mgłę byliśmy zupełnie niewidoczni. Obóz rozłożono nad wsiami Koniusza i Bryńce. Wyczerpani, marzyliśmy, by choć chwilę pospać. Ponieważ

nie wolno było rozpalić ogniska, każdy przykrył się czym mógł i tulił się do towarzyszy, by trochę się ogrzać. Ale nie dane nam było odpocząć. Gdy tylko uniosła się mgła w górze zawarczały samoloty, dwa radzieckie „kukuźniki”. Strzelano z nich zawzięcie, choć pociski rozrywały się na konarach wysokich drzew, nie czyniąc nam żadnej szkody. Dopiero potem okazało się, że lotnicy ostrzeliwali swoich, biorąc ich za powstańców. W lesie pozostało sporo niedobitków nieprzyjaciela, toteż gdy rano usłyszeli swoje maszyny, zaczęli wychodzić na polany. Niedługo potem do warkotu samolotów dołączył huk motorów. Nasze czujki dały znać, że Polacy na czołgach i ciężarowych autach zbliżają się do Bryńce. Siedzieliśmy cicho na naszej górze, przysłuchując się strzelaninie, która przez cały dzień niosła się po lesie. Wojna w lesie skończyła się o zmroku. Polacy zabrali zabitych, tych którzy polegli w walce z nami i tych których sami zabili, i odjechali. W nocy ze wsi wrócił nasz patrol i oznajmił, że w okolicy panuje spokój. Komandyr Burlaka rozkazał, by strzelcy stanęli w Koniuszy i Berendowicach. Nasi chłopcy czekali już z wieczną. Pytali o przebieg walki i dzielili się z nami swoimi spostrzeżeniami. Obliczyli, że w samej Jamnej Górnej było od 80–100 zabitych Polaków, a rannych co najmniej dwa razy tyle.

Po tej bitwie politywychownik Jewhen ułożył, bardzo później popularną, piosenkę o Burlace:

*Ne straszna nam ataka,  
Jak z namy Burlaka.  
Czy na bunkry, czy na szanci,  
My u boju, jak u tanci. Za twojeju hołowoju  
Zawždy wyjdem cili z boju.*

Burlaka był dobrym dowódcą i taktykiem, ale w walce czasem wiele zależy od szczęścia. Grudzień nie był dla nas szczęśliwy. Nasza bojówka pod dowództwem Borysa obchodziła teren i sprawdzała dopiero co zorganizowaną cywilną siatkę. We wsi Trzcianiec spotkałiśmy Burlakę. Kwaterował tam razem z czołg Wańki i Żurawla z sot-

ni Łastiwki. Burląka postanowił przenieść się do przysiółka Borsukowic, koło Zawadki. Chciał by nasz oddział poszedł z nimi. Borys akurat miał jakąś sprawę w Zawadce, więc chętnie przystał na propozycję komendanta. Na miejsce przyszliśmy o północy. Wieśniacy ugościli nas mlekiem i chlebem, choć widać było, że się im nie przelewa. Zanim poszliśmy spać, Burląka wystawił czujki i nakazał stać na warcie w chłopskich huńkach, by nie zwracać niczyjej uwagi.

Pamiętam jak dzisiaj. Stałem na warcie w szopie i podziwiałem urok tej osady. Z jednej strony wcisnęła się w grzbiet góry Chwaniowej. Obok, na wzgórzach rozrzucone, stały chaty, a dalej z prawej strony aż do Trzcianca hen, hen ciągnął się las. W oddali widać było Zawadkę, a za nią Ropienkę. Na lewo z łysej góry spływał strumień. Z rozmachem uderzał w skały i pokręciwszy się trochę biegł obok chat, potem chował się w gęstych zaroślach, aby znów wypłynąć gdzieś w dolinie, koło drogi, akurat tam, gdzie rzekę przecina most. Hen, daleko, za szosą z Birczy do Sanoka białe domy Tyrawy Wołoskiej, a za nimi widać było kościół w Stańkowej. Zapowiadał się piękny dzień. Z kominów prosto ku niebu unosił się dym. Było cicho, tylko gdzieś w oddali poszcze kiwały psy. Pomyślałem, że gdyby w tym pięknym zakątku zaskoczył nas wróg, nie byłoby gdzie uciekać.

Przyszedł mój zmiennik. Wróciłem do izby i zameldowałem komendantowi, że wszędzie panuje spokój. Potem poszedłem do stajni, by nakarmić konia. Bolała mnie noga i Borys kazał mi na nim jeździć. W powietrzu unosił się przyjemny zapach, gospodynie szykowały dla nas obiad. Lecz nie dane nam było go zjeść. Przed samą dwunastą zagrał ckm wartowników, a po nim rozległo się kilka pojedynczych wystrzałów z karabinu. Natychmiast chwyciliśmy broń oraz ekwipunek i wybiegliśmy na dwór. Jednocześnie z lasu i od strony Ropienki posypały się na nas pociski.

— Na stanowiska! — echo poniosło wśród skał głos Burląki. — Do potoku!

Choć wróg nie załował amunicji, szczęśliwie udało się nam przemknąć chyłkiem przez wolną przestrzeń i zająć ogniowe stanowiska. Niektórzy ukryli się w krzakach, inni w wodzie. Za plecami mieliśmy stromą skałę, która mogłaby stanowić ochronę, gdyby nie to, że wróg ustawił na niej ckm-y, które teraz ziały na nas ogniem. Skierowaliśmy naszą broń w ich kierunku. Ale to na nic się zdało. Byliśmy otoczeni! To już koniec! Darmo nie oddam swego życia — pomyślałem. Wycełowałem broń i kilka razy razilem celnie wroga. Ale potem jak jesienne liście posypały się na mnie kule. Obok mnie, dobrze wyszkolony, leżał mój koń. Z niepokojem strzygł uszami i prychał. Dopadł go pocisk wroga. Biedaczyna zerwał się jeszcze, a potem zwałił w poprzek potoku. Jego trup zatrzymał przepływ wody, która zaczęła mnie zalewać. Ostrożnie odwróciłem głowę. Nie opodal leżał martwy cekaemista, trochę dalej padł amunicyjny i jeszcze jeden strzelec. Krzyknąłem do nich, lecz nie odpowiadali. Nagle w jazgot broni wdarł się głośny krzyk, to Burląka i Wańka usiłowali przedrzeć się do szosy i na most. Wróg poderwał się ze swych stanowisk i ruszył w kierunku szosy, tylko ckm, za naszymi plecami na skale, tkwił nieporuszony. Ktoś krzyknął: „Łączność! Łączność!” Poznałem głos rojowego Dowbusza. „Tu wszyscy zabici”. „Krzyczcie! Może ktoś się odezwie!” Leżałem bez ruchu. Nagle! Boże, jaka ulga! Cekaemiści na skale opuścili swe pozycje. Nie widzieli nas — całą uwagę koncentrując na szosie i moście.

Dopiero teraz, gdy minęło bezpośrednie zagrożenie, poczułem, że zamierzam w lodowatej wodzie. Dowbusz podczołgał się w moim kierunku i przez lornetkę obserwował teren. Na skale nie było już nikogo, ale w lesie pozostało jeszcze dużo Polaków. Leżeliśmy w bezruchu. Krzyk i strzelanina powoli zaczęły cichnąć. Dopiero o zmierzchu Polacy zaczęli wychodzić z lasu i kierować się w stronę Ropienki. Gdy zrobiło się ciemno podliczyliśmy poniesione straty. Było dziesięciu zabitych, pięciu lekko i pięciu ciężko rannych. Nie mieliśmy sani-

tariusza, więc czotowy tylko przewiązał rany i ruszyliśmy w las, niosąc na karabinach zabitych i rannych. W drodze jeden z rannych zmarł. Stanęliśmy aż w Jurkowej, omijając Trzcianiec, w którym mogli być Polacy. We wsi czekali już gospodarze z końmi, powiadomieni przez nasze czujki. Mieli zawieźć rannych do punktu sanitarnego. Zabitych pochowano w Jurkowej. Chłopi dowiedzieli się o pogrzebie i przyszli na cmentarz. Byliśmy nieprawdopodobnie zmęczeni, mokrzy i głodni, ale we wsi nie można było dłużej zostać. Czujki dały znać, że zbliża się oddział polskiego wojska. Odeszliśmy w lasy Suchego Obiczu. Tam nasza grupka nawiązywała łączność z sotennym Łastiwką, który wrócił właśnie z propagandowego rajdu po polskich wsiach za Sanem.

I znów pojawiło się pytanie, kto naprowadził na nasz ślad Polaków?

Kilka tygodni później zginął prowidnyk Borys. Stało się to na samą Jordań 1947 roku, akurat w rok po śmierci Zatoki. Zelżał mróz i Borys poszedł odwiedzić rodzinę. Bardzo kochał swoich bliskich, gdy czasem opowiadał nam o nich, jego twarz nabierała dziwnej subtelności. Cieszył się na te odwiedziny.

Rano, 18 stycznia wesoło zwrócił się do swego młodszego brata:

— Michaś, zbieraj się! Idziemy do domu! — Potem rozejrzał się dokoła — Jawir! Czaban! Idziecie z nami! — Ucieszyłem się bardzo, ale zaraz podszedł do mnie Orel i zaczął mnie prosić, bym się z nim zamienił, bo chciałby odwiedzić kuzyna, sanitariusza Orlenkę w sotni Hromenki. Przystąpiłem na to. Zacząłem więc udawać przed Borysem, że źle się czuję, boli mnie żołądek i wołałbym, aby zamiast mnie poszedł Orel. Prowidnyk spojrział na mnie spod oka.

— Sam wiem, kogo wziąć ze sobą! Nie kłam! Zdrowy jesteś jak koń!

Cóż, wyznałem prawdę. Borys uśmiechnął się i wziął ze sobą Orła.

Po drodze do Wołodzia zaszli do Hroszówki, gdzie kwaterowała sotnia Hromenki. Sotenny pozwolił trzem swoim strzelcom pójść razem z Borysem, by odwiedzić rodzinny Wołodź. W nocy szczęśliwie dotarli do wsi. Jawir uprosił Borysa, by pozwolił mu pójść do Jawornika. Następnego dnia miał się spotkać z prowidnykiem w Woli Wołodzkiej. Rano miejscowe czujki zaalarmowały Borysa, że od strony Jabłonicy zbliża się polskie wojsko. Nasi chłopcy pobiegli do przysiółka Wszeńki, aby stąd przedostać się do Wołodzkiego Lasu. Lecz zewsząd już nadchodzili Polacy. Jedyne co mogli zrobić to przedrzeć się skrajem wsi, przez pole, do Poręb. Zdążyli dobiec do starego bolszewickiego bunkra nad Sanem, zajęli stanowiska i otworzyli ogień. Polacy bez trudu pokonali kilku powstańców. Zginęli wszyscy. Gdy w bunkrze umilkły już strzały, wróg z dzikim wrzaskiem wpadł do środka i bagnetami dobił powstańców. Te szczegóły opowiedzieli nam później chłopci, którzy mieszkali niedaleko bunkra. Obławę prowadził Michalski, człowiek o czarnej reputacji, wraz ze swym „batalionem śmierci”.

Podjeżenia Borysa w stosunku do Wyszyńskiego okazały się słuszne. Ale to wyszło na jaw dopiero po śmierci prowidnyka. Kilku naszych chłopaków szło razem z Wyszyńskim z Paszowej do Rakowej. Nagle zabrzmiał, wypowiedziany po polsku, rozkaz: „Ręce do góry”. Strzelcy rzucili się do ucieczki, a Wyszyński pozostał z uniesionymi rękoma. Niedługo potem zaczął włóczyć się po wsiach razem z Michalskim. Zdradzał Polakom chłopów, którzy nam pomagali, pokazywał nasze magazyny...

W pierwszej połowie lata 1951 roku, większość czasu spędzałem u Hawrylaków. Często zostawałem także na dzień, pracując w komorze, tajni lub domu. Kiedyś już rano postanowiłem wrócić do bunkra i niewiele brakowało, a wpadłbym w ręce milicji. Na szczęście zdążyłem się schować za mały, gęsty krzak. Ta przygoda była dla mnie do-

brą nauczka. Niedługo potem Hawrylaków zaczęli odwiedzać milicjanci — Jabłecki i Winiarczyk. Raz zaszli „po drodze” do sąsiada Hawrylaka, Klebana. Postali na podwórzu, pogadali z gospodarzem i poszli. Innym razem przyszli do Milci „po nasiona i sadzonki”. Zacząłem się obawiać, że coś podejrzewają.

Gdy któreś nocy gościli u Klebana, podstuchiałem pod oknem ich rozmowę. Jednak nic nie wskazywało na to, że żywią jakieś podejrzenia. Usłyszałem jedynie epitety „cham”, „chamski język”, odnoszące się do starego Hawrylaka, który z wszystkimi rozmawiał wyłącznie po ukraińsku. Na wszelki wypadek przestałem zostawać na dzień i o świcie, razem z Krukiem, wracałem do bunkra.

Całe lato zbieraliśmy grzyby, którymi jak co roku obdarowywaliśmy Feniów i Hawrylaków. Lato było ładne, ciepłe i rzadko padał deszcz. Jesień przyszła jeszcze ładniejsza. Ciepło utrzymywało się do końca grudnia. Ale potem nagle nastały silne mrozy i trzymały już całą zimę. Mała ilość śniegu gwarantowała nam swobodę ruchu, mogliśmy więc bez przeszkód odwiedzać przyjaciół.

## VI

W styczniu 1952 roku, tuż przed Bożym Narodzeniem, uległem przykreemu wypadkowi. Przygotowywałem drewno na opał dla Milci. Nie opodał domu ściałem kilka grabów i zabrałem się za rąbanie. Niestety, drzewo było twarde i oblodzone. W pewnym momencie siekiera ześlizgnęła się z pnia i spadając niemalże ucięła mi lewy kciuk. Buchnęła krew. Byłem przerażony — potrzebny będzie lekarz, a jak ja, człowiek ścigany przez prawo, miałem pójść do niego?

Byle jak podwiązałem ten palec, przytrzymując go sznurkiem przy dłoni, a ranę owinąłem jakąś szmatą i mocno ścisnąłem rękę powyżej łokcia. Mimo to szmata od razu zrobiła się czerwona. Rana nadal krwawiła. Milcia obłożyła ją chlebem, przewiązała czystą ściereczką i kazała mi włożyć łokieć w naczynie z zimną wodą, a sama szybko pobiegła do Feniów. Józek poszedł po Kruka. Miałem wrażenie, że minęła wieczność, zanim wreszcie wszyscy się zeszli. Zaczęto radzić, co ze mną począć. Hawrylakowie przypomnieli sobie, że w Siedliskach jest felczer, ale mieszka naprzeciw milicji. To ci dopiero, niezły sąsiad! Nie było jednak innego wyjścia. Jakoś dotrwałem do nocy i razem z Krukiem wyruszyłem do Siedlisk. Mój przyjaciel ścisnął w ręce pepeszę, ja zaś w kieszeni granaty i pistolet. Pogoda była kiepska. Szliśmy po twardym, ubitym śniegu, a mroźny wiatr wyciskał nam z oczu łzy. Po przeszło godzinie dotarliśmy do Siedlisk. Wieś spała. Cicho podkradłem się pod dom felczera. Ze strachu i z zimna trzęsło mną jak w febrze.

— Nagły wypadek! — Potrzebny jest lekarz! — powiedziałem i delikatnie zastukałem do okna.

W mieszkaniu zapaliło się światło, ktoś otworzył drzwi.



Kruk szybko ukrył się za domem. W pokoju na kanapie spał jakiś mężczyzna. Człowiek, który mnie wpuścił, na widok mojej oblepionej czerwonym lodem ręki, natychmiast zaczął tarmosić śpiącego.

— Doktorze, proszę się obudzić. Ma pan pacjenta. — Felczer uniósł się ze złością. Narzekając na zimno, wyciągnął kurtkę i zaczął mnie badać. Opowiedziałem mu co się stało, a gdy zapytał skąd przyszedłem, odrzekłem, że z Żohatyna.

— Może odesłać pana do szpitala? — Pomiąłem milczeniem to jego pytanie. Wówczas wstał i kazał mi pójść z nim do gabinetu, który mieścił się w tym samym budynku co i milicja. Powiedział, że mam być cicho, bo w dyżurce śpią milicjanci. Dzięki Bogu, że dba o ich sen — pomyślałem.

Weszliśmy do gabinetu. Tu felczer obejrzał moją rękę, a potem przewiązał gumą powyżej łokcia, ranę dezynfekował i zabandażował. Zrobił mi też zastrzyk, by nie wywiązało się zakażenie. Pomyślałem, że już będzie dobrze, lecz gdy rozwiązał gumę, krew buchnęła z nową siłą. Bandaż momentalnie przesiąkł krwią. Zapytałem go, dlaczego nie zszył mi rany. Odparł, że nie ma czym, ale spróbuje założyć klamry. Efekt był natychmiastowy. Krwotok ustał. Gdy wręczyłem mu 100 zł, wybałuszył oczy i stwierdził, że nie ma wydać reszty, ale chętnie dałby mi bandaży i waty. Teraz akurat nie ma, lecz jeśli przyjdę po nie za jakieś dwa dni, to przy okazji zrobi mi nowy opatrunek. Lekarz wręczył mi swoją wizytówkę. Nazywał się Antoni Rakszewski.

Po upływie dwóch dni, razem z Krukiem znów poszliśmy do Siedlisk. Stefana zostawiłem koło domu Chłopeckich i nakazałem mu uciekać, gdyby usłyszał strzały. W razie czego i tak nie mógłby mi pomóc. Obok domu Cichockich, u których mieszkał felczer, spotkałem Marię Cichowską. Kobieta, gdy tylko zobaczyła moją zabandażowaną rękę, od razu zapytała:

— Pan do doktora Rakszewskiego? Pan doktor jest w spółdzielni, popija piwo z kolegami. Zaraz go zawołam.

Szybko ruszyła przed siebie, lecz nie zatrzymała się przy sklepie, a pobiegła dalej. Pewnie po swego brata, komendanta ORMO. By nie wzbudzić niczyich podejrzeń, wolno ruszyłem w przeciwną stronę. Szedłem coraz szybciej, aż w końcu zacząłem biec, w kierunku przysiółka Gdyczyna. Kruk dostrzegł mój manewr. Dopędził mnie już za wsią. Byliśmy niedaleko PGR-u, gdy w Siedliskach wywiązała się strzelanina. Ale my czuliśmy się już bezpiecznie.

Znów, na szczęście, wszystko dobrze się skończyło. A pomyśleć, że mogliśmy stracić życie przez swoją głupotę. Powinniśmy byli wiedzieć, że na wsi nowiny rozchodzą się lotem błyskawicy.

W okolicy znów zaczęto szeptać o AK.

Całą wiosnę przesiedzieliśmy w bunkrze, bo z tak jednoznacznym dowodem, jak moja ręką, nie można było pokazać się wśród ludzi. Gdy rana zagoiła się uznaliśmy, że pora odwiedzić Anielkę. Ostatni raz widzieliśmy ją w zeszłym roku.

W drodze do Iskani dostałem silnego bólu żołądka. Dokuczał mi on już od dłuższego czasu, ale takich męczarni jeszcze nie przeżyłem. Leżałem na ziemi i skręcałem się z bólu. „Nie — pomyślałem sobie — dłużej nie wytrzymam. Strzelę sobie w łeb, bo i tak nie mam żadnych szans wyleczenia. Przynajmniej Krukowi będzie lżej”. Stał tak nade mną z bezradnie opuszczonymi rękoma. Chciałem natychmiast wykonać mój zamiar, kazałem więc Stefanowi podejść do drogi i obserwować co tam się dzieje. Wmówiłem mu, że słyszę jakieś głosy. Gdy Kruk oddalił się na kilka kroków, wyjąłem pistolet. Zanim odbezpieczyłem broń, uczyniłem znak krzyża. W tym momencie Stefan obejrzał się i zobaczył co się dzieje. Natychmiast znalazł się przy mnie i wyrwał mi pistolet.

— Co robisz, ty idioto! Zwariowałeś! Ostatni tchórz tak potrafi. To nie sztuka żyć, gdy wszystko się układa! Trzeba umieć przetrwać najtrudniejsze chwile! W Boga przestałeś wierzyć?

Długo mnie molestował, a potem rozpałił małe ognisko, abym mógł ogrzać się przy nim i odpocząć. Po kilku godzinach poczułem ulgę.

O północy przybyliśmy do Iskani. Michał Król kazał nam ukryć się w piwnicy i poczekać do rana. W dzień przyszła do nas Anielka z Marią. Opowiedziałem kobietom o moich żołądkowych dolegliwościach, tłumaczyłem czemu tak długo nie zaglądaliśmy do nich. Kruk, zdrajca, powiedział, co chciałem zrobić ubiegłej nocy. Anielka i Maria bardzo mi współczuły, starały się mnie pocieszyć, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Obie były czemuś smutne, zadumane, inne niż zawsze. Nie wytrzymałem i spytałem o co chodzi. Kobiety, jedna przez drugą, zaczęły nas zapewniać, że nic się nie stało, że nadal są nam życzliwe. Ale tak słowo do słowa i wyszło sztydło z worka. Powiedziały wreszcie, że byłoby dla nas i dla nich lepiej gdybyśmy przestali bywać we wsi. Chętnie będą spotykać się z nami od czasu do czasu, ale nie koło domu, lecz w lesie. Hele powoli dorosną, w domu pojawiły się kawalerowie i nasze odwiedziny stają się coraz bardziej ryzykowne. Przepraszały nas i prosiły o zrozumienie. Boże, jakże moglibyśmy mieć pretensje do tych wspaniałych kobiet, które tyle nam pomogły. Bez nich już dawno byśmy zginęli. To one nas karmiły i podtrzymywały na duchu. Każdy z nas po kolei zapewniał, że nie mamy żalu, że nigdy ich nie zapomnimy i będziemy wdzięczni do końca życia. Prosiłem też, by przekazały pozdrowienia pani Kosińskiej, po czym ucałowaliśmy je serdecznie i wróciliśmy do lasu. Od tej pory w ogóle nie zaglądaliśmy do mej rodzinnej Iskani.

Kilka miesięcy mój żołądek zachowywał się grzecznie, ale potem strasznym bólem przypomniał o swym istnieniu.

Pewnego jesiennego dnia Milcia do obiadu podała grzyby w occie. Bałem się je jeść i wziąłem tylko kilka ziemniaków okraszonych tłuszczem. Atak żołądka był znacznie silniejszy, niż w drodze do Iskani. Wciągnięto mnie na strych i położono na sianie. Zwijałem się z bólu i wymiotowałem. Ten dojmujący ból tamował mi oddech w piersiach. Hawrylakowie byli przerażeni. Milcia szybko pobiegła do Feniów, a oni poszli po Kruka. Jęczałem tak głośno, że trzeba było zatykać mi usta aby, broń Boże, ktoś mnie nie usłyszał. Józek i Stefan cały czas robili mi sztuczne oddychanie i dopiero po upływie trzech godzin poczułem ulgę.

Nie było wyjścia, musiałem pójść do lekarza. Tak przynajmniej zdecydowali moi przyjaciele. Ja sam bałem się nawet myśleć o tym. Zacząłem się buntować. Po mojej wizycie u felczera ludzie wiedzą, że po okolicy kręci się jakiś podejrzany typ. Nie! Nie pójdę! Lepiej umrzeć tu z bólu, niż zginąć z rąk Polaków. Przekonywano mnie tak długo, że wreszcie musiałem pójść na kompromis. Zgodziłem się na lekarza, ale dopiero zimą, gdy po wsiach kręci się mniej ludzi.

Do stycznia 1953 roku żyłem tylko o zupie. Bałem się jeść. Ta „dieta” zupełnie pozbawiła mnie sił, schudłem bardzo, a ponieważ rzadko wychodziłem z bunkra, stałem się przezroczyście błądy. W międzyczasie Fenie zorientowali się, kto mógłby mi udzielić pomocy. Uznali, że najlepszy byłby doktor Zaremba z Dynowa. W okolicy miał opinię dobrego lekarza, a co najważniejsze, nie był komunistą, nie należał też do ZOZ-u. Pacjentów przyjmował prywatnie.

Któregoś mroźnego, styczniowego dnia wybraliśmy się do Dynowa. Starzy Fenie i Józek podjechali saniami i odebrali mnie w polu. Kruk również chciał jechać z nami, ale kategorycznie sprzeciwiłem się temu. Do miasta dotarliśmy bez przeszkód. Umówiliśmy się za trzy godziny, na rynku koło apteki i zostałem sam.

W poczekalni siedziało 5 osób. Obrzucono mnie ciekawskimi spojrzzeniami. Nic dziwnego, z kilkudniowym zarostem, za którym stara-

łem się ukryć bladość cery, w połatanej kurtce Hawrylaka wyglądałem fatalnie. W kieszeniach nerwowo ścisnąłem 2 granaty i pistolet.

Nie czekałem długo. Gdy wszedłem do gabinetu, lekarz zamknął drzwi na klucz. Był to bardzo sympatyczny, starszy, szpakowaty pan o łagodnym uśmiechu. Zapytał, co mi dolega. Opowiedziałem mu o żołądku. Kazał mi się rozebrać i położyć na tapczanie. Struchlałem! Rozebrać się! A co zrobię z granatami i pistoletem! Ale gdy się rozbierałem lekarz nawet nie spojrzał w moją stronę. Ostrożnie złożyłem rzeczy na podłodze.

Doktor stwierdził, że mam ostry katar i nerwicę żołądka. Bardzo zaniedbałem swoje zdrowie, więc jeżeli nie pomogą leki, dostanę skierowanie do szpitala. Wypisał mi receptę i zapytał jak się nazywam. „Jan Zając z Brzeżawy” – odpowiedziałem. Zostawiłem mu 50 złotych, choć brał tylko 35 i wyszedłem z gabinetu. Ponieważ do spotkania z Feniami było jeszcze dużo czasu, postanowiłem posiedzieć w poczekalni, aby w mieście nie przyciągać niczyjej uwagi. Usiadłem w kącie i w napięciu patrzyłem na zegar. Czas dłużył się w nieskończoność. Ludzie wchodzili i wychodzili z poczekalni. Nikt mi się specjalnie nie przyglądał. Ale w pewnym momencie do pomieszczenia wszedł potężnie zbudowany, dobrze ubrany jegomość. Spojrzałem na jego bryczesy, oficerki, na kurtkę z futrzanym kołnierzem i poczułem jak przejmuję mnie strach. Tak zazwyczaj ubierają się ubecy.

Człowiek usiadł obok mnie i zaczął przyglądać się ludziom. Jego wzrok zatrzymał się na mnie. Zdrętwiałem z przerażenia i już zacząłem obmyślać strategię obrony, gdy ten grzecznie zagadnął:

– A pan z czym do lekarza?

Boże! Co mu powiedzieć? Zacząłem opowiadać o swojej chorobie, o tym, że pewnie będę musiał jechać do Przemysła, do szpitala na operację... Głowa puchła mi od natłoku myśli, czego do diabła, on

ode mnie chce, znalazł sobie rozmówcę, może w ogóle nie jest pacjentem.

– Dam panu dobrą radę – powiedział w końcu. – Jak nie masz pan własnego miodu, to może ktoś z sąsiadów. Musisz go pan gdzieś zdobyć, ale czysty, prosto z pasieki. Trzeba jeść trzy razy dziennie po stołowej łyżce. Zobaczysz pan, że pomoże.

Ledwie zdążyłem mu podziękować, gdy z gabinetu wychylił się lekarz i serdecznie przywitał się z mężczyzną.

– Serwus! Jak się masz?

Zawołał go do siebie. A ja szybko wybiegłem na ulicę. W aptece bez przeszkód kupiłem leki. Do dwunastej zostało sporo czasu, więc, nie namyślając się wiele, wbitem głowę w kołnierz kurtki i pomaszrowałem „do domu”. Już za miastem usłyszałem sanie. Obejrzałem się i poznałem konie Fenia. Ale gdy pojazd zrównał się ze mną, zauważyłem, że z tyłu siedzi jakiś obcy człowiek. Józek zwolnił.

– Gospodarzu, może podwieziecie? – spytałem.

– A daleko?

– Do Lipy!

– Siadaj pan. Mamy tu już jednego pasażera, do Siedlisk. Ale miejsca wystarczy i dla pana.

Podróż do lekarza zakończyła się szczęśliwie. Jeżeli nie leki, to miód postawił mnie na nogi. Fenie mieli pasiekę i przez cały rok karmili mnie miodem. Zjadłem chyba z dwanaście litrów.

Rok 1953 minął pod znakiem leczenia. Na początku jakiś czas starałem się utrzymywać dietę, a potem zacząłem już jeść normalnie. Nareszcie trochę przytyłem. Paweł z Ameryki, na adres Fenia, przysyłał paczki, dzięki którym mogłem odpłacić tym dobrym ludziom za miód. Przez cały rok Antoszek przekazywał nam pieniądze „na drobne wydatki”.

## VII

Zimę 1953/54 zmuszeni byliśmy spędzić w bunkrze. W naszym „leśnym królestwie” zjawili się robotnicy, którzy przygotowywali materiały budowlane oraz drewno do fabryk papieru. Pracowali przez cały dzień i dopiero wieczorem wracali do wsi. Niektórzy czasem zostawali na noc, by „zorganizować” trochę drewna na własne potrzeby. Trzeba było bardzo uważać, by przypadkiem nie natknąć się na nich. Jedynie w niedzielę, gdy nie pracowali, mogliśmy odwiedzać znajomych. Ale i wówczas zmuszeni byliśmy zachować ostrożność. Ludzie, po prostu, przestali bać się lasu, czuli się tu bezpiecznie. Cóż, zniknęła obawa przed „ukraińskimi bandami”. Została tylko legenda.

Nasza kryjówka okazała się świetnym schronieniem. W ciągu pięciu lat zupełnie zarosła jodłami i świerkami i nikt by się nie domyślił, że znajduje się tu bunkier. Kruk wybrał doskonale miejsce. Żyliśmy w tej norze tak z dnia na dzień, bez przyszłości, bez żadnych perspektyw. Dziękowaliśmy Bogu za każdy przeżyty dzień, za to, że nie pokreślił nas reumatyzm, nie oślepliśmy i każdy na swój sposób pogodził się z losem, a nawet wydawało się, że tak musi być, przynajmniej jakiś czas. Ale jak długo jeszcze? Z jednej strony czas biegł bardzo powoli, a z drugiej strony bardzo szybko. Tygodnie składały się w miesiące, miesiące tworzyły lata i tak uzbierało się już siedem długich lat...

Po śmierci Borysa, na jego miejsce Potap wyznaczył Czornoho-Okularnika. Nasza bojówka zmuszona była stale zmieniać miejsce pobytu, bo z sotni Łastiwki zdezerterował były komendant bojówki SB Orel, który znał naszą kryjówkę w Jamnej.

Orel zdjęto z funkcji komendanta i przeniesiono do Łastiwki za rabunek we wsiach. W sotni również coś nabroiło i stąd wysłano go w okolice Jarosławia, a tam, każdy to wiedział, wysyłano za karę! Pewnego razu Orel odłączył się od oddziału i naprowadził na nasz ślad Polaków. Łastiwka nakazał nam przeczekać oblawę w lasach Turnicy. Tymczasem wróg stanął we wszystkich okolicznych wsiach, blokując las. Pogoda też jakby się uwzięła. Ścisnął mróz, a śnieg zamienił się w lód. Prowizoryczne ziemianki nie chroniły nas przed zimnem. W dodatku szybko wyczerpały się zapasy żywności i został tylko pęczak, z którego gotowaliśmy rzadką zupę. Wytrwaliśmy tak do połowy lutego, a potem nie pozostało nam nic innego jak tylko przebić się do wsi. Łastiwka wysłał czotę do Jamny Górnej na zwiad.

Przedostaliśmy się okrężną drogą i już prawie byliśmy w osadzie, gdy zatrzymał nas okrzyk – „Stij! Kłyčka!”<sup>28</sup>. Żadnych naszych oddziałów w pobliżu nie było, więc bez zastanowienia otworzyliśmy ogień. Oczywiście, Polacy urządzili zasadzkę, ale udało się nam jej uniknąć. W opustoszałej Borysławce, bez jedzenia, przetrwaliśmy kilka dni. Niestety, głód zmusił nas do powrotu do Jamnej. Postanowiono, że Chrusczyk, Jawir, Łys i ja pójdziemy rozejrzeć się w sytuacji.

Podkradliśmy się do stojącej na uboczu chaty. Po jakimś czasie na podwórzu zjawił się gospodarz.

– Wujku! – zawołał go Łys (on każdego chłopca nazywał wujkiem). „Wujek” obdarował nas jedzeniem, dał kilka bochenków chleba, trochę ziemniaków, bobu i powiedział jak przedstawia się sytuacja. Polacy odeszli rano, lecz mogą jeszcze wrócić. Jeżeli nie, to on jutro powiesi na wrotach białe płótno.

Wróciliśmy z jedzeniem do sotni, ale jak obdzielić tym tylu ludzi. Łastiwka kazał wrzucić wszystko do kotła i ugotować zupę.

28. Stać Haalo!

Następnej nocy sotnia zeszła do wsi. Płótno wisiało w umówionym miejscu i nareszcie po dwóch tygodniach poniewierki można było zakwaterować w domach. Nasz wygląd wzbudzał litość. Byliśmy brudni i oparzeni płomieniami ognisk, przy których grzaliśmy się, by nie zamarznąć.

Mróz, który tak nam dokuczył, również niemiłosierny okazał się być dla Polaków. Wśród nich było wiele przypadków odmrożeń. Gdy przekonali się, że ani głodem, ani chłodem nie wykurzą nas z lasu, przerwali blokadę. Teraz uciekli się do podstępów. Zaczęto podsyłać nam różnych prowokatorów, którzy udając uciekinierów z polskiej i radzieckiej armii, starali się wprowadzić zamęt w naszych szeregach. Ale i z nimi dawaliśmy sobie jakoś radę.

Pierwsze znaki wiosny zastały nas w Grąziowej, gdzie sotnia Łas-tiwki kwaterowała razem z sotnią Burlaki i Kryłacza. Któregoś dnia Burlaka stwierdził, że dość już nadokuczaliśmy wciąż tym samym ludzom i najwyższy czas, by zmienić kwatery. Sotnie przeszły do Jurkowej. Tymczasem zwiadowcy przynieśli informację, że w Grąziowej szaleją Polacy, jest z nimi też Orzeł. Nasze oddziały od razu opuściły Jurkowę. Przechodząc do lasu Simki, zaminowały za sobą drogę i zajęły obronne pozycje. Mijały godziny. Już byliśmy pewni, że wróg zgubił nasz ślad, gdy nagle wybuchła mina. Dowództwo natychmiast zarządziło ostre pogotowie, chociaż alarm mógł okazać się fałszywy. Na minę mogło wejść jakieś zwierzę. Ale za moment przybiegły nasze czujki z wiadomością, że Polacy poruszają się naszym śladem i mina rozerwała jakiegoś „Antka”. W chwilę później na lewym skrzydle, przy stanowiskach Kryłacza, zerwał się huraganowy ogień. Nieprzyjaciel zaatakował tam, gdzie najmniej można się było spodziewać. Zaskoczeni strzelcy zaczęli już szykować się do odwrotu, gdy Kryłacz brawurowym okrzykiem „Wpered” poderwał ich do kontrataku. Polacy nie byli przygotowani na tak błyskawiczną kontrę i wycofali się. Za chwilę jednak znów ruszyli, tym razem próbując

szczęścia z drugiej strony. Czotowy Wańka przez chwilę obserwował sytuację, a później porozumiał się z Burlaką, by pozwolić nieprzyjaciołom podejść jak najbliżej jego stanowisk. Wróg całą uwagę koncentrował na sotni Kryłacza, nie wiedząc, że jest nas więcej. Wańka, aby przywabić jak najbliżej siebie polskich żołnierzy, zaczął strzelać z dubeltówki (zawsze nosił ją przy sobie, bo lubił polować). Jakiś odważny „Antek” podszedł bliżej i upadł zaraz, rażony strzałem z myśliwskiej strzelby.

– Hej! – krzyknął któryś z polskich oficerów – oni nie mają amunicji, strzelają z dubeltówki. Naprzód, do ataku!

Czotowyj tylko na to czekał. Gdy wróg poderwał się do ataku odezwała się jego pepesza i karabiny strzelców. Na śniegu zostało 40 ciał. Reszta uciekła. Nasi sanitariusze opatrzyli rannych nieprzyjaciół, strzelcy zebrali broń zabitych, wzięliśmy ciała naszych poległych i wróciliśmy do Jurkowej. Sotnie przeszły na kwatery do Makowej, a nasza bojówka do Grąziowej, gdzie komendant Czornyj sporządził sprawozdanie z przebiegu bitwy. W nocy Polacy napadli na Makowę. Burlaka nie chciał podejmować we wsi walki i czmychnął do lasu. Koło Posady Rybotyckiej sotnia natknęła się na polską zasadzkę. Wywiązała się krótka walka, w której zginął rojowy Step i dwóch strzelców. Resztę nocy oddział Burlaki spędził w Berendowicach, a o świcie wycofał się do lasu, niedaleko wsi Koniusza. Wańka postanowił pozostać we wsi. Nad samym ranem Berendowice zaatakowali Polacy. Dwie krótkie serie z automatu odebrały Wańce życie. Wróg zabrał jego ciało i nigdy nie dowiedzieliśmy się gdzie go pochowano.

Przed Wielkanocą nasz oddział rozłożył obóz w lesie Simki. Dowództwo przejął łankowyj Hordyj, bo Neczaj już od dłuższego czasu chorował i leżał w szpitalu. Tym razem byliśmy sami, sotnie przebywały w terenie. Mieliśmy gości, prowidnyka Orłana z krajowego prowydu, okręgowego prowidnyka Hryhora, prowidnyka Starego-Pas-

ternaka, Puhacza, Tysa, Arkadija i jeszcze kilka osób. Odbywała się narada. A było nad czym radzić. Potap przywiózł sporo różnych gazet. Polacy zwracali się w nich do swego narodu, by podjął walkę z „upowskimi bandytami”. Przechwalali się sukcesami, odniesionymi w walce z UPA. Ich dane były niedorzecznie przesadzone. A może w swojej statystyce ujęli też naszych bezbronnych chłopów, którzy zostali zamordowani przez polskie bandy? Wśród ukraińskiej ludności wybuchła panika, zapowiedziano wysiedlenie na Ziemię Odzyskane.

W tym samym czasie, gdy trwała narada, moja bojówka otrzymała zadanie skontaktowania się ze stanicznymi we wsiach. Trzeba było dostarczyć im z magazynów produkty żywnościowe, aby gospodynie mogły przygotować nam coś na Święta. Gdy jednak ujrzeliśmy przynęzione i przerażone twarze naszych wieśniaków, nie starczało nam odwagi by prosić ich jeszcze o przyszykowanie świątecznego jedzenia. Lecz oni sami podjęli ten temat.

— Nie martwcie się, zrobimy wam porządne Święta. Miałby Lach skorzystać z naszych zapasów, to już lepiej wy zjedzcie. Kto wie co się zdarzy przez ten rok. Oj, wy nasze biedne sokoły, cóż wy poczniecie, gdy nas stąd zabiorą! — chłopki litowały się nad nami jak rodzone matki.

Wielki Czwartek minął spokojnie. Żaden z naszych oddziałów nie natknął się na Polaków. Wydało się to podejrzane. W Wielki Piątek strzelcy rozeszli się po wsiach, gdzie na każdego z nich czekały święconki. Nadal panował spokój. Lecz w sobotę, gdy już zaczęto budowę stołów na wielkanocne śniadanie, czujki nadbiegły z informacją, że zbliża się wróg. Duże oddziały polskiego wojska zakwaterowały w Jamnej i Grażiowej, wróg wszędzie porozstawiał czujki i wysłał zwiad. Nas było zaledwie czterdziestu.

W nocy zwołano zbiórkę. Okręgowy prowidnyk Hryhor złożył nam świąteczne życzenia i rozpoczął modlitwę. Podjęliśmy ją prosząc

Boga by pomógł nam i naszemu narodowi przetrwać te straszne czasy. Ktoś cicho zaintonował *Chrystos woskres...*<sup>29</sup>, a dalej już na cały głos z głębi naszych rozdartych dusz popłynęła pieśń. Natychmiast przybiegły czujki z okrzykami: „Co wy robicie, słyhać was aż na granicy”. Niebawem zjawili się zwiadowcy z informacjami, że Polacy okrążają las. Święconki ukryliśmy w dziuplach i ostrożnie ruszyliśmy w kierunku Turnicy. Po drodze dolatywały nas pojedyncze polskie słowa: „Łączność, łączność”, „Uważać na krzaki”. Bezszelestnie skradaliśmy się przez gęsty młodniak. Nagle gdzieś na skraju lasu wywiązała się strzelanina. Polacy natychmiast pobiegli w tę stronę. Jak się później okazało, polska czujka natknęła się na rój z sotni Łastiwki, który szedł do wsi po rannego strzelca. To nas ocaliło. Żołnierze zgubili nasz ślad.

Cały następny dzień przesiedzieliśmy w małym, gęstym zagajniku, a gdy zapadła noc nasz oddział wrócił na miejsce obozu. Polacy zniszczyli kilka kotłów, rozwalili stoły, ale święconek nie znaleźli. Szybko rozdzielono świąteczne dary i omijając ścieżki oraz drogi ruszono do Turnickich Lasów. Późną nocą zatrzymaliśmy się niedaleko Górnej Jamny. Naszą przednią straż przywitał silny ogień ckm-ów. Wróg na długiej linii, od Arłamowa, poprzez lasy Turnicy, Simki aż do Posadzkich Sosen nad Trójcą, porozstawiał swe czujki. Musieliśmy się wycofać. Moroz i Łys, którzy dobrze znali teren, doradzili by ominąć Arłamów w okolicy granicy. Prowidnycy przystali na to. Wróciliśmy z powrotem pod nasz obóz i przedzierając się przez gęsty las przeszliśmy obok wsi. Stąd już bez przeszkód nasz oddział dotarł do Turnickich Lasów. Orłan i Hryhor przeszli z obstawą na inny teren, a my przesiedzieliśmy tutaj aż do Prowidnej Niedili<sup>30</sup>. Niestety, skończyły się nam zapasy i trzeba było pomyśleć o innym miejscu. Zdecydowano, że najlepiej będzie przejść w lasy Simki i stamtąd nawiązać łącz-

29. *Chrystos woskres...* — modlitwa śpiewana w święta Wielkanocy.

30. Prowidna Niedila — pierwsza niedziela po Zmartwychwstaniu Chrystusa.

ność z sotniami. Ten manewr wykonaliśmy bez przeszkód. Wojska nie było ani w lasach, ani we wsiach. Lecz był to spokój przed burzą. Tydzień później rozpoczęła się akcja „Wisła”. W okolicznych lasach przeprowadzano potężne oblawy. Kilku z nas na ochotnika ruszyło w teren na zwiad. W nocy zasłaliśmy do Jurkowej. Wieśniacy byli przerażeni, kobiety płakały. Przybiegli do nas i przeklinając Polaków błagali, by UPA nie pozwoliła ich wywieźć. Niektórzy znosili nam swe zapasy, inni prosili zapamiętać gdzie chowają swój dobytek i przekazać znajomym oraz krewnym upowcom słowa pożegnania. Płakaliśmy razem z nimi. Świadomość, że jesteśmy bezsilni wobec przewagi wroga, napępiała nas rozpaczą. Cóż jednak można było zrobić. Przybici na duchu wróciliśmy do oddziału i złożyliśmy sprawozdanie. Naszej relacji wysłuchano z tępym spokojem.

Rano we wsi wybuchła strzelanina, dobiegały nas krzyki i polskie przekleństwa! W las ruszyła oblawa. Nasz oddział, ukryty w gęstwini, obojętnie przyglądał się, jak obok przechodzą setki polskich żołnierzy. Gdyby nas dostrzegli, zginęlibyśmy na miejscu, ale przeszli nie zauważwszy nas.

W ciągu tygodnia wszystkie wsie opustoszały.

Kilka dni później nasz oddział przeszedł w lasy Cisowej, gdzie kwaterowała sotnia Łastiwki. Niedaleko Kopysna spotkaliśmy rojowego Dowbusza, który wyjmował z magazynu mięso dla sotni. Do obozu Łastiwki przybyli również sotenni Burłaka i Kryłacz z bojówki Oracza. Nie było łączności z sotnią Hromenki. Odbyła się krótka narada, ale prowadnicy nie mogli się zdecydować co robić dalej. Postanowiono nawiązać łączność z naczelnym dowództwem i w tym celu wysłano bojówkę Oracza.

Nasz oddział na czele z Potapem, około 15 osób, wrócił w Turnickie Lasy. Las pozieleniał i zarósł zielskiem, które chroniło nas przed okiem wroga. Obok przeszła oblawa, lecz wróg, choć był bardzo blisko, nie dostrzegł nas. W spokoju minęły dwa dni. Trzeciego, czujka

poinformowała, że zbliża się większy oddział wojska. Próbowaliśmy się ukryć w wąwozie, lecz z przeciwnej strony posypały się na nas strzały. Przeszliśmy do innego wąwozu, ale i tu nas ostrzelano. Niektórzy bojówkarze chcieli podjąć walkę, lecz Potap wyznawał inną filozofię. Twierdził, że „umrzeć jeszcze zawsze zdążymy”. Rozkazał nam przedrzeć się przez gęste świerki na górę. Było mu ciężko biec, bo chorował na płuca. Pot lał się z niego strumieniami. Zalegliśmy w gęstych krzakach. Tuż obok nas, leśną ścieżką, przeszedł oddział Polaków, a za nim jeszcze jeden.

Nie ma innej rady, trzeba udawać Polaków. Mamy przecież polskie mundury. Wyszliśmy na drogę i ruszyliśmy w ślad za polskim oddziałem. W dogodnym dla nas momencie odbiliśmy w bok. Polski oddział nawet się nie obejrzał i pomaszerował na skraj lasu. Trudno było uwierzyć, że nas nie rozpoznano. Zatrzymaliśmy się, by odpocząć, bo Potap zupełnie opadł z sił. Po godzinie, ktoś z naszych zauważył dym. Z początku był niewyraźny, a później zaczął gesto ścielić się po lesie. Dopiero teraz zrozumieliśmy „obojętność” Polaków. Podpalili las. Ogień był już wyraźnie widoczny. Obok nas biegła spłoszona zwierzyna. Potap krzyknął, by biec za nią. Dotarliśmy do jakiegoś niedużego strumyka. Dymu tu było mniej, ale za to uderzyła nas fala ciepła. Czornyj, który znał teren, krzyknął, że strumyk wpada do większego potoku. Zanim tam dobiegliśmy, wokół nas stał już las płomieni. Skakać przez ogień, do wody! — wykrzyknął Potap. Wylądowaliśmy w gorącej kąpieli. Jakie szczęście, że nikomu nie wybuchł granat w plecaku. Drzewa wzdłuż potoku płonęły i trzeba było uważać na padające pnie. Osmoleni dymem, trochę poparzeni, w okopconych mundurach dotarliśmy na pola. Zapadł już zmrok. Wiatr pędził z lasu kłęby dymu. Polaków nie było.

Tylko z sotnią Łastiwki udało się nam utrzymać łączność. Pod koniec maja nasz oddział dołączył do niej. Łastiwka był przygnębiony, w żaden sposób nie mógł nawiązać łączności z innymi sotniami.

Wszyscy łącznicy, których wysłał w tym celu, zginęli. Nic dziwnego, Polacy dwa razy dziennie przetrząsali las.

Wreszcie udało się skontaktować z sotniami Burląki i Kryłacza. Niedługo potem obydwie sotnie przybyły do obozu Łastiwki. Tylko od Hromenki, z IV-go rejonu, nie było żadnych wieści. Wysłany do niego oddział polowej żandarmerii, przepadł bez wieści.

Zwołano naradę. Lecz prowadnicy i sotenni nie zdążyli jeszcze wygodnie się rozsiąść, gdy zarządzono alarm. Zbliżała się polska obława. Szybko zamaskowano obóz i sotnie przeszły do lasu pomiędzy Trójcą, Krajną i Limną. Nie był on zbyt gęsty. Od strony Krajnej dochodził do drogi, która łączyła się z szosą z Birczy, od strony Limnej otaczały go wąwozy i jary, a Trójcę oddzielała od niego wysoka góra. Nie zdążyliśmy rozłożyć obozu, gdy nad lasem zawarczały kukuruźniki rozsypując ulotki. Wiatr pochwyił je, pokręcił i poniósł hen nad góry i lasy. Zaledwie kilka upadło obok nas. Zawierały, napisany po ukraińsku, tekst następującej treści: „Nie wiercie waszym dowódcom, likwidujcie ich i przechodźcie na naszą stronę! Oni wszystkiemu są winni, was nie spotka nic złego. Zostaniecie objęci amnestią!” — apelowano do strzelców.

Następnego dnia, 5 czerwca, nasze czujki zauważyły podejrzaną ruchy polskiego wojska, a koło południa zarządzono ostre pogotowie. Polacy rozsypali się w tyralierę i weszli do lasu. Powstańcy, tworząc półokrąg, zajęli obronne pozycje. Był piękny słoneczny dzień i niejeden z nas spoglądając w niebo pytał sam siebie, czy jutro również je zobaczy?

Wróg przypuścił atak na sotnię Kryłacza. Sotenny pozwolił Polakom podejść blisko swoich stanowisk, a potem silnym ogniem zmusił ich do odwrotu. Nieprzyjaciel zaatakował znów, tym razem sotnię Burląki. Wywiązała się walka, lecz i tym razem Polacy zmuszeni byli się wycofać. Każdy z nas głęboko w sercu chował cichą nadzieję, że wróg zrezygnuje, bo dostał tęgiego łupnia. Lecz były to tylko marze-

nia. Nie po to ściągnięto dywizję wojska, by pozwolić nam spokojnie spać.

Trzeci atak nastąpił jednocześnie od strony Trójcy, Limnej i Krajnej. Najsilniejsze uderzenie skierowano na sotnię Łastiwki. A ponieważ nasza bojówka zajmowała stanowiska pomiędzy Łastiwką a Burląką, więc i nam nieźle się dostało. Ziemia płonęła od fosforowych pocisków, dudniły armaty, terkotały rozżarzone do czerwoności ckm-y, z drzew sypały się liście i odłamywały się konary. Polscy żołnierze i powstańcy bez życia padali na ziemię. Wróg nie szczędził swoich, jego siły dziesięciokrotnie przewyższały nasze. Łącznicy przekazywali meldunki: „Poległ sotennyj Łastiwka!... Dowództwo objął czotowij Żurawel!” I znów: „Czotowij Żurawel zabity! Czotowij Małyniak ranny!” Wróg wdarł się na stanowiska sotni Łastiwki. Wywiązała się walka wręcz. Burląka i Kryłacz zajęci skierowanymi na nich atakami, nie mogli pomóc sotni Łastiwki.

„Dwa roje z drugiej czoty wpadły w ręce wroga...” „Nieprzyjaciel schwytał rannego Małyniaka...”

Burląka i Kryłacz porwali się na szalone przedsięwzięcie, postanowili wyrwać się z okrążenia. Do nich dołączyła czota Zymnoho i dwa roje z czoty Żurawla. Przebili się przez szeregi wroga i skierowali do Łodzinki, a stamtąd do Starej Birczy. Polacy ruszyli ich śladem. Nasza bojówka, wykorzystując chwilowe zamieszanie, pobieгла w stronę rzeki Wigor. Biegliśmy wśród Polaków, lecz oni brali nas za swoich, bo mieliśmy polskie mundury. Przeszliśmy przez rzekę i ukryliśmy się w gęstej trzcinie. Okazało się, że razem z nami jest prowadnyk Puhacz i pisarz Horobeć. Potap musiał przebić się razem z Burląką, bo nie było go z nami. Wieczorem, gdy Polacy pozdejmowali już swoje czujki, przeszliśmy do lasów Simki i, po zabraniu zapasów jedzenia, dalej przez lasy Turnicy, do Suchego Obiczu. Obóz rozłożono nad wsiami Sopotnik i Leszczyny, w gęstym maliniaku. Niedało



leżała stara, zwalona jodła, która świetnie maskowała nasze czujki. Obok nas wciąż przechodziły polskie obławy.

Któregoś dnia usłyszeliśmy w krzakach podejrzany szelest. Ktoś skradał się w naszym kierunku. Nie mógł to być nieprzyjaciel, bo on nie ma zwyczaju podkradać się pod nasze obozy w tak dziwny sposób. Nagle z zarośli wychyliła się postać w zielonym szynelu, bez czapki. Moroz rozpoznał swojego ziomka z Cisowej, czotowego Zymnego. Teraz gdy nas zobaczył, rozpląkał się i długo nie mógł się uspokoić.

— Gdy wyrwaliśmy się z okrążenia — opowiadał później — natknęliśmy się od razu na polskie czujki, przez które znów musieliśmy się przebijać. Burłaka i Kryłacz prowadzili, moja czota została trochę z tyłu. Koło Starej Birczy czotę zaatakowali Polacy. Zapadł już zmierzch i jedynie rakiety wroga od czasu do czasu rozświetlały niebo. W potyczce straciłem łączność z częścią czoty. Zostałem z tyłu z dwoma rojami. Zmuszono nas do odwrotu. Wycofaliśmy się w stronę rzeki Stupnicy, a potem ruszyliśmy do Krzywego. Tu znów zaatakował nas nieprzyjaciel. Wówczas przeszliśmy w okolice Limnej. Świt zastał nas niedaleko wsi. Polacy deptali nam po piętach. Nie pozostało nic innego, jak tylko ukryć się na wysokich jodłach. Gdy wspinałem się na drzewo, z rąk wysliznęła mi się broń. Chciałem wrócić po nią, ale nadeszli Polacy. Wskoczyłem w krzaki, trochę odbiegłem i wspiałem się na drzewo. Żołnierze rozglądali się dookoła i... nagle na jodłach dostrzegli moich chłopców... — Zymnyj znów zaczął szlochać.

Resztę dopowiedzieliśmy sobie sami. Gdy Polacy zaczęli krzyczeć do rannych strzelców, by się poddali, powstańcy zaczęli strzelać. Głos rojowego Dowbusza rozlegał się w całym lesie: „Nie poddawać się! Bić Lacha! Niech żyje UPA”. Polacy otworzyli ogień. Z drzew jednak nikt nie spadł. Strzelcy zawsze przywiązywali się do pni pasa-

mi, aby mieć swobodne ręce. Zginęli od pocisków wroga lub od swoich samobójczych kul.

Zymnyj nie mógł sobie wybaczyć, że nie zginął jak pozostali, że skorzystał z tego, iż Polacy nie dostrzegli go. Staraliśmy się go pocieszyć, twierdząc, że gdyby zginął, nikt nie dowiedziałby się o bohater-skiej śmierci jego chłopców.

Po kilku dniach Zymnyj, Chyżyj i Kruk udali się na poszukiwania swoich sotni. Opuścił nas również prowadnik Puhacz i pisarz Horobeć. My pozostaliśmy w tym samym miejscu. Czornyj posłał kilku łączników, by nawiązać kontakt z Potapem. Odżywialiśmy się jedynie kartoflami z naszych magazynów. Były stare i niesmaczne. Pewnie znalazłyby się smaczniejsze w pustych, chłopskich chatach, ale zdarzało się, że wróg zatruwał pozostawioną tam żywność.

Któregoś dnia spotkała nas przyjemna niespodzianka. Kruk, stojąc na warcie, dostrzegł zmierzającego w naszym kierunku jakiegoś żołnierza. Narobił szumu. Prerażeni, ukryliśmy się w zaroślach. Ku naszej radości, okazało się, że był to Bis. Był zorientowany w ogólnej sytuacji, opowiadał nam o wydarzeniach na Łemkowszczyźnie, o naszych przyjaciółach. Dowiedziałem się od niego, gdzie i kiedy zginął Lutyj. Jeden ze strzelców Bisa wpadł w ręce Polaków i naprowadził ich na bunkier, w którym ukrywał się Lutyj i kilku innych chłopców.

Kilka dni później udało się nam nawiązać łączność z Potapem i resztą naszego oddziału. Dowiedzieliśmy się też jak Burłaka i Kryłacz wydostali się z okrążenia. Wróg szedł za nimi krok w krok. Co jakiś czas drogę zagradały im czujki wroga, zmuszeni byli bez przerwy się ostrzeliwać. Późno w nocy dotarli na górę Kozie Żebra, niedaleko Rybnego. Tu postanowili odpocząć. Niebawem zostali okrążeni. Cały dzień odpierali nieprzyjacielskie ataki, ponosząc przy tym niewielkie straty. W nocy Polacy przerwali ostrzał. Powstańcy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Byli przekonani, że przyjdzie im zginąć. Któryś z nich zaintonował pieśń *Boże wysłuchaj błahannja*,

a potem — sami nie wiedząc czemu — zaczęli śpiewać polską pieśń z Powstania Warszawskiego. Polacy zbaranieli. W tym czasie Burlaka osobiście wyruszył na zwiad. Podkrał się pod wrogie stanowiska i cudem udało się mu podsłuchać hasło. Zdecydował, wóz albo przewóz. Strzelcom, którzy ubrani byli w polskie mundury, szczególnie z Kościuszkowskiej Dywizji, nakazał stanąć w przodzie kolumny. Chłopców w mundurach innych armii postawił w środku. Przed północą zeszli z góry, równo i pewnie odmierzając krok. Zatrzymała ich czujka „Stój! Hasło”. Burlaka podał hasło i liczebność batalionu. W ten sposób ominęli wszystkie czujki. Po drodze spotkali patrol milicji i nakazali milicjantom, by jak najkrótszą drogą zaprowadzili ich do Pruchnika. Dopiero gdy się rozwidniło, milicjanci zorientowali się w pomyłce. Dalej Burlaka poprowadził swoich żołnierzy obok wsi Wapowce, Bełwin, Maćkowice aż na Bukowy Wierch w lasy Kaczmarowa. Tu zginął bojówkarz Ciapka. Wyruszył na zwiad i ujęli go Polacy. Sotnie wędrowały całą noc, stale zmieniając kierunek marszu. W ciągu nocy powstańcy przeszli około 35 km, a potem wrócili w lasy Cisowej. Nietrudno domyślić się, jakie miny mieli Polacy, gdy rano ponowili atak na Kozie Żebra.

12 lipca 1947 roku w miejscu kwaterowania naszej bojówki Czornoho, w lasach Suchego Obiczu, we wsiach Sopotnik i Leszczyń odbywała się narada rejonowych prowidnyków. Była to już ostatnia narada. Po niej nastąpiły długie lata naszej samotności...

Od 1954 r., do Hawrylaków, na każde wakacje zaczęli przyjeżdżać znajomi z Rzeszowa — państwo Bońcowie z małymi dziećmi. Z początku ukrywałem się przed nimi, a później zacząłem udawać najemnego robotnika. Byli to bardzo mili ludzie, z którymi przyjemnie było pogawędzić.

Tymczasem starzy Hawrylakowie ledwie mnie tolerowali. Choć pomagałem im w gospodarstwie, uważali że w domu potrzebny jest

gospodarz. Chcieli wydać Milkę za któregoś z miejscowych Polaków. Dziewczyna zdecydowanie odmawiała, co wywoływało mnóstwo dyskusji i sporów między nią i matką. Hawrylak nie wtrącał się do tych babskich kłótni. Rozumiał córkę, która stanowczo twierdziła, że nie wyjdzie za mąż za Polaka. Mimo to starzy uważali, że gdybym mniej kroczył się koło ich domu, Milcia już dawno zgodziłaby się wyjść za mąż. Myślę, że nie byli świadomi naszych uczuć. Tymczasem miłość cichutko i wolno zakradła się do naszych serc. Każde z nas broniło się przed nią, wiedząc że nie ma dla niej szans, lecz ona zwyciężyła. Pewnego razu docinki i uwagi matki tak bardzo dokuczyły Milce, że oznajmiła mi, iż chce mieć ze mną dziecko. Przeraziłem się, zupełnie odjęło jej rozum! Zapytałem, czy zdaje sobie sprawę, jakie komplikacje pociągną za sobą narodziny dziecka. Czy jest świadoma tego, że nie możemy się pobrać i nasze dziecko będzie bękartem. Odparła, że wszystko przemyślała i za Polaka nie wyjdzie. Nie mogłem tego słuchać. Cóż, kiedy z babą nie wygram. Milcia omamiła mnie i w 1955 roku zaszła w ciążę. Na użytek rodziców i znajomych wymyśliła zupełnie prawdopodobną historię, że wracając nocą z Rzeszowa od Bońców została napadnięta i zgwałcona przez jakiegoś typa spod ciemnej gwiazdy. Hawrylakowie bardzo przeżyli tragedię córki. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że Milcia może kłamać. Jedynie Feniów nie chcieliśmy okłamywać.

23 I 1956 roku Milcia urodziła córkę. W USC w Birczy zarejestrowała ją jako Marię Hawrylak — ojciec nieznany. Nocami, ukradkiem brałem ją na ręce i mimo woli z oczu kapały mi łzy.

Boże, zeslij tej kruszynie los lepszy niż jej rodzicom.

1956

1956

1956

1956

1956

## VIII

Rok 1956 był bogaty w polityczne wydarzenia. Nagła śmierć Bieruta w Moskwie, przyście na jego miejsce nowego I sekretarza KC Edwarda Ochaba, dłuższy czas zajmowały naszą uwagę. O wszystkim dowiadaliśmy się z gazet, które przekazywał nam Antoszko. Czytaliśmy je od deski do deski, dyskutując o wyczytanych nowinach. Któregoś dnia przeczytałem, że polski rząd w dniu 27 IV 1956 roku ogłosił amnestię dla więźniów politycznych. Nie mogąc zrozumieć o co chodzi Polakom, snuliśmy domysły, jaki to podstęp może kryć się za tym. Nie zdążyliśmy ochłonąć i w „Przemyskim Kurierze Codziennym” zobaczyliśmy sensacyjny nagłówek „AK wychodzi z podziemia”. Wymienione były nazwiska mężczyzn, którzy się ujawnili. Był wśród nich mój znajomy z Bachowa, Jaś Lewandowski, żołnierz AK, który przez długie lata ukrywał się w rodzinnej wsi. Rozpierała nas ciekawość, jak dalej potoczą się wypadki? W następnym numerze wyczytaliśmy informację, która dosłownie zwała nas z nóg: „Korzystając z amnestii, ujawnił się członek UPA, lekarz z sotni Hromenki, Taras — Stanisław Pel”. Cały czas ukrywał się w Przemysłu, w rodzinnym domu. W innej gazecie pojawiła się informacja, że z kryjówki w Starjawskich Lasach wyszedł upowiec z sotni Sahajdaczneho, Biłyk.

Nie mogliśmy znaleźć sobie miejsca! Prowokacja to czy prawda? Jeżeli prawda, to co powinniśmy uczynić? Pytaliśmy Fenia, ale on nie umiał nam doradzić. Gdy zobaczył nasze podniecenie, przestraszył się nie na żarty. Jeżeli my skorzystamy z amnestii, to co stanie się z nim i z jego rodziną. Czy nie będzie miał przykrości i czy nie ukarają go za to, że nam pomagał? Byliśmy zagubieni. Co robić? Potem

zgodnie doszliśmy do wniosku, że pomoc może nam tylko Antoszko. Ale jak nawiązać z nim kontakt? Fenia nie ma co prosić, bo on i tak już się boi. Kruk zaproponował by pójść do Iskani, do Marii i Anielki. Ale jak skontaktować się z nimi, gdy tam gospodarzą już zięciowie? Mimo tych wątpliwości zaczęliśmy przygotowywać się do drogi. Nagle przez otwór wentylacyjny dobiegł do nas jakiś szmer, a zaraz po nim odgłos rozmowy. Momentalnie zapomnieliśmy o amnestii. Kruk chwycił karabin, ja pistolet. Spojrzałem na pepeszę, była bezużyteczna, nie było już do niej naboji. Podkradłem się do wejścia. Teraz już wyraźnie rozbrzmiewał polski język:

— Tu gdzieś jest wejście! — To przecież głos Józka Fenia. Zbaranieliśmy! Czyżby zdradził? Nagle tuż za nim dostrzegłem Antoszka.

Boże, jaka ulga! Zaczęliśmy żartować z Józka, że nie mógł znaleźć wejścia. Antoszko obejrzał kryjówkę, chwilę odpoczął i rzekł:

— Już od jutra bunkier nie będzie wam potrzebny! Ogłoszono amnestię!

Poczułem nagle, że nie panuję nad sobą. Chwyciłem pistolet i wrzasnąłem do brata:

— Chcesz nas zdradzić?

Wszyscy poderwali się z miejsc. Kruk wyrwał mi z rąk broń. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Staliśmy tak w bezruchu, jedynie płomień lampy, delikatnie się kołysząc rzucał na wyklejone z myślą o Antoszku ściany nasze długie cienie.

Brat przerwał milczenie.

— Siadajcie!

Usiedliśmy, tylko Kruk nerwowo chodził po bunkrze z papierosem w ustach. Józek również zapalił. Zobaczyłem jak drżą mu ręce. Antoszko obrzucił wszystkich uważnym spojrzeniem i powiedział:

— Nie mam do ciebie pretensji. Rozumiem bracie twoje wzburzenie. Sam nie wiem jak bym się zachowywał, po tylu latach spędzonych w lesie. Pragnę, abyś i ty i Stefan zrozumieli, że to jedyna

szansa dla was. Druga już się chyba nie zdarzy. Ja już wszystko obmyśliłem.

Skierował wzrok na Józka.

– Wiem, że twoi rodzice i ty boicie się, by nie ukarano was za to, że pomagaliście upowcom. Zapewniam cię Józku, że ani Stefan, ani Milko, ani ja nie zdradzimy was. Nie wydamy nikogo, kto nam pomagał. Nie tylko zapewniamy cię o tym, ale przysięgamy. Niechaj Bóg nas pokarze, jeżeli złamiemy przysięgę!

W trójkę ukłękliśmy przed obrazkiem Niepokalanej i powtarzaliśmy za Antoszką słowa przysięgi.

Józkowi ulżyło. Nawet przyznał się nam, że otrzymał od Antoszki trzy listy i wycinki z gazet, ale w takiej sytuacji bał się je doręczyć. Antoszko z kolei, nie mając od nas żadnych wiadomości, postanowił osobiście zobaczyć się z nami. Wsiadł do autobusu, dojechał do Dynowa, a stąd już piechotą przeszedł 19 km, prosto do Feniów.

Nadal miałem mnóstwo wątpliwości związanych z amnestią, toteż Antoszko musiał nam jak dzieciom tłumaczyć wszystko po kolei. Amnestia to nie gadanie po próżnicy, ale fakty. Miał już okazję rozmawiać z ludźmi, którzy wyszli z podziemia, między innymi z Biłkiem i Tarasem. Ten drugi prawie oślepl w ciemnym bunkrze. Teraz żyją na wolności. Otrzymali od państwa jednorazową zapomogę w wysokości 2500 złotych.

Antoszko uparł się, żeby już następnego dnia jechać z nim do Przemyśla. Należy od razu zgłosić się w prokuraturze, bo możliwe jest skrócenie terminu amnestii. Dowiedział się o tym od pewnego, wysoko postawionego partyjniaka, który korzysta z jego fryzjerskich usług. Mówił, że z AK ujawnili się już prawdopodobnie wszyscy, a „z band UPA” nikt się już raczej nie zgłosi, bo po prostu nikogo nie ma. Dlatego też każdego dnia amnestia może zostać odwołana. Ile prawdy jest w tym co powiedział, nie wiadomo, ale dłużej nie ma na co czekać. Droga do Przemyśla będzie niebezpieczna, lecz znacz-

nie bardziej ryzykowne jest zgłoszenie się do miejscowej milicji czy UB. Tu można przepaść bez śladu. Brat rozważał wszystkie za i przeciw. Twierdził, że w najgorszym wypadku zwróci się o pomoc do premiera Cyrankiewicza, z którym siedział w więzieniu, podczas okupacji.

W końcu Antoszko rozwiązał wszystkie nasze wątpliwości. Strach jednak pozostał. Postanowiliśmy, że nazajutrz, a będzie to 14 maja, opuścimy nasz bunkier. Antoszko odetchnął z ulgą i oznajmił, że chce mu się jeść. Szybko obrałem ziemniaki i przygotowałem kotlety. Brat postawił pół litra wódki. Ja jednak nie piłem, bo wciąż jeszcze obawiałem się o swój żołądek. Po kolacji mój cwany brat zaproponował, by zagrać w karty. Wziął je nawet ze sobą. Przewidział wszystko zawczasu. Po dwóch godzinach odprężającej gry w karty mogliśmy przystąpić do likwidacji naszej kryjówki. Antoszko kazał nam zniszczyć lub ukryć wszystko to, co mogłoby w pojęciu Polaków stanowić dowód winy. UB na pewno przeprowadzi rewizję i będzie fotografować bunkier. Największą stratą był dziennik Kruka, który w panice rzuciliśmy do ognia. Teraz, patrząc z perspektywy, myślę że można go było gdzieś ukryć. Karabin i rewolwer zakopaliśmy w lesie, a pepeszę zostawiliśmy w bunkrze. Posprzątaaliśmy, by zatrzeć ślady „likwidacji kompromitujących materiałów”. I uznaliśmy, że jesteśmy gotowi!

Po raz ostatni ukłękliśmy przed obrazkiem Matki Boskiej, prosząc ją o opiekę nad nami.

O drugiej nad ranem opuściliśmy bunkier. Gdyby jego ściany mogły mówić, znacznie lepiej niż ja opowiedziałyby o naszych długich, beznadziejnych dniach, o naszym bólu, wątpliwościach, wahaniu i o tych maleńkich promykach nadziei, które stały na straży naszego życia.

Żegnaj nasz domie! Żegnaj lesie! Żegnajcie lata spędzone w bunkrze!

Pożegnawszy Józka, udaliśmy się do Hawrylaków. Milcia, gdy usłyszała pukanie w okno, jak zawsze wybiegła na podwórko. Przedstawiłem jej mego brata i weszliśmy do domu. Rodzice dziewczyny zdążyli się już obudzić. Antoszko opowiedział im o wszystkim, prosił by niepotrzebnie się nie denerwować i pocieszał, że wszystko będzie dobrze.

— Gdy tylko zwolnią Milka i Stefana, wrócimy tu do was i wyprawimy weselisko! — Wziął na ręce małą Marusię.

— Nawet podobna do Płeczeniów!

Boże! Myślałem, że Hawrylakowie zwariują, wszczął się straszliwy harmider. Sam fakt, że idziemy się ujawnić, był sporą niespodzianką, a wiadomość, że to ja jestem ojcem Marusi, dosłownie ich ogłuszyła. Nie było czasu na wyjaśnienia. Musieliśmy się spieszyć, aby zdążyć na autobus do Dynowa.

Jak wszyscy normalni ludzie szliśmy drogą, a nie ścieżkami i polami. Rozmawialiśmy głośno po polsku, śmiejąc się i żartując. Tak nakazał nam Antoszko. Minęliśmy Hutę, Netrebki i Poręby. Gdy weszliśmy do Siedlisk, zaczęło świtać. Stąd już niedaleko do Bartkówki, w której wsiedliśmy na prom i przepłynęliśmy na drugą stronę Sanu. W Dynowie wsiedliśmy do autobusu do Przemyśla. Brat usiadł z przodu, a ja ze Stefanem z tyłu. Umówiliśmy się, że będziemy udawać, iż się nie znamy. Gdy będę siedział z tyłu, nikt znajomy nie zwróci na mnie uwagi, bo na spotkanie ze mną nie będzie przygotowany. Co innego gdybym usiadł obok brata. Skojarzenie byłoby natychmiastowe.

Autobus ruszył. Duszę mieliśmy na ramieniu. A jeżeli ktoś nas pozna, zanim zdążymy zameldować się u prokuratora? Na każdym przystanku ukradkiem obserwowaliśmy nowych pasażerów. Jak na złość, w autobusie było mało ludzi i nietrudno było nas zauważyć. W Babicach do autobusu wsiadła Maryśka Lewandowska. Dziewczyna, z którą trzynaście lat temu przetańczyłem niejedną zabawę,

siostra Jaśka, który niedawno też wyszedł z podziemia. Niech to diabli wezmą!

Maryśka rozejrzała się po autobusie, zobaczyła Antoszkę i przysiadła się do niego, na pogawędkę. Ale widocznie jeden znajomy jej nie wystarczał, bo znów zaczęła się kręcić, rozglądając się po autobusie. Jej wzrok zatrzymał się na mnie. Jedno spojrzenie i już byłem pewien — poznała mnie. Natychmiast zaczęła coś szeptać do Antoszki, ale ten zaprzeczył ruchem głowy. Jednak baba uparła się. Zaczęła szarpać brata za rękaw i pokazywać mi palcem, choć ten nie chciał nawet spojrzeć w moją stronę. W napięciu dojechaliśmy do Zasania w Przemyślu. Autobus zatrzymał się przy cerkwi św. Włodzimierza. Bogu dzięki, że nie była na tyle bezczelna, by mnie zaczepić. Ludzie zaczęli wysiadać. Wykorzystując chwilowe zamieszanie, razem z Krukiem przemknąłem obok niej. Antoszko dopędził nas w bocznej ulicy i kazał przyspieszyć kroku, by uniknąć spotkania z Maryską, która również wysiadła na tym przystanku. Powinniśmy jak najszybciej znaleźć się u niego w domu, a następnie w prokuraturze, bo kto wie dokąd dziewczyna skieruje swe kroki. Może do UB. Zasapani wpadliśmy do domu brata. Jeszcze w przedpokoju usłyszeliśmy głos Maryski, która przekonywała żonę Antoszki, że „na pewno w autobusie widziała Milka”. Nie było innego wyjścia, musieliśmy wejść do środka. Bratowa rzuciła się nam na szyję, Maryśka niewiele myśląc uczyniła to samo. Okazało się, że strach ma wielkie oczy. Dziewczyna sama przeżyła tragedię swego brata, rozumiała naszą sytuację i razem z nami cieszyła się, że możemy wrócić do normalnego życia.

Szybko coś przekąsiliśmy i Antoszko zaprowadził nas do prokuratury. Akurat w Przemyślu odbywała się jakaś głośna rozprawa i brat wykorzystał to jako pretekst, aby pójść do sądu, w którym również mieściła się prokuratura. Antoszko kroczył z przodu, Stefan i ja kilkanaście kroków za nim. Gdy zatrzymywał się, by przywitać się ze

znajomymi, my zatrzymywaliśmy się również, udając, że przyglądamy się wystawom. Od 1947 roku nie byliśmy w mieście i czuliśmy się teraz zupełnie zagubieni. Lecz ludzie zajęci swoimi sprawami nie zwracali na nas uwagi. To nas trochę uspokajało. W ciągu tych lat w mieście wiele się zmieniło. Wybudowano nowe budynki, powstały nowe place. Na miejscu przedwojennego rynku znajdował się park imienia Świerczewskiego, z ogromnym pomnikiem generała.

Antoszek zatrzymał się przed wielkim budynkiem na ulicy 1-go Maja. Ruchem głowy wskazał nam bramę. To tutaj! Weszliśmy do ogromnego korytarza. Przez tłum ludzi przepchaliśmy się do drzwi z napisem „Prokuratura”. Antoszek mrugnął do nas i poszedł dalej. Miałem wrażenie, że ziemia ucieka mi spod nóg. Spojrzałem na Kruka, uczyniłem w myśli znak krzyża i zapukałem do drzwi.

Do poczekalni wpuścił nas uzbrojony milicjant.

– W jakiej sprawie? – zapytał, patrząc na nas okiem znawcy.

– Chcielibyśmy osobiście porozmawiać z prokuratorem.

– Proszę zaczekać. – Wszedł do pokoju i za chwilę poprosił nas do środka. Zza biurka uniósł się wysoki, barczysty mężczyzna.

– Jestem prokuratorem. O co chodzi?

– Wyszliśmy z lasu. Chcieliśmy skorzystać z amnestii – powiedziałem, bo lepiej niż Kruk znałem polski.

– Panowie z AK?

– Nie, z UPA.

Po twarzy prokuratora przemknął cień. Pod nogami milicjanta głośno zaskrzypiała podłoga i odniosłem wrażenie, że odbezpieczył pistolet. Prokurator najpierw cofnął się trochę, a potem wyszedł z za stołu i zaczął krążyć po pokoju bacznie się nam przyglądając. Wreszcie zapytał.

– Gdzie się ukrywaliście?

– W Dylągowskich Lasach, niedaleko Jawornika Ruskiego.

– Od kiedy?

– Od 1947 roku.

– Co? Tak długo? Kto wam kazał tu zostać?

– Nikt. Zgubiliśmy nasz oddział. A potem baliśmy się ujawnić. Prokurator usiadł za stołem i zaczął notować.

– Imię, nazwisko, pseudonim, miejsce urodzenia?

– Omeljan Płeczeń – Czaban ze wsi Iskań.

– Stefan Soroczak – Kruk ze wsi Jawornik Ruski.

– Gdzie mieszkaliście? W bunkrze?

– Tak. Zbudowaliśmy bunkier.

– A czym się odżywaliście? Chyba nie szyszkami? Kto wam dostarczał jedzenie?

– Nikt. Sami dawaliśmy sobie radę. Polowaliśmy, głównie na dziki. Z pół kradliśmy kartofle i warzywa. Zbieraliśmy również kłosa zbóż.

– Co? Jedliście kłosa?

– Nie, z opuszczonej chaty przynieśliśmy żarna.

– Mimo to, jakiś kontakt z ludźmi musieliście mieć.

– Tak. Z rodziną Hawrylaków z Rybnego.

– Aha! Czy pomagali wam dobrowolnie?

– Pod przymusem. Terroryzowaliśmy ich.

– Jeszcze jakieś kontakty?

– Nie.

– Żonaci?

Odpowiedziałem, że nie, a Kruk przytaknął.

– Gdzie jest żona? Czy otrzymywaliście od niej jakieś listy?

– Została wywieziona na Ziemię Odzyskane. Nie mam z nią żadnego kontaktu.

– Czy mówicie prawdę?

– Tak.

Prokurator kazał nam przejść do poczekalni. Byłem tak zdenerwowany, że ugięły się przede mną nogi. Po chwili zawołano nas do innego pokoju. Tu jakiś młody mężczyzna oświadczył nam, że jest sekre-

tarzem, ma spisać nasze życiorysy i radził nam mówić prawdę. Zostaliśmy rozdzieleni. Następnie znów razem zaprowadzono nas do prokuratora. Tu oświadczone nam uroczyście:

– Od dzisiaj jesteście wolnymi obywatelami PRL. Dzięki amnestii, ogłoszonej przez polski rząd, wasze winy zostaną wam zapomniane. Od dzisiaj macie te same prawa, co każdy obywatel tego kraju. Nikt nie ma prawa szykanować was w związku z waszą przeszłością. Gdyby jednak taka sytuacja zdarzyła się, możecie podać waszego prześladowcę do sądu.

Podziękowaliśmy polskiemu rządowi.

– To jeszcze nie wszystko – kontynuował prokurator – musicie pamiętać, że amnestia zwolniła was jedynie od 15 lat więzienia za przynależność do UPA. Ale wasze zwolnienie jest warunkowe. Przez dwa lata mamy prawo was śledzić. Jeżeli w tym czasie wplączę się w jakąś awanturę, zostaniecie aresztowani i postawieni przed sądem. Wówczas do wyroku, jaki otrzymacie, dodane zostanie 15 lat, od których zostaliście zwolnieni. Tak więc radzę wam nie wdawać się w żadne awantury, nie dać się sprowokować ani do kłótni, ani do bójki, nie kraść i nie politykować.

– Wy, obywatelu Płeczeń, wracajcie do Rybnego, do Hawrylaków, którzy zgodnie z waszymi zeznaniami, pomagali wam pod przykryciem. Już bez obaw zajmijcie się ich gospodarstwem i nie zapomnijcie ożenić się z matką waszej córki!

Wygląda na to, że już zdążyli zasięgnąć informacji. Posłusznie kiwnąłem głową. Krukowi oznajmiono, że w ciągu dwóch dni zostanie odszukana jego żona i dziecko. Będzie mógł pojechać do nich, ale musi też być przygotowany na to, że żona powtórnie wyszła za mąż. Gdyby zaistniała taka sytuacja, powinien uważać, by czegoś nie nabroić. Najlepiej byłoby, gdyby wziął ze sobą jakiegoś świadka i w jego obecności zapytał żonę, czy zechce wrócić do niego. Jeżeli nie będzie chciała, to niech lepiej zapomni, że kiedykolwiek był żonaty.

Po tych pouczeniach wydano nam zaświadczenia i powiedziano, gdzie mieści się bank, w którym można pobrać zapomogę. Na pożegnanie prokurator podał nam rękę i kazał czekać na kogoś z milicji. Gdy ujrzał nasze przestraszone miny, dodał:

– Nie bójcie się. Milicja już wam nic nie robi. Ale musi sprawdzić prawdziwość waszych zeznań.

Czekaliśmy bardzo krótko, a i tak zdążyliśmy usłyszeć, skierowaną pod naszym adresem, uwagę.

– Widzisz tych dwóch, pod ścianą. Z UPA, wyszli na amnestię – dalej posypały się przekleństwa. – Szkoda, że wcześniej nie wpadli nam w ręce. Cwaniacy nie poszli na milicję, a od razu do prokuratora. Wiedzieli, że dostaliby w czapę.

Z dwoma cywilami udaliśmy się nie na milicję, lecz do UB. Tam nas rozdzielono. Do pokoju, w którym siedziałem, weszło trzech mężczyzn, jeden z nich przedstawił się jako sędzia śledczy. Dopiero tu zaczęło się prawdziwe przesłuchanie.

– Od kiedy w UPA? Dlaczego tam wstąpiliście?

– Od 1947 roku. Nie chciałem iść do Armii Czerwonej.

– Dlaczego nie chcieliście wstąpić w szeregi Armii Czerwonej?

– Bo jestem obywatelem Polski.

– Więc dlaczego wstąpiliście do UPA?

– Różne polskie grupy napadały na naszą wieś, grabiąc i mordując Ukraińców. Aby przeżyć, trzeba się było ukrywać.

– Kogo zamordowano?

Opowiedziałem im o naszym przysiółku Swynki. Miałem zamiar opowiedzieć i o innych wsiach, ale przerwano mi.

– Gdzie się ukrywaliście?

– U Józka Halulki. – Bez obaw podałem jego nazwisko, został zamordowany przez Polaków.

– Czy Halulko ukrywał jeszcze kogoś z waszej wsi?

– Cilejkę i Usztwana.

- Wówczas to wstąpiliście do UPA?
- Nie. Zabrano nas, bo w pojedynkę nie wolno się było ukrywać.
- Kto was zabrał? Jak się nazywał? Co to był za oddział?
- Nie wiem. To była bojówka.
- Co tam robiliście?
- Przydzielono mnie do bojówki administracyjnej.
- Czym ta bojówka się zajmowała?
- Dostarczaliśmy do wyznaczonych punktów pocztę.
- Jak ta poczta wyglądała?
- Były to skręcone w rulonik papierki.
- Czy widzieliście, kto przejmuje korespondencję?
- Nie. Nigdy nikogo nie widziałem. Miałem zostawić ją w oznaczonym miejscu i na tym kończyło się moje zadanie.
- Kto był waszym dowódcą? Jego nazwisko?
- Borys. Nazwiska nie znam.
- Borys był prowidnykiem SB, więc i wy musieliście służyć w SB.
- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Służyłem u niego w 1945 roku. Wówczas stał na czele administracji, zresztą takich jak ja nie przyjmowano do SB!
- Dlaczego!
- Bo nie mam wykształcenia.
- W jakich rejonach służyliście?
- Na początku w IV-ym, potem w II-im.
- Kto był prowidnykiem w II-im rejonie?
- Skąła.
- Kto był jego dowódcą?
- Ter.
- Kto to jest Huk?
- Proboszcz z Iskani?
- Gdzie są jego synowie? Czy byli w UPA?
- Nie wiem. Nigdy ich nie widziałem.

Śledczy wprost zasypał mnie pytaniami. Dobrze wiedział o co ma pytać. Dopytywał się o sotennych Burlakę, Łastiwkę, Hromenkę i Kryłacza. Wiedział kto to był Wistun i chciał wiedzieć, czy znałem go osobiście. Pytał o nazwiska osób, których pseudonimy wymienił. Nie mogłem na każde pytanie odpowiadać: „nie wiem”. Przyznałem więc, że nieraz spotkałem sotennych, o Wistunie słyszałem, ale nie wiem ani jak się nazywał, ani skąd pochodził, bo w UPA obowiązywała zasada konspiracji. Potem śledczy zaczął wypytywać mnie dlaczego nie uciekłem na Zachód. To może oznaczać, że Amerykanie zostawili nas tu specjalnie, wobec tego mam się przyznać ilu nas było naprawdę i jakie otrzymaliśmy zadanie. Odparłem, że było nas tylko dwóch, nie otrzymaliśmy też żadnego specjalnego zadania, a po prostu zgubiliśmy swój oddział. Nie mogliśmy szukać swoich, bo zachorowałem. Problemy z żołądkiem mam do dzisiaj.

Przesłuchanie bardzo mnie zdenerwowało i żołądek rzeczywiście przypominał o sobie. Skręcałem się z bólu. Jeden z „asystentów” śledczego, który nie spuszczał ze mnie wzroku, odezwał się wreszcie:

- Teraz też symulujecie, że boli was żołądek?
- Wcale nie symuluję. Choruję od 1947 roku. Chodziłem nawet do lekarza!
- Do lekarza? Jakiego? Kiedy?
- Do pana Zaremby w Dynowie, w styczniu 1953 roku.
- Jakie nazwisko i miejsce zamieszkania podaliście lekarzowi?
- Jan Zając z Brzeżawy!
- Dlaczego poszliście akurat do Zaremby i dlaczego powiedzieliście, że mieszkacie w Brzeżawie?
- Ludzie na ulicy w Dynowie polecili mi tego lekarza. Powiedziałem, że pochodzę z Brzeżawy, bo to daleko od Dynowa i tam nikt mnie nie zna.

Śledczy spojrział na mnie uważnie, następnie podniósł słuchawkę i kazał połączyć się z doktorem Zarembą z Dynowa. Lekarz potwier-



dział, że Jan Zając leczył się u niego. Wówczas śledczy ponowił swój atak:

– Z jaką bronią przyszlście do lekarza?

– Z kijem i nożem.

– Nie baliście się iść do Dynowa? Przecież mogliście wpaść.

– To tylko dowód na to, że nie kłamie. Ból żołądka skłonił mnie do ryzyka. Gdy człowiek choruje staje się obojętny na wiele spraw.

Skurcze żołądka nasiliły się. Zginałem się w pasie i zaciskałem zęby, aby nie jęczeć. Może pomógłby mi papieros. Przesłuchujący mnie mężczyźni palili jeden za drugim. Poprosiłem o papierosa. Nawet podano mi ogień. Ale śledczy od razu zaczął pytać:

– Dlaczego nie przynieśliście papierosów ze sobą?

– Nie mam ich po prostu.

– A kto w Brzeżawie okradł spółdzielnię?

– Nie wiem — odparłem z rezygnacją.

– Nie wiecie? Komu jak komu, ale wam w lesie potrzebna była żywność.

– Panowie, przecież mówię wam jak księdzu na spowiedzi. Ani ja, ani Soroczak nic nie wiemy o kradzieży w Brzeżawie!

– Spowiedź — z ironią w głosie powiedział jeden z goryli — my w spowiedź nie wierzymy!

– A ja wierzę, bo wierzę w Boga. Jeżeli nie wierzycie w spowiedź, to nic dziwnego, że nie potraficie uwierzyć mi! — odparłem z gniewem.

Śledczy zerknął na mnie z ukosa i zmienił temat:

– Jaką mieliście broń?

– Ja karabin, a Soroczak — pepeszę.

– Co się stało z tą bronią?

– Karabin już dawno wyrzuciłem, jeszcze gdzieś w Turnickich Lasach, bo zabrakło mi naboju. A pepesza czeka na was w bunkrze. Również bez naboju i w dodatku połamana.

– A z jaką bronią chodziliście teraz?

– Już wam mówiłem, z kijem i nożem. Soroczak również.

– Skąd UPA brała broń?

– Zdobywaliśmy na wrogu.

– Dawali wam ją Niemcy, a potem Amerykanie i Anglicy.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Zazwyczaj mieliśmy do czynienia z radziecką bronią.

– Dlaczego z radziecką?

– Najłatwiej było ją zdobyć, również amunicję.

– A gdzie znajdowały się magazyny z bronią UPA?

– Nie wiem.

– Ilu ludzi zabiliście? Ilu powiesiliście?

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Gdybym był mordercą, to nie stałbym teraz przed panem.

Mniej więcej w tym miejscu przerwano naszą rozmowę. Do pokoju wszedł Kruk i jego śledczy. Panowie wymienili się swoimi notatkami i nami. Teraz przesłuchiwał mnie śledczy Kruka. Chcieli sprawdzić, czy nasze zeznania są zgodne.

Gdy wychodziłem z pokoju spojrzałem na Stefana. Wyglądał tak jakby bolał go brzuch. Wydawało mi się, że zeznawałem zgodnie z tym co ustaliliśmy wspólnie z Krukiem. Miałem nadzieję, że on również. W pokoju, do którego mnie zaprowadzono, siedziało już dwóch goryli. Śledczy Kruka stawiał mi te same pytania, ale teraz szło to wszystko znacznie szybciej. Po godzinie znów zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie był Kruk, i jeszcze raz przepytano. Wreszcie poczęstowano nas papierosem i powiedziano, że możemy odpocząć na korytarzu. — Może coś sobie jeszcze przypomnicie!

Zbliżała się godzina siedemnasta. W głowach mieliśmy zamęt i usychaliśmy z pragnienia. Od rana nie dano nam łyka wody. Tym razem też nie pozwolono nam zbyt długo odpoczywać. Śledczy ze „świętą” wąskimi schodami zaprowadził nas na podwórze. Tam czekał już

milicyjny łazik, a obok niego dziesięciu uzbrojonych milicjantów i wilczur. Z przerażeniem pomyślałem, że oto nastąpił nasz koniec. Ale śledczy, dostrzegłszy nasz strach, powiedział uspokajająco:

— Nie bójcie się. Pojedziemy teraz do waszego bunkra, zobaczyć jak tam żylicie. Ale pamiętajcie, jeden strzał w lesie i koniec z wami.

Gdy wsiadałem do wielkiego wojskowego jeepa, pies silnie trącił mnie pyskiem. Upadłem. Ktoś nakrzyczał na zwierzę, ktoś inny podał mi rękę. Wreszcie wszyscy usadowili się wygodnie i auto ruszyło. Za nami wznosiły się tumany kurzu, od pyłu piekły nas oczy i drapało w gardle.

Siedziałem obok kierowcy i wskazywałem drogę. Koło przysiółka Mątewica kazałem szoferowi skręcić w pole. Dojechaliśmy do Meccowego Lasu. Dalej już trzeba było iść pieszo. Szofer i jeden z milicjantów mieli pozostać przy aucie, lecz kierowca zaprotestował. Bał się. Zostało z nim dwóch milicjantów. Reszta ruszyła z nami. Z obawy, by noc nie zastała ich w lesie, stale nas poganiali. A my specjalnie poprowadziliśmy ich przez mokradła. Przywykliśmy do mokrych nóg, teraz niech i oni skosztują tej przyjemności. Była to nasza mała zemsta, za całodziennie znęcanie się nad nami. Wszystko już wcześniej uzgodniliśmy z Krukiem. Również to, że tylko jeden z nas wejdzie ze śledczym do bunkra, bo mogliby nas w nim zastrzelić.

Nareszcie zatrzymaliśmy się obok rozłożystych jodeł.

— Do cholery, gdzie ta kryjówka? — krzyknął śledczy.

— Tutaj, pod nami.

Milicjant z psem rozpoczęli poszukiwania. Mogą tak szukać do końca świata, pomyślałem z satysfakcją. Zauważyłem jednak jak w śledczych narasta złość. Dość tej komedii. Kruk wszedł między małe, gęste jodły i otworzył pokrywę. Polacy wybałuszili oczy. Kruk wszedł do środka, za chwilę wrócił i powiedział, że zapalił światło i można zejść w dół.

— Proszę wchodzić — zawołał mnie śledczy. Ale ja odmówiłem.

— Nie mam tam nic do oglądania.

Śledczy z Krukiem i milicjantem weszli do środka. Po upływie pięciu minut Polacy wyszli z zachwyconymi minami.

— Cholera by ich wzięła! Luksus! Dwa pokoje, korytarz, woda, piec! Tylko komina nie widzę.

— Tutaj — powiedziałem — stoimy na nim.

— Gdzie, gdzie?

Uniosłem kawałek mchu, wsadziłem rękę w otwór i wyjąłem za tyczkę.

— No, no, niezłe pomyślane!

Milicjanci wynieśli z bunkra wszystkie, przez lata gromadzone rzeczy, lampę, garnki, naczynia, piły, młotki, ubranie, zapasy jedzenia i najważniejsze — naszą broń: zardzewiałą pepeszę, dwa okute, sękaty kije i dwa wykonane przez nas noże. Ułożyli to obok nas i zrobili zdjęcie.

Trochę nam ulżyło, skoro zrobiono zdjęcie, to nie po to, aby nas zastrzelić. Ale za chwilę znów oblał mnie zimny pot. Śledczy wyjął z kieszeni list i kazał mi go przeczytać. Spojrzałem i poczułem jak drętwieję ze strachu. Był to list od Pawła z Ameryki, który ukryłem za słupem w ścianie. A te diabły go znalazły. Dobrze, że nie było na nim daty, a kopertę już dawno zniszczyłem.

— Słucham? — powiedział śledczy. W tym momencie poczułem takie zmęczenie, że zabrakło mi siły, by cokolwiek wymyślać. Oddałem mu list i burknąłem tylko, iż przyniosły go aniołki z nieba. Pokiwał głową i więcej o nic nie pytał.

Słońce już powoli chowało się za lasem. Mężczyźni zaczęli się spieszyć. Śledczy nakazał nam wziąć swoje rzeczy, milicjanci mieli zabrać broń. Jeszcze raz spojrzął na kryjówkę i z uznaniem pokiwał głową.

— Tak, tak! Przypatrzcie się dobrze. Tyle lat tu żyli, chodzili tędy gajowi, chłopci ze wsi i nikt ich nie widział. Tyle lat żyli pod ziemią, nie

pokręciło im stawów, ani też nie oslepli. Co znaczy twardy, ukraiński chłop!

Nie wierzyliśmy własnym uszom.

Z powrotem poprowadziliśmy ich już lepszą drogą. Dopiero, gdy wsiedliśmy do auta i jeep ruszył w powrotną drogę, poczułem, że przestałem się bać. Już nie zostawią nas w lesie na „wieczną partyzantkę”.

Późno w nocy wróciliśmy do Przemyśla. Wyszadono nas na placu Bramy. Kruk zapytał, gdzie mamy nocować. W odpowiedzi śledczy wskazał na mnie palcem i powiedział:

— Niech twój kolega przenocuje cię u brata.

Auto ruszyło i nareszcie zostaliśmy sami.

Boże, jesteśmy wolni!

Szliśmy oświetlonymi ulicami miasta i czuliśmy się stokroć bardziej zagubieni niż w ciemnym lesie. Wokół nas byli ludzie. Ich podeszwy stukwały po kamiennym bruku. Trudno było uwierzyć, że już nie musimy ukrywać się przed nimi. Wydawało się to niemożliwe. A przecież nikt nie zwracał na nas uwagi!

Na ulicy Jagiellońskiej spotkaliśmy Antoszka. Nie mógł usiedzieć w domu, szwendał się po ulicach w nadziei, że może nas spotka. Świat zaczął nabierać realnych kształtów. Byliśmy wolni!

Bratowa czekała na nas z obfitą kolacją, ale my najpierw rzuciliśmy się na picie. Od rana nie mieliśmy w ustach kropli wody. Ale jeszcze bardziej niż jej brak, wymęczyły nas wydarzenia tego dnia. I pomyśleć tylko, że gdyby nie Antoszko, kto wie jak długo jeszcze musieliśmy się ukrywać.

Gawędziliśmy do późnej nocy. Oczywiście UB nie miał żadnych problemów z ustaleniem, że Antoni Płeczeń jest bratem Omelana Płeczenia. Przed naszym powrotem zdążyli nawet złożyć mu „wizytę” i przewrócić dom do góry nogami, pod pretekstem, że handluje narkotykami. O mnie nie wspomnieli ani słowa.

Następnego dnia rano poszliśmy z Krukiem do banku. Kasa znajdowała się w tym samym budynku co milicja. Usiedliśmy na ławce w korytarzu, bo przyszlśmy za wcześnie i kasa była jeszcze zamknięta. Obok nas były uchylone drzwi. Ktoś wychodząc, zapomniał je zamknąć. Kruk z ciekawości zajrzał do pokoju. Na stole leżały nasze rzeczy. Usłyszał jak ktoś powiedział: „...ci bandyci na pewno nie pokazali nam wszystkiego. Na pewno gdzieś ukryli broń i amunicję... ale nic nie możemy zrobić! Amnestia!”

W kasie urzędnik oświadczył nam, że kasjer wyjechał do Jarosławia i nie może nam wypłacić pieniędzy. Możemy przyjść nazajutrz. Co robić? Poszliśmy do brata pod zakład fryzjerski. Antoszko uprzedzał nas, żeby nie przychodzić do niego. Kręciliśmy się więc pod oknem, z nadzieją, że nas zobaczy. Nareszcie wyszedł do nas. Opowiedziałem mu jak nas potraktowano. Bardzo się zdenerwował.

— Kasjer nigdzie nie pojechał. Widziałem go niedawno na ulicy. To tylko przedsmak tego co was czeka. Wystąpić oficjalnie przeciwko amnestii drobni „aparaczczy” nie mają odwagi, ale jeszcze nieraz zatrują wam życie. Niech diabli wezmą ich zapomogę. Jakoś zdobędę dla was pieniądze. Idźcie do domu i bez potrzeby nie łażcie po mieście. Tak też zrobiliśmy.

Stefan był bardzo wzburzony. Chciał jak najszybciej odnaleźć żonę. Na Zielone Święta mijalo akurat dziesięć lat, gdy Kruk w mundurze żołnierza UPA w cerkwi w Jaworniku Ruskim zaprzysiął swojej Zosi dozgonną miłość. Ślubu udzielał im kapelan UPA, ojciec Kadyło. Tymczasem różne przeszkody wciąż oddalały ten, wymarzony przez niego, dzień spotkania z rodziną.

Antoszko, zgodnie z obietnicą, zdobył dla Kruka nowe ubranie, obuwie i bieliznę. Kupił mu bilet do Olsztyna, a na drogę dał mu jeszcze dwa tysiące złotych. 16 maja wsadziliśmy Kruka do nocnego pociągu, który miał go zawieźć w lepsze życie. Długo spoglądałem w ślad za pociągiem, życząc swemu przyjacielowi, który więcej lat

przeżył ze mną niż ze swoją żoną, by odnalazł szczęście. Następnego dnia ja również wsiadłem w autobus i pojechałem na spotkanie swego „szczęścia”.

Przez całą drogę wyobrażałem sobie, jak oto przekroczę próg domu, do którego tyle lat skradałem się jak złodziej. Marzyłem, że na progu powita mnie Milcia z dzieckiem na ręku i powie:

– Córeczko, przyjechał twój tata.

Lecz, gdy „starą partyzancką ścieżką” zbliżyłem się do obejścia, na podwórzu ujrzałem ludzi w mundurach. Szybko pobiegłem do domu. W środku zastałem taką oto sytuację: w jednym z pokoi za stołem siedział mój śledczy i jakiś człowiek w cywilu. W innym pomieszczeniu, w obecności Hawrylaków, Józek Skubisz – komendant milicji w Żohatynie, przeprowadzał rewizję, buszując w kołysce dziecka. W pewnym momencie odezwał się do Milci:

– Że też można było zakochać się w takim bandycie!

– Widocznie można, czego dowodem jest to dziecko – odparła Milcia.

Na mój widok Józek wykrzyknął radosnym tonem, jak do dawno nie widzianego przyjaciela:

– Witam! Witam kolego! Jak to dobrze, że już wróciłeś. Tu potrzeba gospodarza!

„Cholera by cię wzięła” – pomyślałem w duchu. Chciałem uspokoić Hawrylaków i pokazałem im zwolnienie od prokuratora. W odpowiedzi na to, śledczy wyjął nakaz rewizji podpisany ręką tego samego człowieka. Dodał także, że przyszedłem w samą porę, gdyż moja obecność jest niezbędna przy rewizji. Burknąłem, że nie ja tu jestem gospodarzem, a skoro beze mnie zaczęli to i beze mnie niech skończą. Nie wiem zresztą co chcą tu znaleźć. W tym momencie na podwórzu rozległ się radosny okrzyk:

– Znalazłem! Znalazłem!

Wszyscy pobiegli za dom. Natrafiono tam na świeże ślady kopania w ziemi, więc zaczęto ryc w tym miejscu. Wykopano ciele, które urodziło się martwe. To zdaje się odebrało moim prześladowcom ochotę do kontynuowania rewizji. Spisano protokół, który nakazano mi podpisać. Odmówiłem, bo gospodarzem w tym domu był Hawrylak. Ale on z kolei nie umiał czytać po polsku, więc nie mógł się podpisać. Wreszcie poszli na kompromis, ja przeczytałem Hawrylakowi protokół, a on go podpisał. „Władza” opuściła nasz dom. Na pożegnanie Józek Skubisz zwrócił się do mnie z obłudnym uśmiechem:

– Cieszę się, że nareszcie możesz żyć, jak wszyscy obywatele Polski.

W odpowiedzi odparłem, że na pewno nie dam się nikomu prowokować.

– O jakiej prowokacji mówisz? – nieudolnie oburzył się Skubisz.

– Nie wiesz? To świetnie. Wobec tego zapamiętaj sobie raz na zawsze, nic tu nie znaleźliście i niczego nie znajdziecie w przyszłości! Rozumiesz? Ani broni, ani żadnych kradzionych rzeczy! Nie próbujcie mi niczego podrzucić, bo nie będzie na tym odcisków moich palców!

– Gdzie się pan tego wszystkiego nauczył? – z udaną grzecznością powiedział któryś z milicjantów.

– W lesie, w szeregach UPA!

– No, no, Płeczeń! Zawsze przecież byliśmy dobrymi kumplami. Chciałbym móc cię odwiedzać – obłudnie zaśmiał się Skubisz.

– Gość w dom, Bóg w dom! – odparłem, a w duchu posłałem go do diabła. Jaka szkoda, że nie mogłem wygarnąć wprost, tego wszystkiego co o nim myślałem!

## IX

Tak bardzo cieszyłem się z odzyskanej wolności, tym że nie muszę kryć się przed ludźmi, iż nie zwracałem uwagi na drobne przykrości, które stale mnie spotykały. Życie z Milcią układało się cudownie. Również Hawrylakowie cieszyli się, że doczekali zięcia. Gdy Antoszek zdradził im naszą tajemnicę, dłużej nie było sensu niczego ukrywać. Wyznaliśmy rodzicom Milci całą prawdę i poprosiliśmy ich o błogostawieństwo.

Trzy dni po moim powrocie, w sobotę, wstąpiła do nas na chwilę sąsiadka, pani Lubińska. Była pierwszą osobą, która odważyła się zobaczyć „bandytę”. Była Polką, a jej mąż spolonizowanym Ukraińcem. W zasadzie raczej omijano nasz dom z daleka. Feń również nie zaglądał, bał się, by nasza długoletnia przyjaźń nie wyszła na jaw. Nie przyszła również siostra Milci, Maryśka. Pewnie zabronił jej mąż, Polak, Staszek Lekki.

W niedzielę odważyłem się pójść do cerkwi, do Jawornika Ruskiego. Choć świątynia należała do Polaków i co niedziela odprawiano tu Msze święte, nikt nigdy nie mówił, że idzie do kościoła, lecz do cerkwi. Zrozumiałem dlaczego tak było, gdy wszedłem do środka. Polacy nie zmienili wystroju świątyni, ikony i ikonostas pozostały na swoim miejscu. Ludzi było niewiele. Mszę odprawiał ksiądz z Siedlisk.

Moje wejście wywołało sensację. Ukradkiem zerkano na mnie i szeptano między sobą. A po Mszy św. wilcze spojrzenia odprowadziły mnie do wyjścia. Nie oczekiwałem wyrazów szczególnej sympatii, ale wrogość, z którą się spotkałem, była zastraszająca. Może było to poczucie winy, byliśmy przecież w cerkwi. Wróciłem do domu bardzo przygnębiony ze świadomością, że nie będę miał lekkiego życia.

Moje smutne rozważania przerwał wrzaskliwy głos sąsiada, Wojciecha Klebana.

– Hej! Milciu!

– O co chodzi! – odezwała się Milcia.

– Zawołaj swojego kawalera. Chciałbym go poznać. To jakiś porządny chłop, bo chodzi do cerkwi.

Kleban nieraz widział mnie w obejściu Hawrylaków. Powiedziałem mu kiedyś, że nająłem się tu do pracy, a pochodzę z za Sanu. Toteż, gdy mnie teraz zobaczył, złapał się za głowę.

– Popatrz, popatrz! Przecież ja cię znam, cholero jasna! To trzeba uczcić! Zapraszam do siebie na kieliszek!

W okolicy było wiadomo, że stary Kleban – skończył już 70 lat – lubi sobie golnąć i innych też chętnie częstuje. Powodziło mu się nieźle. Miał w Ameryce rodzinę, która często przysyłała paczki i dolary w listach.

Zaskoczył mnie ten gest starego. W pierwszej chwili nie wiedziałem co robić. Ale Kleban to porządny gość, a dla mnie ważny jest każdy objaw ludzkiej życzliwości. Wybraliśmy się więc całą rodziną.

Na widok Hawrylaków Klebanowa wytrzeszczyła oczy, a mnie obrzuciła tym samym gniewnym spojrzeniem, co ludzie w cerkwi. Zrobiło się nieprzyjemnie, ale gospodarz od razu rozładował atmosferę. Wesoło stwierdził, że cieszy się, iż doczekał się młodego, pracowitego sąsiada. Mówił bez przerwy, nie dając nikomu wtrącić słowa. Gdy na stole zjawiała się wódka, gospodyni nie pozostało nic innego, jak przygotować zakąskę. Po pierwszej kolejce stary Kleban stwierdził, że do towarzystwa brakuje mu jeszcze jednego sąsiada, Kuby Siedlickiego. Wysłał po niego przybraną córkę, Milkę. Nawia-  
~~tem~~ mówiąc, Siedlicki był ojcem chrzestnym naszej Marijki, toteż  
~~ty~~ wszedł do izby, Kleban od razu zaczął krzyżeć, by przywitał się  
~~ty~~ przystoi kumowi. Siedlicki z wahaniem podał mi rękę. Rozmowa  
~~przed~~ przede wszystkim toczyła się wokół mojej skromnej osoby, a jej

temat, oczywiście narzucił gospodarz. Nie mógł się nadziwić, że tyle czasu kręciłem się mu pod nosem, a on niczego się nie domyślał. Wódka zrobiła swoje. Siedlicki zaczął nazywać mnie kumem, a i gospodyni rozwiązał się język. Zapraszali, by ich odwiedzać.

W następnym tygodniu poszedłem do Żohatyna, by zameldować się na milicji. W kancelarii zastałem Józka Skubisza, jego zastępcę (nazwiska nie pamiętam) i wójta Wasyla Śliwińskiego, który z pochodzenia był Ukraińcem. Skubisz wydał mi zaświadczenie i list polecający do biura meldunkowego w Przemyślu. Nawiązała się niemalże towarzyska pogawędka, do której dołączyło się jeszcze dwóch agronomów. W którymś momencie Skubisz zaproponował, by kuflem piwa uczcić „nowego obywatela naszej społeczności”, dobrego znajomego z dzieciństwa, by „przekreślić to co nas dzieliło i przywrócić przyjacielskie stosunki”. Chciałem odmówić, ale Skubisz nalegał:

— Ja stawiam! A ty nie odmawiaj, bo im więcej ludzi zobaczy cię z nami na piwie, tym lepiej dla ciebie.

Spółdzielnia znajdowała się w drugim końcu wsi, w przysiółku Przysada. Zanim tam doszliśmy, spotkaliśmy wielu ludzi, którzy mierzyli nas zdziwionymi spojrzeniami.

Przed sklepem stała gromada ludzi, wśród nich Michał Kaczmarowski, który niedawno wrócił z wojska.

— Patrzcie, ludziska! — krzyknął, gdy mnie zobaczył. — Koniec świata! Nasza władza spaceruje z bandytą z UPA.

— Przestań wrzeszczeć! Płeczeń ma takie same prawa jak ty!

Skubisz rozsunał ludzi i weszliśmy do środka. Choć patrzono na nas spode łba, nikt nie ośmielił się mnie zaczepić. Wypiliśmy piwo. Na odchodnym Skubisz uściśnął mi rękę i powiedział:

— Trzeba przełamać uprzedzenia. To piwo, to moja pomoc dla ciebie.

I jak tu się połapać! Dwa tygodnie temu przeprowadzał w moim domu rewizję, nie mógł zrozumieć, jak Milcia mogła pokochać bandytę, a dzisiaj mi pomaga!

Do domu wracałem ścieżkami i polami. Bałem się tej straszliwej wrogości wokół mnie. Czułem się zupełnie bezbronny, stokroć bardziej niż dwa tygodnie temu, gdy żyłem poza prawem. Wówczas jednak miałem broń, która do pewnego stopnia dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

Przez następny tydzień w ogóle nie pokazywałem się w okolicy. Dobrze, że miałem dużo pracy, która zupełnie mnie pochłaniała. Ale czy chciałem, czy nie, musiałem wreszcie pojechać do Przemyśla, by wyrobić dowód.

W urzędzie w Przemyślu znów moje nerwy poddano próbie. Złożyłem odpowiednie świstki i czekałem, aż sekretarka załatwi jakieś formalności. W pewnym momencie do biura wszedł ubek, który towarzyszył nam w drodze do bunkra. Usiadł obok mnie i bezczelnie zaczął się na mnie gapić. Wzrok miał pełen nienawiści i pogardy. Wreszcie wysyczał:

— Twoje szczęście, że nie wpadłeś nam w łapy przed amnestią. Obdarlibyśmy cię ze skóry, ty sukinsynu...

Zatrzęsło mną ze złości, miałem ochotę walnąć go w mordę. Zaciśnąłem jednak zęby i milczałem. Przeklęty ubek, myśli, że dam się sprowokować. Zresztą sądzę, że nasze spotkanie nie było przypadkowe. Bez przerwy ktoś za mną łaził.

W lecie, z Milcią i sąsiadami poszedłem do lasu na grzyby. Dwa dni później Skubisz wezwał mnie do siebie i uprzedził by nie chodzić do lasu. Ktoś doniósł na mnie, że chodziłem do bunkra. Oczywiście, wysłano to z palca. Takich donosów było zresztą wiele. Nie miały żadnego znaczenia, ale skutecznie zatruwały mi życie.

W lipcu zaczęliśmy załatwiać formalności związane ze ślubem. Przede wszystkim trzeba było w gminie i parafii przepisać dziecko na

moje nazwisko. Za świadków wziąłem Kubę Siedlickiego i Dyżę Lubińskiego, który chyba pod wpływem Kuby zaczął okazywać mi sympatię. Po załatwieniu formalności ksiądz zapytał, jak mi się układa życie z ludźmi. Opowiedziałem mu o okazywanej mi stale wrogości. Chwilę pomyślał i stwierdził, że przygotowuje kazanie na temat chrześcijańskiej tolerancji, uwzględniając to co mu powiedziałem. I rzeczywiście, kilka razy podjął ten temat na kazaniach, raz nawet wymienił moje nazwisko i stwierdził, że ludzie traktują mnie nie po chrześcijańsku. Muszę przyznać, że wpłynęło to trochę na poglądy tych, którzy chodzili do kościoła. Ale przecież wielu ludzi kościoł omijało z daleka. Wśród nich był też szwagier Milci, Staszek Lekki, zawzięty polski szowinista. Zaczął podjudzać starą Hawrylakową, by nie dopuściła do naszego małżeństwa. Ja jednak nie mogłem dać ponieść się nerwom, a poza tym Milcia cierpiała jeszcze bardziej niż ja. Kochała przecież i mnie, i matkę. W końcu Milcia zdołała ją przekonać, że Staszek ma złe zamiary.

W związku z naszym ślubem Milcia uparła się, abym poszedł do spowiedzi. Tym bardziej, że ostatni raz spowiadałem się przed 12 laty. Nie chciałem jednak korzystać z posługi miejscowych księży. 15 sierpnia pojechałem na odpust na Kalwarię koło Dobromyła, niedaleko polsko-radzieckiej granicy. W Dynowie dołączyłem do grupy polskich pielgrzymów, by nie wałęsać się samotnie.

Na Kalwarię przybyło mrowie ludzi. W kaplicach odprawiano Msze św. Obok pod drzwiami ustawiono konfesjonały, przy których stały kilometrowe kolejki. Obok, w różnych kierunkach ciągnęły procesje z chorągwiami. Brzmiał śpiew, krzyki, rozmowy, zmieszane z urywkami kazań, płaczem i śmiechem – wszystko razem tworzyło kakofonię dźwięków, od których pękała głowa. Ja, samotnik, chodziłem wśród tej ciszy przerażony i oszołomiony. Nagle usłyszałem coś jakby znajomego. Na oślep zacząłem przedzierać się przez tłum

w kierunku, skąd dobiegały słowa pieśni.: *Pływy świtamy, pisne lubowy...*<sup>31</sup>.

Śpiewały kobiety z niewielkiej procesji z wyszywanym wizerunkiem Matki Boskiej na chorągwi i napisem „Lubacziw”. Poczulem lży wzruszenia. Głośno podjąłem pieśń. Procesja kierowała się do ruin ukraińskiej kaplicy, która widocznie przeszkadzała polskim pielgrzymom, bo została zniszczona. Uczestnicy procesji uklękli przed ruinami i rozpoczęli modły. Polacy, choć rzucali w naszą stronę nieprzychylnie spojrzenia, nie przeszkadzali w modlitwie. Później, gdy bez celu łąziłem po Kalwarii, miałem okazję usłyszeć urywek kazania: „Dziękujemy Bogu za to, że nikt nam tu nie przeszkadza, że nikt już nigdy nie nazwie tych terenów Ukrainą. Pozbyliśmy się jej stąd raz na zawsze!”

W takiej sytuacji niełatwo mi było skoncentrować się na modlitwie. Mimo to postanowiłem skorzystać ze spowiedzi i stanąłem w kolejce. Ksiądz u którego się spowiadałem, był starszym mężczyzną, wyglądał na około 60 lat.

– Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi? – zapytał na początku.

– 12 lat temu.

– Dlaczego tak dawno?

– Byłem w partyzantce.

– Wiele musiałeś przeżyć!

– Tak.

– Za to co przeszedłeś, Bóg cię stokroć wynagrodzi. Pan ci wybaczy, bo walczyłeś z wrogiem narodu polskiego. To nie grzech zabijać w imię Ojczyzny... Udzielam ci rozgrzeszenia!...

Odszedłem od konfesjonału, w głowie miałem zamęt. Boże! Wybacz i jemu i mi. Nawet nie zdążyłem powiedzieć po czyjej stronie walczyłem. Ale jeśli nadane mu prawa pozwalają rozgrzeszać tych,

31. *Pływy świtamy...* – ukraińska pieśń religijna na cześć Jezusa Chrystusa.

którzy walczyli i nawet zabijali w imię swojej Ojczyzny, to... ja również walczyłem za swój kraj.

Do dzisiaj zastanawiam się nad tym, czy otrzymałbym tak szybko rozgrzeszenie, gdyby ksiądz wiedział, że jestem Ukraińcem. Nie miałem zamiaru ukrywać tego przed nim, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, otrzymałem przebaczenie za to, iż „walczyłem z wrogami narodu polskiego”.

Nasz ślub odbył się 23 IX 1956 r. w Siedliskach, w cerkwi, którą Polacy zamienili na kościół, wyrzucając z niej ikonostas i ikony. Za świadków wzięliśmy Siedlickiego i Lubińskiego. Antoszek przyjechał w ostatniej chwili i wpadł do cerkwi, gdy już zaczynało się nabożeństwo. Nikt z miejscowych Polaków, łącznie z siostrą Milci, nie przyszedł ani na ślub, ani na wesele. Na przyjęciu zjawił się tylko stary Kleban, i to bez żony, oraz brat Dyzia Lubińskiego, Milko. Miłą niespodzianką sprawiło nam 9 robotników PGR-u, którzy zaproszeni przez Hawrylaków, lekceważąc przestrogi miejscowych szowinistów, przyszedli „na wesele do bandyty”. Zaprzyjaźniłem się później z nimi, często bywali w naszym domu, w ich towarzystwie miałem nawet odwagę pokazać się „wśród ludzi”. Najbliższym moim przyjacielem stał się Michał Kucaba, który później przeniósł się do Przemysła.

Wesele trwało całą noc i cały następny dzień. Antoszek przywiózł dużo jedzenia, Hawrylakowie zabili świnie i kilka kur, a wódki w Polsce nigdy nie brakowało. Brat okazał się świetnym starostą. Zadbął o wszystko i umiejętnie rozweselał towarzystwo. Żalowałem tylko, że w tak ważnym dla mnie dniu nie ma przy mnie Kruka.

W 1957 roku dane mi było przeżyć jeszcze jedno radosne wydarzenie. W lutym z Ukrainy przyjechała moja mama. Gościła u nas dwa tygodnie. W ciągu lat rozłąki bardzo się postarzała. Chorowała ciężko, lekarze stwierdzili, że ma nowotwór, którego nie można opero-

wać. Świadomość, że jest chora, zatrzymała nam całą radość spotkania.

W zimie nowym komendantem w Żohatynie został Janek Janowski z Nienadowej. Później dowiedziałem się, że pochodzi z mieszanej rodziny. Jego matka była Ukrainką. W 1945 r. ojca zabili mu bandyci z Nienadowej, za to, że razem z nimi nie chciał grabić ukraińskiej ludności i nie zdradził pochodzenia swojej żony. Janek wyrastał w komunistycznym duchu. Gdy dorósł, wstąpił do partii. Bałem się, że „dobrzy ludzie” opowiedzą mi co nieco o mnie i będę mieć nieprzyjemności. I rzeczywiście, na spotkanie z komendantem nie czekałem zbyt długo. Sprawa była „pod psem”, bo wszystko też zaczęło się od psa. Od dawna już istniało zarządzenie, by psy w gospodarstwach trzymać na uwięzi. Oczywiście we wsi nikt nie przestrzegał tego zarządzenia, a ja puszczałem zwierzę wolno, by informowało mnie o nieproszonych gościach. Nowy komendant, przechodząc obok naszego domu, zobaczył spuszczonego psa i ukarał mnie grzywną w wysokości 10 zł. Karę trzeba było zapłacić na milicji, w Żohatynie. Takich jak ja było wielu, ale komendant, choć przyszedłem wcześniej, przyjął mnie na samym końcu.

— Płeczeń. Płeczeń? — zapytał nagle, pilnie mi się przyglądając. Podniósł się zza biurka i zaczął krążyć po pokoju. „Szuka zaczepki”, pomyślałem sobie. Wreszcie zapytał:

— Pochodzisz z Iskani? Tak? Znam twego brata, Antoszka. Kiedyś przyjaźnił się z moją mamą i nawet był drużbą na jej weselu. Cieszę się, że cię poznałem! — wyciągnął do mnie rękę.

Obawy okazały się bezpodstawne. Nowy komendant stał się moim przyjacielem, który nieraz dopomagał mi później w kłopotach. A ja miałem jeszcze jedną okazję, by przekonać się, że jeżeli człowiek jest porządny, to zostanie taki zawsze, a jeżeli jest ścierwem, to nic go już nie zmieni.



Moje życie powoli normowało się. Żyłem jak wszyscy, pracowałem i starałem się być dobrym gospodarzem. Doceniałem każdy przejaw sympatii w stosunku do mnie i coraz mniej przejmowałem się niechęcią ludzi.

Jesienią 1957 roku przeżyłem interesujące spotkanie. Stary Kleban był urodzonym myśliwym, jako były leśniczy znał dobrze lasy i zwyczaje zwierzyny, dlatego też co roku zjeżdżały do niego „figury” na polowanie.

Zajrzałem kiedyś do niego na podwórze, zainteresowany skąd ma tylu gości. Kleban, jak to miał w zwyczaju, od razu poinformował wszystkich, że kiedyś byłem w UPA, a teraz jestem jego najlepszym sąsiadem. Ta opowieść bardzo zainteresowała dwóch mężczyzn. Zaczęli mnie wypytywać, gdzie się ukrywałem. Gdy odparłem, że w Dylągowskich Lasach, jeden z nich zapytał od razu o Tatarski Potok. Nagle skojarzyłem sobie dwóch kłusowników, którzy w 1949 roku odkryli naszą kryjówkę. Czyżby to byli ci sami mężczyźni? Rozpierała mnie ciekawość, ale pomyślałem, że moje pytanie może postawić ich w niezręcznej sytuacji. Nikomu przecież nie zameldowali o swym odkryciu. A poza tym nie miałem żadnej pewności, że to te same osoby. Choć do dzisiaj pozostało mi jakieś wewnętrzne przekonanie, że jednak to byli oni. Interesowali się umiejscowieniem bunkra i bardzo życzliwie byli do mnie nastawieni. Zapraszali mnie nawet na polowanie, ale odmówiłem. Miałem zakaz trzymania w ręku broni, a poza tym, w lesie strzela się we wszystkich kierunkach, czasem ktoś zamiast dzika, mógłby upolować mnie.

Styczeń 1958 roku był bardzo radosny. Zostaliśmy zaproszeni do Kruka na Boże Narodzenie i jednocześnie na chrzciny jego córki. Miałem być ojcem chrzestnym. Milcia była w dziewiątym miesiącu ciąży i nie mogła pojechać ze mną. Zresztą nie można też było zostawić samych rodziców na gospodarstwie. Pojechałem razem z Bolekiem Kaciubą, który również dostał zaproszenie.

Droga, choć długa i niewygodna, sprawiła mi przyjemność. Tak dawno nie jechałem pociągiem. Do Górowa Iławieckiego w Olsztyńskim jechaliśmy dwie doby. Tam przesiedliśmy się w pociąg do Sągnicy, gdzie trzeba było przesiąść się na pociąg do Kiwajn, gdzie mieszkał Kruk. W Sągnicy byliśmy już o dziesiątej wieczorem, a pociąg do Kiwajn odjeżdżał dopiero o trzeciej nad ranem. Stacja okazała się być budą bez drzwi i okien, po której hulał wicher. Ścisnął mróz, było bardzo zimno, więc doszedłem do wniosku, że lepiej już iść, niż całą noc trząść się z zimna na stacji. Zapytałem kogoś o drogę i wyruszyliśmy. Zapomniałem jednak, że mój towarzysz nie przywykł do trudów marszu. Narzuciłem partyzanckie tempo, a Bolek już po kilometry zaczął zostawać w tyle. Przy tym okazał się tchórzem i niezdara. Jeszcze w domu wymyślił sobie niemieckich partyzantów i teraz ogarniała go panika, gdy tylko zobaczył jakieś światło w oddali, czy usłyszał jakiś szelest. Starałem się przemówić mu do rozumu, ale upierał się przy swoim. Droga była niezła, bita, tylko wiatr hulał po polach i wiał nam w twarz.

Gdzieś na dziesiątym kilometrze drogi zobaczyliśmy oświetlony reflektorami budynek. Bolek przestraszył się i został w tyle, a ja przyspieszyłem kroku. W budynku mieściło się więzienie, miejscowość nazywała się Wronki. Później, już u Stefana, spotkałem kilka osób, którym udało się wydostać z murów Wronek.

Musiałem zwolnić tempo, bo Bolek ledwie powłóczył nogami. O świcie zbliżyliśmy się do wielkiego gospodarstwa, oświetlonego elektrycznym światłem. Po podwórzu już kręcił się gospodarz, ubrany w hułkę i czapkę z barana, zupełnie jak w naszych stronach. Pozdrowiłem go i zapytałem czy daleko jeszcze do Kiwajn. Mężczyzna najpierw zlustrował nas wzrokiem, a potem zapytał:

– A wy do kogo?

– Do Stefana Soroczaka – odpowiedziałem.

– W Kiwajnach nie ma Stefana Soroczaka, jest Stepan Soroczak!  
– odpalił po ukraińsku.

Co za radość! Od razu powiedziałem mu kim jesteśmy i skąd przyjechaliśmy. Mężczyzna zaprosił nas do domu, gdzie poczęstowano nas gorącą herbatą i kielichem gorzałki. Gospodarz bardzo chwalił Kruka. Mówił, że wszyscy go tu znają i bardzo szanują. A poza tym dobry z niego gospodarz. W Kiwajnach mieszkają prawie sami Ukraińcy. Nasi ludzie trzymają się razem i on też dostał zaproszenie na chrzciny.

Myslałem, że nigdy nie przejdziemy tych dziewięciu kilometrów, które dzieliły nas od Kiwajn. Bolek co sto metrów siadał i upierał się, że dalej nie pójdzie. Na szczęście nadjechała jakaś furmanka. Za paczkę papierosów woźnica podwiózł nas do wsi. Na podwórzu jednego z domów zobaczyłem kobietę, od razu zagadałem do niej po ukraińsku. Gdy dowiedziała się, że przyjechaliśmy do Soroczaka, stwierdziła, że nas zaprowadzi, bo i tak wybiera się do nich, pomóc żonie Stefana.

Wzięliśmy Bolka pod pachy i powlekliśmy się do Kruka. W trakcie rozmowy okazało się, że kobieta pochodzi z Żohatyna, nazywa się Katrusia Wulewycz. Gdy zacząłem jej opowiadać o sobie, przerwała mi nagle i zawołała:

– Przecież ja cię znam! Ty jesteś Czaban! Że też nie poznałam cię od razu!

No cóż, w ciągu tych 10 lat bardzo się zmieniłem. Życie pod ziemią odbiło się na moim wyglądzie i zdrowiu, a poza tym wyłysiałem.

Stanęliśmy obok rozsypującego się baraku. Było to gospodarstwo Stefana. Kruk akurat zaprzęgał konie do sań. Posadziłem Bolka w śnieg i rzuciłem się w objęcia Kruka. Naszej radości nie było końca.

U Kruka spędziłem kilka pięknych dni. Czasem miałem wrażenie, że jesteśmy u siebie, na Ukrainie. Boże Narodzenie i chrzciny świę-

towaliśmy trzy dni. Stefan zaprosił całe Kiwajny, w których żyło aż dwadzieścia ukraińskich i tylko kilka polskich rodzin. W okolicy mieszkało około 12 byłych upowców z sotni Hromenki, Burlaki, Kryłacza i z bojówek. Teraz z całymi rodzinami zjechali się do Soroczaka. Brzmiały ukraińskie pieśni i ukraińska mowa. W takim towarzystwie nie mogli czuć się zbyt dobrze, zaproszeni na chrzciny, Polacy. Szybko opuścili dom Stefana.

Żona Kruka, Zosia rzeczywiście była piękną kobietą. Kruk bardzo ją kochał. Sądziła, że Stefan zginął. Związała się z Polakiem z Warszawy. Gdy Kruk ją odnalazł, miała z nim już jedno dziecko, a z drugim chodziła w ciąży. Gdy zjawił się Stefan, Polak zmuszony był odejść. Zabrał ze sobą pierwsze dziecko, a to które później się urodziło Kruk po prostu adoptował. Żyli bardzo zgodnie. Mieli niewielkie gospodarstwo, krowę i konia. Zosia pracowała w miejscowej mleczarni.

W domu zastałem list z Ukrainy, z wiadomością o śmierci mamy. Bardzo przeżyłem jej odejście, choć już wtedy, gdy odwiedziła mnie w Polsce, wiedziałem, że jej dni są policzone. W życiu jednak już tak bywa, że łyżę przeplata radość. 21 stycznia urodził się nam syn, a Antoszko dostał od Iwana Papina z Ameryki zaproszenie. Brat już od dłuższego czasu nosił się z myślą o wyjeździe na Zachód. Po moim ujawnieniu się zaczął wręcz marzyć o opuszczeniu Przemyśla. Przedtem Antoszko ukrywał swoje pochodzenie, toteż nikt mu nie dokuczał. Ale potem wszystko się zmieniło. Zaczęły się donosy, oszczerstwa i prowokacje. Antoszko również mnie namawiał do wyjazdu z Polski.

Na wiosnę 1958 roku otrzymał amerykańską wizę, mnie jednak odmówiono prawa wyjazdu. Po wyjeździe brata poczułem się bardzo samotny i z większą jeszcze zawziętością zacząłem stukać w drzwi urzędów. Kiedyś przy okazji tych moich podróży do Przemyśla odwiedziłem panią Kosińską i zwierzyłem się jej ze swych kłopotów.

Postanowiła mi pomóc. Przypomniała sobie, że zna jakiegoś wysoko postawionego ubeka i zaprowadziła mnie do niego. Nie było go w domu. Żona powiedziała nam, że możemy pójść na stadion, gdzie akurat odbywa się mecz, a on już tam będzie na nas czekał. I rzeczywiście. Ledwie zdążyliśmy wejść na trybuny, podszedł do nas mężczyzna. Wysłuchał pani Kosińskiej i stwierdził, że to nie należy do jego kompetencji, ale skontaktuje nas ze swoimi kolegami. Po chwili zjawił się obok nas inny mężczyzna i od razu przywitał się: „Dzień dobry pani Kosińska”. Chwilę rozmawiał z nią na osobności radząc, by nie pchała nosa w nie swoje sprawy, bo jeszcze napyta sobie biedy. Zdawałem sobie sprawę, że rozmowy z tymi ludźmi nie zdadzą się na nic, ale Kosińska uparła się.

Kilka dni później specjalny postaniec doręczył mi list. Na kopercie nie było zwrotnego adresu. Nadawca proponował spotkanie w Przemyślu, na ulicy 1-Maja, koło kiosku nr 15. A to dopiero! Zdaje się, że chcąc mi pomóc, pani Kosińska niechcący poruszyła gniazdo os. Z duszą na ramieniu, stawilem się w oznaczonym czasie w Przemyślu. Podszedł do mnie dobrze ubrany jegomość, zapytał o nazwisko, następnie kazał sobie pokazać list i zabrał mnie do domu. W mieszkaniu czekał na nas suto zastawiony stół. Po chwili zjawiło się jeszcze dwóch mężczyzn. Odnosili się do mnie bardzo serdecznie, patrząc z boku można by pomyśleć, że byłem oczekiwanym gościem. Po posiłku zaproponowano mi spacer po mieście, twierdząc, że w mieszkaniu jest zbyt gorąco. Na ulicy z kolei okazało się, że kręci się „zbyt dużo ludzi” i lepiej byłoby zejść do któregoś z nich, do hotelu. Wynajmowali tu cały apartament. Siedliśmy za stołem i panowie rozpoczęli rozmowę.

– Kogo pan ma w Ameryce?

– Braci, Pawła i Antoniego, wujków – Emila, Dmytra i Antoniego Sadlaków.

– Skąd i kiedy Paweł wyjechał do Ameryki?

– W 1950 roku z obozu dla uchodźców w Niemczech.  
– Czy pańscy wujowie są zamożni?  
– Tak, szczególnie Dmytro, który pragnie mnie usynowić – wymyśliłem to na poczekaniu, aby prędzej odczepili się ode mnie.  
– Wiemy, że ma pan trudności z wyjazdem?  
– Tak.  
– Gdzie są pańscy rodzice?  
– Zmarli na Ukrainie.  
– Tak bardzo pragnie pan stąd wyjechać?  
– Nie ma w tym nic dziwnego, wszyscy moi bliscy mieszkają w Ameryce.

– Jesteśmy w stanie pomóc panu, ale musi sobie pan zdać sprawę z jednej rzeczy. Wielcy prowidnyki (tak właśnie powiedział) zabrali pana, prostego chłopca, do lasu. Potem sami uciekli, a teraz zażywają w Ameryce rozkoszy. Tyle lat ukrywał się pan pod ziemią, zmarnował sobie zdrowie i w imię czego? – gadali i gadali, aż w końcu wyjaśnili, jak ma wyglądać ich „pomoc”.

– Umożliwimy panu wyjazd, ale pan, już w Ameryce, będzie dostarczać nam informacji o komendantach i prowidnykach, którzy tam żyją. Chodzi nam o ich nazwiska, adresy i to czym się zajmują. Nie będzie pan miał z tym większych problemów. W Ameryce nasz człowiek zgłosi się do pana po odbiór informacji. Podpisze pan tylko zgodę na współpracę z nami, i może być pan pewien, że pojedzie do USA.

Zatkało mnie. Z mojej miny musieli wyczytać co czuję, bo powiedzieli, że rozumieją, iż potrzebuję czasu na przemyślenie tej propozycji. Nie będą mi przeszkadzać, teraz tylko mógłbym zrobić im spis komendantów i prowidnyków UPA. Wyszli z pokoju, zostawiając mi otówek i kartkę. Drzwi zamknęli na klucz. Byłem wściekły. Diabły przekłete! Łajdacy! Siadłem i z rozmachem napisałem swój życiorys.

Wrócili po kilku godzinach i zaczęli wrzeszczeć:

– Niepotrzebny nam twój życiorys! Chcemy sprawę załatwić po ludzku, a ty udajesz wariata!

Po chwili spróbowali z innej beczki. Przedstawili mi korzyści płynące ze współpracy z nimi. Milczałem, jakbym nabrał wody w usta. Zrobiło się już ciemno na dworze. Przerwałem wreszcie te brednie, twierdząc, że muszę jechać do domu. Moja żona na pewno martwi się już o mnie, ja i tak niczego nie podpiszę, więc nie ma sensu by mnie trzymali. Nie! Uparli się! Przynieśli zakąskę, wódkę i zapraszają do jedzenia. Woląłem nie jeść, piłem jedynie wodę i paliłem ich papierosy. Nastąpiła noc. Mężczyźni położyli się spać w sypialni, a mi zaproponowali nocleg na kanapie w drugim pokoju. Odmówiłem. Głowę oparłem o stół i trochę drzemałem. Przez uchylone drzwi starałem się obserwować ubeków i ich broń. Położyli ją specjalnie na widocznym miejscu. Może liczyli na to, że będę ją chciał ukraść? O świcie obudzili się i znów zaczęli od początku. Uparcie odmawiałem, tłumacząc im, że ich wysiłek jest daremny i lepiej będzie jak dadzą mi spokój. W końcu zrezygnowali. Na odchodnym zabronili wspominać komukolwiek o naszej rozmowie.

Milci powiedziałem, że zatrzymałem się w Przemyślu, bo spotkałem czotowego trzeciej czoty z sotni Burtaki, Ostapa i całą noc przegadaliśmy przy piwie. Nakrzyczała na mnie, ale grzecznie milczałem. Nawiasem mówiąc, Ostap był zagadkową postacią. W 1947 r. dostał się w ręce Polaków. Osądzono go i oddano bolszewikom. Potem, gdzieś w 1953 roku, wrócił do żony, do Przemyśla. Kilka razy spotkałem go na ulicy, ale nigdy nie podejmował rozmowy, był milczący, pochmurny i zawsze odwracał wzrok.

Muszę dodać, że przeżyłem jeszcze trzy „przyjacielskie spotkania”. Jota w jotę takie same. Ubecy zawsze spotykali się ze mną „na neutralnym terytorium”, w jakimś domu, w parku. Za każdym razem ponawiali swoje „oferty”, a ja uparcie odmawiałem.

Sprawa mojego wyjazdu utknęła w miejscu, lecz postanowiłem nie rezygnować. Gdy kończył się termin jednego zaproszenia, brat przysłał mi nowe i zaczynała się ta sama kołomyja. Na początku 1961 roku znów otrzymałem odmowną odpowiedź. W kilka dni później wpadłem na milicję do Janka Janowskiego i opowiedziałem mu o swoich kłopotach. Nie rozumiałem dlaczego nie chcą mnie wypuścić z Polski. Janek oświadczył mi, że UB dostał na mnie donos od Bronka Bacza z Iskani, jakoby był wplątany w zagadkową śmierć jego siostry Hali. Doradził mi, by spróbować raz jeszcze u szefa biura paszportowego w Rzeszowie, majora Krzysiaka, który był kiedyś szefem UB w Przemyślu i na pewno zna moją sprawę. Janowski dobrze znał Krzysiaka i poradził mi, jak mam do niego dotrzeć. O Janowskim mogłem wspomnieć majorowi tylko w ostateczności. Zwrócił mi również uwagę na dwie bardzo niewinne, małe literki w moim dowodzie, które informowały, że należę do kategorii osób niepewnych politycznie.

Nie było łatwo dostać się do Krzysiaka. Na wartowni Wojewódzkiej Komendy Milicji spytano mnie z jaką sprawą przyszedłem, potem obejrzano mój dowód i poinformowano, że major jest bardzo zajęty. Oznajmiłem, że zaczekam. Mógłbym tak czekać do końca świata, gdyby nie zwrócił na mnie uwagi komendant wartowni. Jeszcze raz przedstawiłem mu sprawę, prosząc go o pomoc. Zadzwonił do majora i poprosił, by mnie przyjął.

Pod eskortą dwóch uzbrojonych wartowników dotarłem na drugie piętro, do gabinetu majora. Krzysiak był blondynem średniego wzrostu. Szybko wyłożyłem mu powód swej wizyty, ale to go tylko zdenerwowało.

– Kto dał wam prawo zawracać mi głowę swoimi sprawami? Kto wam kazał przyjść do mnie?

Zacząłem się wykręcać, ale gdy zobaczyłem, że traci cierpliwość i za moment wywali mnie za drzwi, wymieniłem nazwisko Janowskie-

go. To uspokoiło go trochę. Usiadł i jeszcze raz kazał mi wyłożyć sprawę. Potem dał mi dwa formularze, kazał je wypełnić i razem z zaproszeniem zanieść do komendanta milicji w Przemyślu, pana Kurka.

Gdy wychodziłem od majora, przypomniałem sobie, że w kiosku naprzeciw milicji sprzedawczynie za opłatą wypełniają różne formularze. W tym czasie, w Polsce, wszystkie kwity i wnioski trzeba było wypełniać zgodnie z przepisami, bo inaczej po prostu nie rozpatrywano ich.

W kiosku, za 100 zł córka sprzedawczyni wypełniła mi świstki. Następnego dnia, by nie tracić czasu, zaniósłem je do komendanta Kurka. Potwierdził, że mają na mnie donos i nie mogą liczyć na wyjazd, dopóki nie dowiodę swej niewinności. Spytałem, czy wystarczy poświadczenie o mej niewinności od siostry i ciotki Bronka Bacza, które żyją na Ukrainie. Poradził mi, aby poświadczenie, które przysłał, było sporządzone notarialnie. Tak też uczyniłem. Po kilku tygodniach otrzymałem z Ukrainy notarialne poświadczenia, które unieważniały kalumnie Bacza.

Potem znów napisałem podanie i ze wszystkimi niezbędnymi papierami zawiozłem je do biura w Rzeszowie. Długo, bo aż siedem miesięcy, czekałem na odpowiedź. Otrzymałem ją dopiero pod koniec 1962 roku, już po raz trzeci, odmowną.

Od razu napisałem do Pawła i znów otrzymałem papiery. Ale tym razem, za radą pana Bońcy (jego rodzina co roku przyjeżdżała do Rybnego, a ja zaprzyjaźniłem się z nimi jeszcze gdy żyłem w bunkrze) zwróciłem się do adwokata. Pan Bońca pracował jako sekretarz w zespole adwokackim w Rzeszowie. Znał wszystkich adwokatów i polecił mnie jednemu z nich, który uchodził za bardzo porządnego człowieka i miał znajomości w rządowych kołach w Warszawie.

Adwokat X. — niski, skromnie ubrany mężczyzna w średnim wieku — przyjął mnie od razu. Najpierw kazał mi opowiedzieć co czyni-

łem w sprawie wyjazdu, a potem zapytał co robiłem podczas wojny, chciał wiedzieć wszystko. Gdy wymieniłem wieś Biskowice koło Sambora, gdzie wysiedlono nas w 1940 roku, adwokat poderwał się z miejsca.

— Biskowice? U kogo pan tam mieszkał?

— U Staszka Peteli!

— Człowieku, to jesteśmy sąsiadami!

Okazało się, że X. pochodzi z okolic Sambora, często bywał w Biskowicach i dobrze znał Petelę, u którego mieszkała moja rodzina. Los mi sprzyjał! Adwokat udzielił sekretarce instrukcji co ma napisać, a mnie zaprosił do innego pokoju. Doradził mi, aby z papierami, które przygotowuje jego sekretarka, pojechać do Ministerstwa Sprawiedliwości. Tam sprawdzą, czy istotnie nigdy nie byłem karany i moją sprawę przekażą do amerykańskiej ambasady oraz do biura paszportowego w Rzeszowie. Ale muszę to załatwiać osobiście, pod żadnym pozorem nie mogę dokumentów przysyłać pocztą. Napisał mi również list polecający do swego krewnego, który pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości. Byłem wzruszony jego otwartością i dobrocią. A gdy, żegnając się, zapytałem ile mam zapłacić, zupełnie mnie ogłuszył:

— Nie jest mi pan nic winien. Bardzo panu współczuję. Niewiele pomogłem. Sam pan musi jeździć i stukać do drzwi. Powiedziałem tylko gdzie i jak trzeba stukać. Jestem przekonany, że za miesiąc będzie pan w Ameryce. Niech pana Bóg prowadzi!

Nie potrzeba wyjaśniać, co czułem. Pieniądze mogły być jedynie zapłatą za pracę, za radę. Ale za życzliwość, z którą się spotkałem, nie sposób było czymkolwiek odpłacić.

W Warszawie, jeżeli nie liczyć długich godzin przestanych w kolejkach, wszystko poszło jak z płatka. Bez przeszkód dotarłem do krewnego mego adwokata. Ten sprawdził moje papiery i oznajmił, że choć już czwarty raz składam wniosek o wyjazd, moja sprawa nigdy

nie trafiła do ministerstwa. Wygląda na to, że papiery zawsze zatrzymywano w województwie. Mężczyzna zapewnił mnie, że w ciągu 2-3 tygodni otrzymam paszport. I rzeczywiście. Ledwie zdążyłem wrócić do domu, gdy otrzymałem wezwanie z amerykańskiej ambasady, by zgłosić się wraz z rodziną na badania medyczne.

Już dokładnie nie pamiętam kiedy, ale mniej więcej w końcu grudnia 1962 roku całą rodziną pojechaliśmy do Warszawy. Pamiętam, że było bardzo zimno, a dla moich dzieci była to pierwsza dalsza podróż. Z Rybnego do Wary trzeba było jechać saniami, a potem autobusem do Przemyśla, skąd mieliśmy już bezpośrednie połączenie do Warszawy. Badania trwały zaledwie kilka godzin. Przy okazji zaszczepiono nas przeciw ospie, za tydzień miałem przywieźć zaświadczenie od miejscowego lekarza, czy szczepionka się przyjęła.

O tym, jaki obrót przyjęły nasze sprawy, nie powiedziałem ani znajomym, ani sąsiadom. Gdy jechaliśmy do Warszawy, rozpuściłem plotkę, że zamierzamy przenieść się na Ziemię Zachodnie i jedziemy, by przekonać się jak tam żyje się ludziom. Nie przyznaliśmy się nawet rodzicom Milci, bo teściowa mogłaby wygadać się przed siostrą żony. Nie miałem wątpliwości co do tego, że i tym razem „dobrzy ludzie” nie zawahaliby się podłożyć nam świni. Nieraz słyszałem, że szybciej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż zobaczę Amerykę.

Gdy zawiozłem poświadczenie od lekarza, sprawy nabrały szybkiego tempa. Po tygodniu z Rzeszowa otrzymałem list, by złożyć podanie o paszport, a niedługo potem zawiadomienie, by zgłosić się do ambasady po wizę.

20 I 1963 roku, sam sobie nie wierząc, wróciłem z Warszawy ze zgodą na wyjazd. Nie zdążyłem jeszcze wysiąść w Przemyślu z pociągu, gdy naprzeciw siebie ujrzałem swych „przyjaciół-ubeków”.

— Cóż to, gotowy do drogi? — zapytał któryś z nich, wskazując palcem moją walizkę. Milczałem, ale oni ruszyli za mną do autobusu. Okazało się, że świetnie orientowali się w moich poczynaniach. Nie

wdawałem się z nimi w żadne rozmowy, oznajmiłem tylko, że gotowy jestem spotkać się z nimi tu na dworcu, rano 5 lutego, a teraz nie mam czasu, bo już ucieka mi autobus do Wary.

Przez następne dni panował straszliwy rozgardiasz. Składanie, pakowanie. Sąsiadki darły pierze i szyły pierzyny. A my w pośpiechu szykowaliśmy się do wyjazdu „na Ziemię Odzyskane”. Jedyne Józek Feń znał całą prawdę. Nie miałem przed nim żadnych tajemnic. Nasza przyjaźń umocniła się jeszcze bardziej, gdy zaprosił mnie na chrzestnego swej córki. Jego sąsiedzi nie mogli ochłonąć z oburzenia, jak Józek może przyjaźnić się z „ukraińskim bandytą”.

Chrzciny odbyły się 2 lutego. Wieczorem wpadł do nas Kuba Siedlicki i wywołał mnie na dwór.

— Milku! Wracam z Huty. Tam cała wieś aż dudni o twoim wyjeździe. Nie wiem i nie chcę wiedzieć czy i gdzie się wybierasz. Ale wiedz, że Włodek Cymbalista, Staszek Baran, Michał Kozmowski i kilku innych odgrażali się, że nie zobaczysz żadnej Ameryki, bo spalą twój dom razem z twoją rodziną. Wiesz, że stać ich na to, więc uważaj!

Od razu poszedłem do Milka Lubińskiego. Umówiłem się z nim, że następnego dnia, wieczorem, odwiezie nas do autobusu do Wary. Poprosiłem również Józka Małachowskiego, by pojechał z nami do Przemyśla i pomógł nam w pakowaniu bagaży.

Rodzicom Milci dopiero wtedy wyznaliśmy prawdę, gdy sanie gotowe były do drogi. Pod ochroną zimowego wieczora, o szóstej przyjechaliśmy do Wary. O mały włos spóźnilibyśmy się na autobus. Ostatnie kilometry pokonywaliśmy już na przełaj, ścigając się z autobusem.

W Przemyślu zatrzymaliśmy się u Michała Kucaba. Przesiedzieliśmy u niego do wieczora następnego dnia. Nie wychodziłem z domu, bo bałem się spotkać „przyjaciół” z UB. Michał kupił nam bilety na pociąg i pół godziny przed odjazdem, razem z Małachowskim,

opłotkami, poprowadzili nas na dworzec. Do wagonu wskoczyliśmy ukradkiem na pięć minut przed odjazdem.

Rano, 5 lutego, przybyliśmy do Warszawy i prosto z dworca, taksówką, udaliśmy się na lotnisko. Nasz samolot odlatywał dopiero wieczorem 6 lutego. Zatrzymaliśmy się więc w hotelu przy lotnisku. Staraliśmy się nie opuszczać pokoju, na miasto wymykałem się chytliwym, jedynie po to, by kupić żywność.

Przed odlotem samolotu, już po przebyciu kontroli celnej, spotkała nas przykra niespodzianka. Poinformowano pasażerów, że samolot, kurs Moskwa – Nowy Jork z powodu mgły nie może wylądować. Odlot do Nowego Jorku nastąpi dopiero nazajutrz. Ogarnęła mnie rozpacz! A to pech! Czy już nigdy nie uwolnię się od przyjaciół z UB? Lecz po chwili poinformowano podróżnych, że pasażerowie udający się do Nowego Jorku mogą odlecieć do Amsterdamu, i tam przesiąść się na samolot do USA. Jednakże podróż do Kolonii będzie bardzo niewygodna, ze względu na stary typ samolotu. Machnąłem ręką na niewygodę, byle prędzej wynieść się z tego państwa.

W nocy przylecieliśmy do Amsterdamu, a nazajutrz wsiedliśmy na samolot, który po sześciu latach marzeń o Nowym Świecie, po latach obijania progów polskiej biurokracji, 7 II 1963 roku przywiózł nas do Nowego Jorku. I choć minęło już tyle lat, stale wracam wspomnieniami do lat spędzonych w Polsce. Niektóre już zatarły się w mojej pamięci, inne zaś z biegiem czasu nabrały ostrości. Wiele razy opowiadałem przyjaciołom o swoich przeżyciach. I nie raz słyszałem, że powinienem je spisać. Może nigdy nie zabrałbym się do tego dzieła, gdyby nie mój przyjaciel Iwan Dmytryk. I tak powstała ta prosta, lecz prawdziwa opowieść, której redaktorka dała tytuł „Dziewięć lat w bunkrze”.